

*Patricia Potter*

BAGIENNY PŁOMIENÍ





## **Prolog**

Stukot kopyt uderzających o spieczoną od letniego słońca ziemię wyrwał Samanthę z niespokojnego snu. W ciągu długich godzin minionej nocy w jej podświadomości spierały się ze sobą uczucia niepokoju, strachu i radości.

Odsunęła od siebie myśl o brzmących niby omen odgłosach. Ożywiła się nadzieją, gdy przypomniała sobie, że to przecież dzień jej ślubu.

Szczęśliwa wyskoczyła z łóżka i odsunęła jasnozielone firanki. Tego dnia wszystko miało wyjątkowe znaczenie... pogoda, miejsce pobytu jej ojca, służba...

Stała przy otwartym oknie i przez chwilę rozkoszowała się zapachem żółtego jaśminu i ciężkim aromatem magnolii. Uwielbiała tę wspaniałą mieszankę, która wydawała się hymnem na cześć życia tak bujnie się rozwijającego w tym zakątku Południowej Karoliny.

Zauważyła na drodze oddalający się szybko powóz. Zaciekawilo ją, w jakiej sprawie ojciec tak wcześniej opuszcza dom. Pierwsze błyski światła zwiastowały nadejście świtu roztaczając na niebie blade odcienie różu, złota i lawendy. Świt, pomyślała, świt pierwszego dnia jej wspólnego życia z Brendanem.

Raz jeszcze nabrała w płuca aromatycznego powietrza rozkoszując się powiewem chłodnego wiatru. Wiedziała, że później zrobi się nieznośny upał. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Nie liczyło się nic poza planowaną ucieczką z Brenem.

Na chwilę powrócił strach, ale szybko zastąpiło go przepełniające ją uczucie szczęścia, które nie dopuszczało myśli o konsekwencjach, jakie musiały wyniknąć z wydarzeń tego dnia. Ojciec będzie bardzo, bardzo zły, ale będzie musiał zaakceptować jej małżeństwo. Może pogodzi ono wreszcie obie skłócone od dawna rodziny.

Charakterystyczny dla niej optymizm wzięł górę. Spotka się z Brenem w zwykłym miejscu i pojedą do Charlestonu, gdzie przyjaciel udzieli im ślubu. Inny z przyjaciół zaoferował im swój dom w mieście na cały miesiąc. Dalszy rozwój wypadków uzależniony będzie od zachowania ich rodzin. Jeśli zajdzie taka potrzeba, oboje z Brenem poradzą sobie sami.

Niech licho porwie wszystkich polityków, pomyślała, zarówno torysów jak i wigów. Podzielili okolicę na dwa obozy i pogłębili nienawiść między jej ojcem a O'Neillami.

Samantha odsunęła od siebie niepokojące myśli. Ona i Brendan pokonają wszystkie przeszkody. Kochają się od lat i nic nie stanie im na drodze. Podeszła do lustra i popatrzyła na swe odbicie. Nim zapadnie zmrok, będzie panią O'Neill.

Przyjrzała się sobie krytycznym wzrokiem. Twarz miała zbyt drobną, usta zbyt pełne a oczy

za duże. Bren zawsze nazywał ją swym wesołym elfem, choć wolałaby, żeby powiedział, że jest piękna. Ciemnoniebieskie oczy były pełne życia i ciekawości, lecz tylko długie, ciemne włosy zyskały jej aprobatę. Połyskiwały niczym mahoń zdobiący każdy zakątek Chatham Oaks.

Pośpiesznie włożyła niebieską sukienkę, związała włosy wstążką i pobiegła do kuchni. Stara kucharka Maudie, która ją wychowała, stanowiła główne źródło pociechy i informacji.

Gdy zbliżała się do drzwi, zatrzymał ją pełen strapienia głos Maudie:

- I co my teraz powiemy panience?

- Pan Chatham powiedział, że nas każe wychłostać, jeśli piśniemy jej choć słowo - odezwał się drugi głos. Należał do Angel, córki Maudie.

- Ona poza paniczem Brenem świata nie widzi. Ma prawo wiedzieć.

- Ja jej o tym nie powiem.

Samantha nie wytrzymała. Gwałtownie otworzyła drzwi.

- O czym powinnam wiedzieć?

Zapadła grobowa cisza.

- Maudie, o czym powinnam wiedzieć?

Stara kobieta załapała się łzami. Złapała Samanthę za rękę.

- Ojciec panienki wie o panience i paniczu Brendanie. Będą się dziś rano pojedynkować.

Z ust Samanthy wyrwał się mimowolny okrzyk bólu.

- Nie! Nie! Ojciec go zabije. Bren nie jest dla niego godnym przeciwnikiem.

Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, Samantha była już w drodze do stajni. Dobrze знаła miejsce, gdzie zwykle odbywały się pojedynki. Była to prześliczna polanka ocieniona olbrzymimi cyprysami i wawrzynami, położona pięć mil od plantacji jej ojca.

Pochyliła się nisko nad karkiem swej klaczy zmuszając ją do biegu. Musi powstrzymać ojca. Nie zważała na gałęzie, które cięły jej bosc nogi, szarpały podartą sukienkę i rozwiane włosy.

- Szybciej - ponaglała konia. - Biegnij szybciej.

Zobaczyła przed sobą polankę. Zdażę, pomyślała w nagłym przypływie radości.

Odgłos wystrzałów z pistoletu rozdarł ciszę wczesnego poranka. Zatrzymawszy konia Samantha uświadomiła sobie, że nie słyszy jakichkolwiek dźwięków; ptaki umilkły, nawet leśne wiewiórki się gdzieś schowały.

Jak we śnie zeskoczyła z konia i podbiegła do postaci leżącej nieruchomo na ziemi.

Złociste włosy Brendana iskrzyły się w porannym słońcu. Oczy, niebieskie jak jej własne, były otwarte i bez wyrazu patrzyły w niebo. Na białej koszuli coraz bardziej powiększała się plama krwi.

Samantha otoczyła jego głowę ramionami.

- Bren - szepnęła. - Bren. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samej. Tak bardzo cię kocham. Nie odchodź.

Była nieświadoma płynących po jej twarzy łez ani obecności ojca. Nie słyszała też przybycia

jeźdźca, który zjawił się na polanie kilka sekund po niej.

Zeskoczywszy z konia mężczyzna szorstko chwycił ją za ramię i odepchnął. Klękając obok Brendana zamknął mu oczy. Potem z wściekłością i smutkiem popatrzył na Samanthę.

- To twoje dzieło - powiedział. - To ty go zabiłaś... masz w tym taki sam udział jak twój ojciec.

Ostrożnie podniósł z ziemi nieruchome ciało i ułożył je na siodle. Potem Connor O'Neill sam wsiadł na konia i znikł pośród drzew.

Samantha klęczała na ziemi obok kałuży krwi, a z jej ust wydobywały się zduszone łkania.



Nawet drzewa płaczą, pomyślała Samantha ze smutkiem siedząc bez ruchu przy oknie zamkniętego na klucz pokoju. Widok ciemnego, zachmurzonego nieba przypomniiał jej oczy Connora O'Neilla i okrutne oskarżenie, jakie rzucił pod jej adresem owego straszego poranka dwanaście miesięcy temu. Wiedziała, że nigdy nie zapomni zimnych szarych oczu, które prześladowały ją każdej nocy.

Oparła głowę o szybę i westchnęła. Nadal była piękna, ale jej uroda pozbawiona była życia. Samantha zeszczuplała, a okrągła dziewczęca sylwetka stała się kanciasta i bardziej przypominała chłopca niż dziewiętnastoletnią kobietę. Błęszcące niegdyś oczy utraciły swój blask; wyzierały z nich smutek i pustka.

Po kolejnej awanturze z ojcem Samantha znów siedziała zamknięta na klucz w swoim pokoju. Od dnia pojedynku, kiedy ojciec siłą zawlókł ją do domu, ich stosunki ulegały ciągłemu pogorszeniu.

Gdy dotarli wtedy do domu, była prawie w szoku. Jej dłonie i suknia umazane były krwią. Choć cała drżała, głos jej brzmiał wyraźnie i spokojnie.

- Nienawidzę cię. Będę cię nienawidzić do końca życia.

Twarz ojca poczerwieniała z wściekłości. Wyciągnął rękę i z całej siły uderzył ją w twarz. Upadła na podłogę, lecz ani na chwilę nie spuściła wzroku z ojca. Jej oczy patrzyły zimno i oskarżająco. Robert Chatham nie wytrzymał i odwrócił się.

- Ostrzegałem cię - powiedział - żebyś się trzymała z daleka od tej irlandzkiej buntowniczej hołoty. Zrujnowałaś swoją reputację i wszelkie nadzieje na przyzwoite małżeństwo. To twoja własna zasługa. Nie moja.

Gniew Roberta Chathama nieco zelżał na widok zrozpaczonej dziewczyny klęczącej na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Idź do swego pokoju - polecił szorstko.  
- Zostaniesz tam tak długo, dopóki nie nauczysz się szacunku dla własnego ojca... i posłuszeństwa.

- Szacunku? - wyrzuciła z siebie. - Nigdy.  
- Chwiejąc się wstała i z dłonią na piekącym policzku wyszła z salonu.

Przez trzy tygodnie pozostała w swym pokoju. Przez pierwszy tydzień - o chlebie i wodzie, co miało ją skłonić do przeprosin i posłuszeństwa. Maudie przemycała różne smakowite kąski, lecz Samantha odmawiała ich przyjęcia. Odbywała własną pokutę, a poza tym jedzenie straciło dla niej wszelki sens.

Kara skończyła się, gdy ojciec zauważył, jak



bardzo zmizemiała i zobojętniała. Przestraszył się milczącego widma, które zastąpiło jego piękną córkę. Nakazał jej schodzić na dół, do jadalni i Samantha posłuchała. Wspólne posiłki upływały w pełnym goryczy milczeniu.

W ciągu następnych kilku miesięcy nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni. Była uprzejma, odpowiadała na pytania; poza tym się nie odzywała. Zachowywała się grzecznie w stosunku do gości ojca, nigdy jednak życzliwie.

W domu coraz częściej pojawiali się brytyjscy oficerowie. Charleston padł, a Brytyjczycy panoszyli się po całym Williamsburgu łupiąc majątki tych, którzy nie chcieli się do nich przyłączyć. Gardziła nimi w duchu, zachowując na zewnątrz uprzejmą, obojętną twarz. Jej chłód odstraszał wszystkich ewentualnych zalotników aż do chwili pojawienia się pułkownika Williama Foxwortha.

Samantha przechodziła obok drzwi, gdy uszu jej dobiegł wyniosły głos jakiegoś Brytyjczyka, który zwracał się do jej ojca. Miała pójść dalej, lecz zatrzymało ją wymienione przez niego nazwisko O'Neillów.

- Zostanie pan sownie nagrodzony za tę informację - obiecał Anglik.

- Mają umrzeć i to obaj - powiedział Robert Chatham.

- Zostaną uwięzieni na statku - padła odpowiedź. - Wielu bardzo szybko tam umiera. Oczywiście, o ile nie zgodzą się do nas przyłączyć.

- O'Neillowie? Nigdy. Jak wszyscy Irlandczy-

cy, są uparci. Nie mają żadnego poczucia lojalności w stosunku do króla i jakiegokolwiek władzy. To mąćciele.

- Poza tym ma pan prawo do skonfiskowanego majątku - dodał angielski oficer.

- Ich plantacji?

- Należy do pana. Chcemy, by Południowa Karolina była w rękach lojalnych Anglików, takich jak pan.

Samantha nie mogła dłużej tego słuchać. Pchnęła drzwi i stanęła przed ojcem.

- Czy nie masz już ani krzty honoru? - oskarżyła go ignorując zupełnie wysoką postać w czerwonym mundurze. - Nie wystarczy ci, że zabiłeś Brendana?

Twarz Roberta Chathama zbiałała.

- Natychmiast opuść ten pokój - powiedział ostrym tonem. - Później się tobą zajmę.

Samantha patrzyła na niego bezradnie.

- Nie rób tego, ojciec. Proszę. Czy nie dość złego uczyniłeś?

- Zapomniałaś już? To oni zabili twoją matkę - odparł ojciec ze złością. - A teraz wyjdź, bo każę służbie cię wyprowadzić.

Wiedząc, że jest do tego zdolny, Samantha wyszła trzaskając drzwiami.

Chatham zamierzał właśnie przeprosić swego gościa, gdy zauważył w jego oczach zainteresowanie.

- Bardzo piękna młoda dama. I bardzo szczerą.

- I niezbyt posłuszna - rzekł Chatham. - Jest młoda i wszystko głęboko przeżywa.

- Czy jest zaręczona?

Chatham uniósł brew. Czyżby Foxworth interesował się jego córką? Miał dobrą prezencję i odpowiednie koneksje.

- Nie - odparł. - Nie ma nikogo.

- Chciałbym jej złożyć wizytę... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Chatham odczuł nagły przypływ nadziei. Może to jest właściwa okazja.

- Oczywiście - powiedział. - Będę zaszczycony.

- A pańska córka? Wydaje się sympatyzować z rebeliantami.

- Polityka jej nie obchodzi. W dzieciństwie durzyła się w rebeliancie.

- Co się z nim stało?

- Nie żyje. - Ta odpowiedź ucięła wszelkie dalsze pytania.

- Przez kilka następnych dni będę na służbie - powiedział Foxworth. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, po powrocie złożę pannie Samancie wizytę.

- Tak, tak. Oczywiście - odparł Chatham.

- A O'Neillowie?

- Zostaną aresztowani dziś po południu. Obaj.

- Dobrze. Może, gdy ich nie będzie, zapanuje tu wreszcie porządek.

Oficer zasalutował krótko i wyszedł.

Chatham udał się na górę do pokoju córki. Czytała i nawet nie podniosła głowy, gdy wszedł. Jej milczenie znów obudziło w nim złość. Zabrał jej książkę.

- Pomimo twego niewybaczalnego zachowania - powiedział - pułkownik Foxworth pragnie ci złożyć wizytę.

- Nie - odparła. - Nie przyjmę go. Nie będę przyjmowała najeźdźców i morderców.

- Przyjmiesz go - powiedział - albo...

- Albo co? - zapytała. - Nic już nie możesz mi zrobić.

- Niezapełnie.

Ogarnął ją strach. Poczwała nagle, że ojciec zdolny jest do wszystkiego.

- Przyjmiesz pułkownika Foxwortha. I będziesz dla niego miła. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziała wreszcie.

- Zostaniesz w tym pokoju przez trzy dni - zabrał książkę. - Bez żadnych rozrywek. Zastanawiaj się nad poprawą swego zachowania.

To było dwa dni temu. Został jej jeszcze jeden dzień. Potem zostanie wypuszczona i znów będzie mogła dosiąść swej klaczy i gnać jak wiatr - na tyle szybko, by zapomnieć o dręczących ją myślach.

Samantha kręciła się nerwowo, gdy tymczasem pułkownik Foxworth nalegał, by przyjęła jego zaproszenie na bal oficerski w przyszłą sobotę.

Czuła pogardę dla tego wyniosłego, aroganckiego mężczyzny, który uporczywie narzucał jej się ze swymi względami, doskonale wiedząc, że jest mu nieprzychylna.

Choć zimny i wyrachowany, Foxworth był

przystojnym mężczyzną, a czerwony mundur doskonale leżał na zgrabnej sylwetce. Oczy miał bladoniebieskie i chłodne. Jaki ogromny kontrast z roztańczonymi, ciepłymi oczami Brendana! Schludnie przystrzyżone włosy były upudrowane i związane z tyłu satynową wstążką.

Wiedziała, że innym dziewczętom wydawał się atrakcyjny. Jej przypominał niebezpiecznego węża gotującego się do ataku.

- Pani ojciec udzielił swej aprobaty - mówił właśnie. - Uważa, że powinna pani więcej bywać wśród ludzi.

Patrzyła na niego wyczuwając zawoalowaną groźbę kryjącą się w jego słowach. Wiedząc, że ma za sobą poparcie jej ojca, stawał się coraz bardziej pewny siebie.

- Niezbyt dobrze się czuję w tym tygodniu, pułkowniku - powiedziała zimnym tonem.

- Nie sądzę, bym mogła stanowić dla pana przyjemne towarzystwo.

- Pani towarzystwo jest zawsze przyjemne - odpowiedział. - Sama pani uroda stanowi wystarczającą atrakcję. - Wyciągnął rękę i dotknął pasemka jej włosów. - Są takie piękne.

Samantha gwałtownie cofnęła głowę.

- Pułkowniku Foxworth, za wiele pan sobie wyobraża. Niestety, nie mogę skorzystać z pańskiego wspaniałomyślnego zaproszenia. Jestem pewna, że będę zbyt chora, by iść na bal.

Uśmiechnął się sztywno, a w jego oczach pojawiła się złość.

- Zobaczymy, Samantho. Może jutro poczuje

się pani lepiej. Przyślę pani lekarza pułkowego. Może on coś poradzi.

- To nie będzie konieczne - odparła zimno. - W poniedziałek powinnam już być zdrowa.

Foxworth z trudem zapanował nad sobą. Lubił wyzwania, ale tym razem posunęła się za daleko. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest warta zachodu, ale przypomniał sobie o majątku jej ojca. Sam był trzecim synem angielskiego lorda i nie miał nic poza bezużytecznym nazwiskiem. Musiał się bogato ożenić.

Opanowując gniew pochylił się nad ręką Samantha i pocałował ją.

- Odwiedzę panią jutro. Może poczuje się pani lepiej.

- Wątpię - odparła zimno. - Henry pana odprowadzi. - Zadzwoiła na służącego i bez słowa wyszła.

Po odjeździe Foxwortha szybko udała się do stajni. Gdy stajenny imieniem Hector osiodłał Sundance, Samantha pogłaskała klacz i dała jej jabłko. Sierść konia była rzadko spotykanego jasnozłotego koloru, który wydawał się błyszczeć w słońcu.

Sundance była potomkiem klaczy, którą Samantha otrzymała w prezencie od swojej matki. Był to jej pierwszy koń i bardzo go kochała. Gdy klacz zdechła wydając na świat źrebię, dziewczyna była niepokieszona. Wtedy zajęła się konikiem, który cudem utrzymał się przy życiu. Samancie wydawało się, że Sundance jest wszystkim, co

jej pozostało po matce i całym sercem przywiązała się do zwierzęcia.

Nawet jako źrebię Sundance chodziła wszędzie za Samantha. Wydawało się, że tę dwójkę łączy coś szczególnego. Po śmierci Brena dziewczyna spędzała z klaczą jeszcze więcej czasu, rozmawiała z nią i szczotkowała jej złocistą sierść.

Gdy Samantha znalazła się w siodle, skierowała konia ku rzece. Nadszedł czas, aby odwiedzić jaskinię, w której tyle razy spotykała się z Brenem i gdzie umówili się też ostatniego dnia. W ciągu minionego roku unikała tego miejsca. Bała się bolesnych wspomnień. Dziś jednak pragnęła poczuć obecność Brena, przypomnieć sobie jego ciepły uśmiech.

Jaskinia znajdowała się na granicy Chatham Oaks. Od Glen Woods, plantacji O'Neillów, dzieliły ją dwie inne posiadłości i bagnisty las, który stał się miejscem spotkań dwojga młodych przyjaciół. Jaskinię pokazał im starszy brat Brena, Connor. Było to jego ulubione miejsce zabaw, gdy był jeszcze chłopcem. Zobowiązawszy dwójkę dzieci do zachowania tajemnicy, zdradził im swoją kryjówkę.

W tamtych czasach Samantha przepadała za Connorem. Był o wiele od nich starszy, prawdziwy młody dżentelmen, a mimo to nie żał mu było czasu na zabawę z dwojgiem dziesięciolatków. Traktował ich jak dorosłych, pokazywał las i jego życie ucząc szacunku dla przyrody. Nauczył ich też strzelać. Śmiał się, gdy okazało się, że jest w tym lepsza od Brena, który zamiast się złościć

podziwiał ją. Chyba właśnie wtedy zorientowała się, jak szczególną osobą był Bren.

W tym czasie wydarzyła się tragedia. Nie знаła szczegółów, ale wiedziała, że umarła matka Brenna. A potem jej własna. Ojciec winił za tę śmierć O'Neillów. Były groźby i strzały. Zabroniono im się widywać. Oni jednak nie przejęli się kłótnią dorosłych. Nadal spotykali się po kryjomu, prawie zawsze w jaskini.

Bren mówił jej, że brat zajmuje równie nieugięte stanowisko jak jego ojciec. Nie widziała Connora przez długi czas. Wyjeżdżał do Anglii, a potem celowo trzymał się z dala od Chatham Oaks. Owego strasznego poranka, gdy zginął Bren, widziała go po raz pierwszy od wielu lat. Pomyślała o nim, teraz pogrzebanym żywcem na więziennym okręcie. Słyszała o okropieństwach, jakie się tam dzieją i modliła się, by przeżył. Pomimo słów, jakie wypowiedział tamtego dnia, nadal pamiętała jego dobroć i cierpliwość okazywaną jej w dzieciństwie.

Jaskinia była zarośnięta i Samantha nie mogła jej w pierwszej chwili odnaleźć. Odsunęła zarośla zasłaniające wejście i weszła do środka.

Powoli wzrok przyzwyczaiał się do panującego we wnętrzu półmroku. Dziewczyna siadła na ziemi dziwiąc się spokojowi tego miejsca. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy przypomniała sobie godziny spędzone tu z Brendanem na rozmowach, żartach i snuciu planów na przyszłość. Ukryła twarz w dłoniach płacząc nad Brenem, Connozem i sobą.



Wiedziała, że musi wracać, nim złączą jej szukać. Wytarła oczy i rozejrzała się po jaskini. Wzrokiem odnalazła dwa tobołki z ubraniami, które przygotowali z myślą o ucieczce. Odzież była wilgotna i lekko pachniała pleśnią, ale nadal znajdowała się w dobrym stanie.

W końcu ruszyła w drogę powrotną. Dotarwszy do Chatham Oaks zsiadła z konia i odprowadziła Sundance do stajni. Hector rozmawiał z domokrażcą i nie zauważył jej. Wprowadziła klacz do stajni tylnym wejściem, rozsiodła ją i wyszczotkowała.

Wychodząc zauważyła ze zdziwieniem, że Hector nadal zajęty jest rozmową. Ukryła się za drzwiami, gdy usłyszała nazwisko „Marion”.

- Tak słyszała Maudie - mówił Hector. - Pułkownik Foxworth powiedział naszemu panu, że Tarleton przygotowuje zasadzkę na pułkownika Mariona. Na plantacji Courseya.

- Dzięki tobie będzie to zasadzka na Tarletona - odparł domokrażca. - Bądź ostrożny, Hectorze. Wrócę w przyszłym tygodniu.

Hector odwrócił się w stronę stajni i na widok Samantha zeszywniał ze strachu.

- Panienska Samantha. Nie widziałem panienki.

- Nie bój się, Hectorze - uspokoiła go. - Nikomu nic nie powiem.

Jego twarz rozluźniła się nieco. Byli w tym samym wieku i niemalże razem dorastali. Gdy byli dziećmi, Samantha, mimo wyraźnego zakazu, nauczyła Hectora czytać. Mówił po angielsku równie dobrze jak ona, ale zwykle dla własnego bez-

pieczeństwa posługiwał się żargonem niewolników.

- Pomogasz Lisowi z Bagien - stwierdziła.

- Nie, panienko. - Znów wrócił strach.

- Nie bój się. Nie przepadam za Brytyjczykami. Nie zdradzę twojej tajemnicy. - Zaczęła odchodzić w stronę domu, ale zawróciła. - Hectorze, ja też chcę wam pomóc.

- Panienska? To niebezpieczne.

- Mniej dla mnie niż dla ciebie. Kto by podejrzewał córkę jednego z najzagorzalszych torysów w Południowej Karolinie? - zapytała z rozgoryczeniem. - Chcę to zrobić... muszę... dla Brena, dla O'Neillów.

Hector patrzył na nią niezdecydowany. Mogła okazać się bezcennym sprzymierzeńcem; wiedział, że nie brak jej odwagi i determinacji.

- To będzie musiało zostać tylko między nami - powiedział w końcu. - Nikt inny nie może o tym wiedzieć. Panienska przekaże mi informacje, a ja dam znać pułkownikowi Marionowi.

Podczas obiadu ojciec był zły.

- Pułkownik Foxworth mówił, że odrzuciłaś jego zaproszenie na bal.

- Zmieniłam zdanie - odparła z uśmiechem.

- Możesz mu o tym powiedzieć. Na pewno się zobaczą. Zostało w okolicy jeszcze kilka domów do spalania.

- Do licha, Samantha. Nie chcę więcej słyszeć tego tonu. Cieszę się, że się zgodziłaś - dodał łagodniej. - To dobra partia, doskonałe nazwisko.

- Nie - odparła bezbarwnym tonem. - Pójdę na bal, ale nigdy go nie poślubię. Nigdy.

- Zastanów się. Dał mi do zrozumienia, że przy odrobinie zachęty z twojej strony poprosi o twą rękę.

Nie odezwała się, ale w duchu ślubowała sobie, że prędzej umrze, niż wyjdzie za Foxwortha.



Connor wiedział, że do końca życia nie zapomni fetoru, który przenikał wszystko na okręcie. O'Neillowie zostali zabrani dwa tygodnie wcześniej. Dom spłonął na ich oczach w chwilę potem, gdy odmówili wstąpienia do królewskiego pułku. Związano im ręce i wraz z innymi sympatykami wigów załadowano na wóz. Tuż przed odjazdem jeden ze służących wsunął Connorowi nóż. Była to niedźwiedzia przysługa. Ledwie zdążył przeciąć więzy swoje i ojca, gdy zauważył to jeden z oficerów. Zostali ponownie związani i po przybyciu do Charlestonu zakuci w żelazne obręcze przeznaczone dla szczególnie kłopotliwych więźniów.

Leżąc w dolnej ładowni statku Connor wciąż miał w uszach złowieszczy dźwięk młota zakuwającego obręcz na jego nodze. Żelazne obręcze boleśnie obcierały mu nogi, które wkrótce pokryły się ropiejącymi ranami. Było to jednak niczym w porównaniu z okropnym fetorem.

Więzienne okręty były okrętami śmierci. Pod pokładem roiło się od zarazków tyfusu i innych chorób; powietrze przenikał odór potu, zepsutego jedzenia i odchodów. Trudny do zniesienia upał prawie uniemożliwiał oddychanie. Jak dotąd jednak O'Neillowie żyli.

Cały czas przebywali w ciemności nie widząc nawet własnych twarzy. Było razem dwudziestu buntowników skutyh łańcuchami i skazanych na szczególnie surowe traktowanie. Codziennie wyprowadzano ich na pokład na dwie godziny. Jedzenie było okropne. Chleb z robakami, zepsuta wieprzowina, łój i groch...

Connor patrzył, jak ojciec coraz bardziej opada z sił. Stary stracił chęć do życia po śmierci Brena, a teraz zupełnie przestało mu zależeć na czymkolwiek.

Connor czasem zastanawiał się, co motywuje jego własną chęć przeżycia. Śmierć była tu na porządku dziennym, i nie tylko z powodu choroby. Wielu po prostu popadło w zgubną apatię.

Connor miał jednak do wyrównania pewne rachunki. Wiedział od innych więźniów, że swój pobyt tutaj zawdzięcza Robertowi Chathamowi. Dowiedział się też, że Chatham otrzymał Glen Woods - majątek skonfiskowany O'Neillom. Chatham zapłaci mu za to... Za każdą chwilę, którą wraz z ojcem tu spędzą. Drogo za to zapłaci.

Connor liczył dni i tygodnie. Stracić rachubę czasu znaczyło stracić rozum. Minęły już prawie cztery miesiące od momentu, gdy znaleźli się na statku: Każdy dzień dłużył się bez końca. Dla zachowania sprawności umysłu Connor zaczął przypominać sobie treść przeczytanych kiedyś książek. Miał wyjątkowo dobrą pamięć, która teraz okazała się niezwykle cenna. Pamiętał niemal

całe książki i często recytował je ojcu i innym więźniom, podtrzymując ich w ten sposób na duchu.

Potem na statku wybuchła ospa.

Smród był gorszy niż kiedykolwiek. Słodkawy zapach choroby i śmierci przenikał wszystko.

Connor został zaszczepiony przeciw ospie na początku wojny, gdy służył w milicji; Gerald O'Neill nie miał takiego szczęścia. Nie miał też siły, by walczyć z chorobą. Umierał powoli, a jego jęki ginęły wśród przekleństw wyczerpanych, umierających towarzyszy.

Ostatnim tchnieniem wzywał Brendana i Connor znów odczuł stary ból. Choć to on był najstarszy, dawno zorientował się, że to brat jest ulubieńcem ojca. Gerald O'Neill starał się kryć swe uczucia, ale trudno było nie dostrzec blasku w jego oczach, gdy patrzył na młodszego syna.

Connor zresztą też darzył Brendana uczuciem. Podobnie jak ich rodzice, Bren kipiał radością życia. Zawsze pełen dobrego humoru, nieustannie obmyślał psoty, które nigdy nie były złośliwe.

Connor natomiast był poważny i odpowiedzialny. Tak bardzo różnił się od pozostałych członków rodziny, że wydawało mu się czasem, iż musi być podrzutkiem. Patrzył na świat z powagą i opiekował się młodszym o dwanaście lat bratem. Po śmierci matki, gdy ojciec zaczął szukać pocieszenia w butelce, Connor zajął się całą posiadłością. Od dziesięciu lat praktycznie kierował Glen Woods - jedną z najbogatszych plantacji in-

dygo nad rzeką Pee Dee. Teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, nie miał nic. Dom został spalony, ziemię skonfiskowano, a ojciec z bratem nie żyli.

Connor nie powiadomił strażników o śmierci ojca. Wiedział z doświadczenia, że umarłych wrzucano do łodzi i grzebano na plaży. Burze często rozmywały cienką warstwę piasku i ciała pływały potem w morzu. Connor zamierzał poprosić o godziwy pochówek dla ojca. Sądził, że uda mu się przekonać brytyjskiego oficera.

Znalazłszy się na pokładzie Connor rozejrzał się uważnie. Jeden z angielskich oficerów patrzył w jego stronę, przyglądając się trzymanym przez Connora zwłokom. Podszedł bliżej.

- Ten człowiek nie żyje - powiedział ze złością oficer do jednego ze strażników. - Dlaczego nie zabrano go wcześniej? Dlaczego jest jeszcze skuty?

- Nikt nam nie powiedział - usprawiedliwił się strażnik.

- Zróbcie to teraz - rozkazał oficer patrząc na Connora.

Chciał się odwrócić, gdy Connor zatrzymał go.

- Sir?

- Tak? - odezwał się oficer ze zniecierpliwieniem.

- To mój ojciec. Czy mógłbym otrzymać pozwolenie na pochowanie go na brzegu?

Anglik dokładnie przyjrzał się więźniowi. Jego odzież była w strzępach, ale twarz, choć zaróżniona i brudna, wyrażała pełen godności spokój.

- Rozkuć ich obu - nakazał strażnikom. Potem zwrócił się do Connora: - Wasze nazwisko?

- O'Neill.

- Możecie udać się na brzeg z następną grupą roboczą. Będziecie mogli go tam pochować i oznakować miejsce.

- Dziękuję.

- Nie dziękujcie mi - powiedział oficer. - Spodziewam się, że zrobilibyście to samo dla mnie.

Connor pochował ojca na niewielkim wzniesieniu pod wielkim dębem. Pożyczył siekiere od jednego z więźniów oddelegowanych do rąbania drewna i sporządził prowizoryczny krzyż. Zmęczony siedł obok grobu, gdy tymczasem inni przenieśli się dalej, aby wycinać i zbierać drewno na opał. Strażnicy zostawili Connora w spokoju. Uważali, że jest zbyt słaby na ucieczkę.

Connor odpoczywał przez kilka minut, potem zaczął wolno przemieszczać się w stronę lasu. Był już wśród drzew, gdy strażnik powrócił i zauważył jego zniknięcie.

Gdy Connor usłyszał alarm, przestał się kryć i zaczął biec. Przez jakiś czas udawało mu się ująć przed pogonią. Nogi jednak nie wytrzymały. Wtedy zakopał się głęboko w poszyciu leśnym i przykrył liśćmi. Słyszał odgłosy stóp przebiegających obok ludzi. Później ktoś zbliżał się powoli. Jeden ze strażników szukał go rozgarniając muszkietem krzaki.

Connor zdecydował, że nie wróci na statek. Wolał raczej umrzeć. Gdy poczuł pchnięcie muszkietem, odwrócił się nagle i odepchnął strażni-



ka. Nie był jednak dość szybki. Broń eksplodowała, a bok Connora przeszył piekący ból. Zaskoczony strażnik upadł. Connor złapał za muszkiet i niczym pałką okładał Anglika aż ten zniechęcił się. Potem zabrał mu róg z prochem i podpierając się muszkietem jak kulą znikł w gęstym lesie.

Wyczerpany, głodny i dręczony piekącym bólem w boku Connor włókł się od drzewa do drzewa. Głód stał się jego potężnym wrogiem; przesładował go, podkopywał siły i odwracał uwagę od kontynuowania ucieczki.

Nie mniej niebezpieczny był ból w boku, który nasilał się coraz bardziej. Connor wiedział, że rana sama w sobie nie jest śmiertelna, ale bał się infekcji i utraty krwi. Potrzebował pomocy i to szybko.

Każdy krok był dla niego wielkim wysiłkiem. Nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach upadł na zwalone drzewo i stracił przytomność.

Głos dochodził z dużej odległości niczym echo odbijające się od ścian doliny. Connor sięgnął po broń. Nie było jej.

- Mamo... mamó - mówił głos. - Tu jest jakiś obcy, jest ranny.

Próbował oprzytomnieć, skupić się na słowach. Ból przychodził falami. Connor drgnął, gdy twarzą dotknęła jego twarzy. Nie potrafił powstrzymać jęku, kiedy rozżarzone węgle w boku rozpaliły się na nowo.

- Już dobrze - mówił kobiecie głos. - Leżcie spokojnie... Pomogę wam.

Półprzytomny, słyszał jak kobieta zwraca się do kogoś.

- To pewnie ten, co go szukają po całym lesie... Johnny, biegnij po koce i bandaże. Przynies też whisky ojca. I miej oczy otwarte.

- Gdzie... gdzie jestem?

- Nad Santee - odpowiedziała. - Nie wiem, jak udało się wam dostać aż tutaj... w takim stanie.

- Ukradłem łódź - powiedział wolno, domyślając się, że znalazł przyjaciela.

- Gdzie ona jest?

- Zatonęła.

- Rozejrzemy się. Może uda nam się znaleźć lepszą - powiedziała. - Nie możecie tu długo zostać... Przeszukują całe wybrzeże. Bardzo im na was zależy.

Chłopak wrócił z kocami, bandażami i dzbanem. Z ciekawością patrzył, jak matka zręcznie zdejmuje łańchman, który był kiedyś koszulą. Dotknęła spuchniętego, poszarpanego ciała wokół rany. Connor mimowolnie zaklął.

- Nie wygląda dobrze - powiedziała wreszcie - ale mogło być gorzej. Przemyję ranę whisky, ale najpierw się napijcie.

Nie trzeba go było namawiać. Pociągnął duży łyk z dzbana i zacisnął zęby na kawałku drewna podanym przez Johnny'ego. Ból był większy niż to sobie wyobrażał. Czuł, jakby cały jego bok stanął w płomieniach. Mocniej zacisnął zęby.

- Już po wszystkim - odezwała się kobieta.
- To oczyści ranę.

Podniósł wzrok starając się dojrzeć jej rysy. Zobaczył jak przez mgłę wysoką, kościstą kobietę o postarzałej, pomarszczonej twarzy.

- Przyniosę wam coś do jedzenia... Dobrze się ukryjcie. Johnny będzie was pilnował.

- Jestem pani bardzo wdzięczny. Nie chciałbym, żebyście mieli przeze mnie kłopoty.

- Już mamy kłopoty - rzekła z goryczą. - Będzie rok jak ci przekłęci Anglicy zabrali mojego Johna. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Mówią, że niektórych wzięli na statek, żeby walczyli za Anglię w innych krajach. - Splunęła na ziemię.

- Nigdy dużo nie mieliśmy, ledwo kilka akrów, ale to był dobry człowiek i ciężko pracował. Zrobię wszystko, żeby narobić im kłopotów. I Johnny też. Zaraz wrócę z jedzeniem.

Connor najadł się do syta. Poczował, jak wracają mu siły.

- Chciałbym jakoś się wam odwdzińczyć.

- Odwdzięczycie się najlepiej uciekając... Prześpijcie się teraz. Żałuję, że nie mogę was zabrać do chaty, ale mieliśmy już gości i pewnie jeszcze wrócą.

Gdy Connor znów się obudził, niebo ciemniało. Kiedy spał, ktoś zostawił obok niego bochenek chleba i dzban wody. Nadal odczuwał ból w boku, ale syty był silniejszy niż kilka godzin wcześniej.

Usłyszał plusk wody tuż za sobą. Odprężył się słysząc głos chłopca.

- Panie?

- Johnny... Jestem tutaj.

Chłopak pojawił się w małej łódce.

- Wszędzie pełno Anglików... Mama mówi, żeby pan uciekał. - Uśmiechnął się widząc, że Connor rozgląda się dokoła z niepokojem.

- Jeżeli szukacie strzelby, to jest za tamtym krzakiem. Schowałem ją, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że jesteście patriotą.

Connor spojrział na chłopca.

- Zostawiłbym ci ją, ale może mi się przydać.

- Zastanowił się przez chwilę. - Obiecuję, że dostaniesz strzelbę. Jakoś ci ją podrzucę. Jak się nazywacie... Ty i twoja matka?

- Ja jestem Johnny Brown, a mama nazywa się Ellie. To od Ellen. Ładne imię, prawda? - Ostatnie słowa wypowiedział z nieśmiałą dumą.

- Bardzo ładne i jest też ładną kobietą. Powiedz jej to. Powtórz też, że będę wam wdzięczny do końca życia.

Johnny wyszedł na brzeg i pomógł Connorowi wsiąść do łódki. Ułożywszy muszkiet i proch obok wyładowanej jedzeniem torby, Connor złapał za wiosło.

- Powodzenia - dobiegł go głos z brzegu.

Podróżował przez następne dwie noce odpoczywając za dnia. Często napotykał patrole, ale bardzo starannie krył się z łódką. Postanowił przyłączyć się do Francisa Mariona. Słyszał, że nadal jest na Snow Island leżącej w zlewisku Lynch's Creek i Pee Dee. Fran był jego dowódcą

na Wyspie Sullivana. Byli dobrymi przyjaciółmi. Po dotarciu do obozu Mariona będzie mógł dokonać odwetu.

Żądza zemsty była siłą, która pchała go naprzód. Łagodziła ból, pozwalała zapomnieć o wyczerpaniu i stracie ojca. Stała się jedynym celem jego życia.

Był na rzece od trzech dni i zaczynał się już niecierpliwić. Musiał jednak posuwać się ostrożnie, by nie natknąć się na patrol. Dopiero brak jedzenia osłabił jego czujność. Wiedząc, że znajduje się w pobliżu swej dawnej plantacji, zamyślił się i nie zauważył płonącego ogniska.

- Stać! Kto to?

Ostre wezwanie wyrwało go z zamyślenia. Nie wiedział, czy wartownik go widział, czy tylko słyszał plusk wiosła. Dobił do brzegu, wziął muszkiet i ukrył się w poszyciu. Znowu czuł się jak ści-gane zwierzę. Tym razem jednak miał broń i mógł walczyć.

Przez całe życie polował na brzegach Pee Dee. Znał każde drzewo w tym lesie. Wiedział, że jest niecałą milę od Glen Woods. Usłyszał zbliżające się kroki. Ukryty za olbrzymim cyprysem czekał cierpliwie. Dojrzał kawałek czerwonego munduru. Miał szczęście. Miejscowi torysi znali las równie dobrze jak on, angielscy żołnierze natomiast byli niczym zagubione w borze dzieci.

Muskiet Gonnora spadł na głowę żołnierza i powalił go bez najmniejszego dźwięku. Connor zaczął się na drugiego wartownika.

Słyszając hałas tuż za sobą odwrócił się z bronią gotową do strzału. Anglik też go zauważył, lecz

jego muszkiet zwrócony był w inną stronę. Connor wystrzelił. Zobaczył, jak mężczyzna wolno pada z wykrzywioną twarzą.

W tym momencie coś szarpnęło nogę Connora w kostce. Muszkiet wbił mu się w zraniony bok. Rana otworzyła się i zaczęła krwawić. Padając uderzył pierwszego żołnierza. Zauważył w jego dłoni nóż. Udało mu się wykręcić rękę wroga i uniknąć ciosu. Chwycił nóż i odrzucił go w las.

Obaj mężczyźni byli ranni i walczyli o życie. Connor krwawił. Czuł, że traci siły. Wiedział, że musi szybko zakończyć tę walkę. Jedną ręką przytrzymał przeciwnika na ziemi, a drugą szukał jakiejś broni. Natrafił palcami na kawałek skały o ostrych krawędziach. Uniósł ramię i aż drgnął, gdy kamień spadł na głowę wroga. Mężczyzna przestał się ruszać. Connor znużony usiadł. Całą koszulę miał we krwi. Wiedział, że nie może tutaj zostać. Wiedział też, że z taką raną daleko nie zajdzie. Pobliskie lasy roiły się od torysów i Anglików.

Jaskinia. Nie był tam od lat, od czasu gdy pokazał ją Brendanowi i córce Chathama. Ukryta w nierównościach terenu była niewidoczna. On sam odkrył ją przypadkowo, gdy jeden z psów zapędził się do środka w pogoni za królikiem.

Uznał, że przeczeka tam do czasu, aż odzyska nieco sił. Potem przedostanie się do obozu Mariona.

Samantha bawiła się z Sundance. Ukryła jabłko za plecami, pozwalając, by klacz odszukała je i schrupała.

Znów opanowało ją przygnębienie. Odkryła w sobie niespodziewany talent do podsłuchiwania. Aż za dobrze grała swą rolę. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że przyczyna błysku w oczach i zaróżowienia policzków zostanie tak błędnie odczytana.

Bal minął szybko. Musiała się tylko uśmiechać, a angielscy oficerowie prześcigali się w nadskakiwaniu i prawieniu jej komplementów. Opowiadali o swych wyczynach i zbliżających się „niebezpiecznych misjach”. Otwarcie mówili o planach pułkownika Tarletona, który chciał schwytać tego „przekłętego Lisa z Bagien”. Pytali, czy mogą jej złożyć wizytę, a ona tymczasem rumieniła się i zapamiętywała daty, miejsca i nazwy jednostek wojskowych. Jej zachowanie nie uszło, niestety, uwagi Foxwortha, który na koniec wieczoru zaczął posyłać jej pełne złości spojrzenia.

A dzisiaj, prawie tydzień później, podsłuchiwała, jak obaj z ojcem rozmawiali na jej temat.

- Chcę otrzymać odpowiedź - mówił Foxworth ze złością, gdy przyłożyła ucho do drzwi biblioteki.

- Pragnę tego małżeństwa tak samo jak ty  
- odpowiedział ojciec. - Masz moją zgodę. Przy-  
sięgam, że ona też się zgodzi. Są na to sposoby.

- Jestem pewien, że sobie z tym poradzisz  
- odparł Foxworth.

- A co z O'Neillem? - spytał nagle ojciec.

- Nie sądzę, by daleko zaszedł. Znaleźli ślady  
krwi, a po czterech miesiącach na statku na pew-  
no jest osłabiony. Prawdopodobnie znajdziemy  
go gdzieś nieżywego.

Ojciec skrzywił się z niesmakiem.

- Jak do diabła udało mu się uciec?

- Jego ojciec zmarł. Jakiś porucznik marynarki  
o miękkim sercu pozwolił mu pochować go na  
brzegu. Na Boga, zapłacili za ten akt miłosierdzia.

Słyszając zbliżające się do drzwi kroki Samantha  
uciekła do kuchni.

Connor uciekł! Gerald O'Neill nie żyje! Przy-  
pomniała sobie najstarszego z O'Neillów takim,  
jakim był wiele lat temu. Miał dobre serce jak  
Connor i gęste, rude włosy. Umiał pięknie opo-  
wiadać. Samotna łza spłynęła po jej policzku. My-  
ślała, że wypłakała już wszystkie. „Proszę, niech  
Connorowi nic się nie stanie” - błagała Boga. Bała  
się, że może jej nie wysłuchać.

Nagle przeraziła ją jej własna sytuacja.

- Nie wyjdę za niego. Nie mogę tego zrobić  
- szepnęła do ucha Sundance. Wiedziała jednak,  
że ojciec nie żartuje. Wołała nie myśleć o jego  
„sposobach”. Nie miała wyboru, musiała opuścić  
dom.

Czuła przenikliwy chłód. Nie miała dokąd



pójść, żadnych przyjaciół. Ojciec zadbał o to, by sprawa jej stosunków z Brendanem przedstawiona została w odpowiednim świetle. W rezultacie wszyscy się od niej odwrócili.

- Tylko ty mi zostałeś - szepnęła do Sundance.

Samotna kobieta, bez pieniędzy, w beznadziejnym położeniu. Postanowiła, że nie zostawi Sundance, choćby walił się świat.

Gdyby tylko była mężczyzną, pomyślała. Przyłączyłaby się do pułkownika Mariona. Wtedy nikt nie dyktowałby jej, za kogo ma wychodzić za mąż.

Mariona zwali Lisem z Bagien. Nazwał go tak pułkownik Banastre Tarleton, gdy Marion zniknął na bagnach. To nie miał być komplement, lecz jego ludzie przyjmowali ten przydomek z dumą, a okoliczni mieszkańcy uwielbiali ubarwiać opowieści o wyczynach nieuchwytnego Lisa z Bagien ku niezadowoleniu Anglików i miejscowych torysów.

- Gdyby nie te włosy - Samantha myślała na głos. Wiedziała, że w oddziale Mariona jest kilku chłopców. Widziano ich w ogniu walki.

A może...?

Samantha jeździła konno równie dobrze jak mężczyzna. Miała też talent do strzelania. Jak długo jednak byłaby w stanie ukrywać swą prawdziwą płęć?

Jej myśli gnały naprzód. Miała ważne informacje dla pułkownika Mariona. Wiedziała, co robić, aby jej włosy straciły połysk, a skóra miękkość. Piersi mogła przewiązać, a reszta jej ciała i tak była kanciasta.

Podjęła decyzję. Dzisiejszego wieczoru zniknie. Najpierw uda się do jaskini, gdzie przebierze się w chłopięcy strój, a potem przedostanie się na Snow Island do kryjówki Lisa z Bagien.

Samantha wzięła do ręki nożyczki. Zawahała się, patrząc w lustro.

Właśnie dziś włosy wydały się jej szczególnie piękne. Przypomniała sobie, jak bardzo lubił je Brendan. Przeczesywał palcami długie pukle, mówił, że widzi w nich skaczące płomienie. Myślała wtedy, że to bez sensu, ale i tak podobało jej się.

- Brendan - szepnęła - gdybyś tylko tu był.  
- Upływ czasu nie zdołał ukoić dręczącego ją bólu. Pochyliła się w stronę lustra unosząc nożyczki. Złapała garść włosów i bez wahania zaczęła ciąć.

Przystrzygła je krócej, niż to nakazywała moda. Uważała jednak, że wciąż wygląda zbyt kobieco. Wzięła przygotowaną farbę i zaczęła wcierać we włosy. Potem zaczesła je do tyłu i jeszcze raz spojrzała do lustra. Wyraźna różnica. Twarz nadal była zbyt delikatna, ale farba mogła zaradzić i temu. Szybko nałożyła ją na policzki i wtarła w skórę; tym razem z lustra patrzyła na nią obca twarz niechlujnego wiejskiego chłopaka.

Zmiotła włosy z podłogi i zapakowała je do torby. Nie chciała pozostawić po sobie żadnych śladów. Potem siadła za biurkiem.

Wyjęła papier oraz pióro i zaczęła pośpiesznie pisać nie zważając na kleksy.

*Ojcie... Nie mogę wyjść za pułkownika Foxwortha.  
Jadę na północ, gdzie poszukam posady guwernantki.  
Nie próbuj mnie szukać.*

*Samantha*

Wszyscy już dawno położyli się spać. Samantha założyła pelerynę, zasłaniając ostrzyżoną głowę kapturem. Po raz ostatni spojrzała na pokój. Zatrzymała wzrok na miniaturze z wizerunkiem matki. Przez chwilę miała ochotę ją zabrać, ale zrezygnowała. Mogłaby się zdradzić. Kolejna łza spłynęła jej po twarzy nie zostawiając żadnego śladu. Farba była bardzo trwała.

Bez kłopotu wyszła z domu i zakradła się do stajni. Cicho otworzyła drzwi i podeszła do boksu Sundance. Klacz zarżała na powitanie.

- Cii... - pogłaskała pysk zwierzęcia.

Zaczęła wyprowadzać konia z boksu. Zdawała sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Wszyscy w okolicy znali złocistą klacz Chathama. Nie mogła jednak jej zostawić.

- Dokąd zabierasz tego konia? - Zaskoczona dźwiękiem znajomego, choć niespodziewanego, głosu, znieruchomiała. Stajenni zwykle tu nie nocowali. Jakiś koń musiał być chory.

- Kto to?

Oświetlono jej twarz.

- Hector! - zawołała. - To ja, Samantha.

Światło zbliżyło się, a jakaś ręka zsunęła z jej głowy kaptur. Młody niewolnik zachłysnął się ze zdziwienia.

- Panienska Samantha? - rozpoznał głos, pelegrynę, sylwetkę. Ale twarz...

Samantha uśmiechnęła się. Skoro Hector jej nie poznał, z innymi też się uda.

, - To naprawdę ja, Hectorze. Opuszczam dom. Nie mogę zostać tu dłużej z człowiekiem, który zabił Brendana i chce mnie zmusić do małżeństwa z mężczyzną, którym gardzę.

- Ale dokąd panienska pójdzie?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Ojciec nie wie, że tu jesteś? - zapytała nagle, zaniepokojona.

- Nie - odparł. - Damen był trochę niespokojny. Chciałem do niego zajrzeć.

Ścisnęła ramię Hectora.

- Muszę iść... Nigdy nie zapomnę ciebie ani Maudie... Powtórz jej, że ją kocham.

Szybko wyprowadziła Sundance ze stajni i ukradkiem przeprowadziła za drzewa. Tam założyła uzdę i zarzuciła koc na grzbiet. Kradzież konia to stosunkowo wiarygodna historyjka; trudniej natomiast byłoby przekonać kogoś, że miała dość czasu, by zabrać także i siodło. Wskoczyła ze zwałonego drzewa na grzbiet konia i skierowała Sundance ku jaskini Brendana.

Gdy dotarła na miejsce, do świtu brakowało około trzech godzin. Nie zamierzała pozostawać w jaskini. Chciała tylko się przebrać i zabrać bransoletkę, którą dostała kiedyś od Brendana.

Ostrożnie zsunęła się na ziemię. Uwiązała luźno Sundance przy wejściu do jaskini, zabrała torbę z włosami, zapawkami, świecami oraz jedze-

niem i weszła do ciemnego wnętrza. Światło księżyca było zbyt słabe, by przeniknąć przez zarośla. U wejścia i w środku panował zupełny mrok. Przystanąła na chwilę, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Niewiele to pomogło. Potknęła się i wypuściła torbę. W kucki, przesuwając dłońmi po podłodze, zaczęła szukać.

Ręka uderzyła o coś i Samantha cofnęła się z przestachem. Potem jeszcze raz, lekko drżąc, wyciągnęła dłoń i natrafiła na stopę. Stopa nie poruszyła się, ale była ciepła i lepka.

Samantha wznowiła poszukiwanie i wreszcie torbę odnalazła. Po omacku odszukała w jej wnętrzu świecę i zapałki. Potarła zapałkę o ścianę jaskini i zapaliła świecę.

Ze światłem w ręku ostrożnie zbliżyła się do leżącej na podłodze postaci. Pochyliwszy się zauważyła brudną twarz brodatego mężczyzny i oniemiała rozpoznając w nim Connora O'Neila.

Uklękła obok niego.

- Connor - szepnęła. - Co oni z tobą zrobili?

Był bardzo wychudzony, a podarta na strzępy odzież ledwo go okrywała. Zasnęta krew utworzyła na koszuli skorupę, ale krwawa plama z boku była wciąż mokra i ciepła. Nadal krwawił. Gdy światło padło na nogi Connora, Samantha wzdrygnęła się na widok ciężkiej żelaznej obręczy otaczającej jego kostkę.

Z ust Connora wydobył się jęk. Samantha dotknęła jego policzka.

- Connor?

Cicho wypowiedziane pytanie pozostało bez odpowiedzi; zorientowała się, że jest nieprzytomny. Twarz miał zimną i lepłą.

Nie wiedziała, co robić. Jak większość właścicielek plantacji była wzywana do chorych niewolników. Jej wiedza medyczna była jednak bardzo powierzchowna. W przypadku bardziej poważnych chorób lub skaleczeń zawsze wzywano lekarza. Wiedziała z doświadczenia, że zimna, lepka skóra jest następstwem znacznej utraty krwi. I że często wskutek tego następuje śmierć.

Ciepło. Tego najbardziej potrzebował. Ustawiła świecę na podłodze i wyszła na zewnątrz. Zdjęła koc z konia i zebrała dużo suchego drewna. Po powrocie do jaskini przykryła Connora kocem i rozpałała niewielkie ognisko. Potem odszukała tobołki z ubraniem i przebrała się.

Musiała wrócić do Chatham Oaks i porozmawiać z Hectorem. Może da jej jakieś lekarstwa z zapasów Maudie i zawiadomi ludzi Mariona? Może Lis z Bagien będzie mógł sprowadzić lekarza i zabrać Connora? Słyszała, że Connor O'Neill walczył kiedyś razem z pułkownikiem, który znany był ze swej lojalności.

Dotarła do Chatham Oaks tuż przed wschodem słońca. Przemknęła między drzewami do chat niewolników i zapukała lekko do drzwi Hectora. Otworzyły się prawie natychmiast.

- Panienko Samantho, dlaczego panienka wróciła? - Stajenny w zaskoczeniu zapomniał o swym żargonie.

Samantha wśliznęła się do środka.

- Musisz mi pomóc... Znalazłam Connora O'Neilla. Jest ranny... W jaskini. Musisz zdobyć jakieś lekarstwa i zawiadomić Francisca Mariona.

Mówiła bełkotliwie, a twarz miała ściągniętą i niespokojną. Nagle opadła na podłogę i ukryła twarz w dłoniach.

- On umiera, Hectorze, a ja nie mogę na to pozwolić. Drugi raz tego nie zniosę.

- Niech się panienka nie martwi. Przyniosę lekarstwa od Maudie... Niech panienka tu zostanie.

Po kilku minutach wrócił z małym pakunkiem.

- Nie mówiłem jej, że panienka tu jest. Powiedziałem tylko, że ktoś zachorował. Niech panienka lepiej już idzie. Kiedy ojciec się obudzi, wyśle nas wszystkich na poszukiwania. Wtedy przedostaną się do pułkownika Mariona. Niech się panienka nie martwi. Wieczorem ktoś zjawi się w jaskini.

Spojrzała na jego zatroskaną twarz i wiedziała, że może mu ufać.

- Ach - zawołała. - Potrzebne mi też wiadro i trochę mydła. Dużo mydła.

Nie zadając żadnych pytań Hector wziął własne wiadro, włożył do niego mydło i pakunek z lekarstwami, po czym podał je Samancie.

- Dziękuję - powiedziała. - Nigdy cię nie zapomnę.

Gdy wróciła do jaskini, światło powoli zaczynało przenikać do jej wnętrza. Wiedząc, że za dnia w lesie będzie roiło się od poszukujących, wprowadziła Sundance do środka.

Ogień prawie zgasł, a Connor leżał dokładnie tak jak go zostawiła. Jego skóra robiła wrażenie suchej, choć może się Samancie wydawało.

Wzięła wiadro i zeszła do rzeki. Napełniła je wodą i pospiesznie wróciła do jaskini. Podgrzała na dogasającym ogniu trochę wody i wrzuciła do niej trochę żywicy z białej topoli. Przygotowała okład z oderwanego strzępu własnej sukni i delikatnie przyłożyła go do boku mężczyzny.

Connor drgnął, a z zaciśniętych ust wydostał się cichy jęk. W świetle dnia Samantha przyjrzała się swemu pacjentowi. Nigdy w życiu nie widziała kogoś równie brudnego. Nie brud jednak stanowił największy problem. Brązowa niegdyś od słońca twarz była ziemista, a skóra okrywała niemalże same kości. Całe ciało pokryte było otwartymi ranami i zainfekowane od ukąszeń. Żelazna obręcz ścisnęła mocno. Blizny zostaną do końca życia.

Wzięła następny kawałek sukienki i usiadła obok chorego. Ostrożnie zaczęła go myć; najpierw twarz, potem miejsce wokół rany. Bała się mocno trzeć, żeby go nie urazić. Część brudu zeszła i Samantha wiedziała, że Connor po przebudzeniu poczuje się lepiej.

I co wtedy? Co mu powie? Jak wytłumaczy swą obecność w jaskini? Pamiętała słowa, jakie rzucił jej w dniu pojedynku. Teraz jego ojciec nie żyje, a on sam przeżył nieludzkie tortury. Wszystko przez jej ojca. Connor nie może się dowiedzieć, kim ona jest.

Umyła go najlepiej jak umiała. Wreszcie usiad-



ła pod ścianą jaskini. Poprzedniej nocy w ogóle nie spała i była wyczerpana. Postanowiła zdrzemnąć się na kilka minut.

Obudził ją głos Connora. Rzucił się pod kocem. Oczy miał otwarte, ale niczego nie widział. Zorientowała się, że majaczy. Dotknęła jego twarzy; była zimna, zbyt zimna.

- Chatham... Zabiję go... Zniszczę go... Zniszczę wszystkich Chathamów... Brendan... Ojciec... Chatham... Zapłaci mi za to.

Ogarnęła ją fala chłodu. Zamarła słysząc nienawiść w jego głosie. Szybko jednak opanowała się. Connor był najwyraźniej bardziej chory niż jej się wydawało.

Dzień był ciepły, a on drżał pod kocem. Nie miała nic innego, czym mogłaby go ogrzać... Poza własnym ciałem.

Nie zważając na fetor położyła się obok Connora. Otoczyła go ramionami. Czuła, jak stopniowo jego ciało rozluźnia się, a drzenie ustępuje. W końcu oddech rannego stał się lekki i miarowy. Z ulgą zorientowała się, że zasnął i sama poszła w jego ślady.

Gdy się obudziła, stwierdziła, że jakimś sposobem Connor odwrócił się i znalazła się w jego ramionach. Wątpiła, by zdawał sobie z tego sprawę. Jego bliskość wywoływała w niej dziwne uczucia. Powoli i ostrożnie uwolniła się z objęć. Koszula Samantha była rozpięta, a piersi wydawały się większe niż zwykle.

Piersi. Jak mogła o nich zapomnieć?

*Znalazła* kawałek materiału i przewięzała je. Znow wyglądała jak szczupły chłopiec ubrany w koszulę z brązowego samodziału. Szybko zabrała sukienkę, bieliznę i włosy, i zakopała je na zewnątrz.

Po Samancie Chatham nie pozostał żaden ślad.



Connor O'Neill przebudził się późnym popołudniem. Samantha, bardziej wyczuwając niż słysząc jego ruchy, odwróciła się i zobaczyła, jak otwiera szare oczy.

W końcu zauważył obserwującego go z niepokojem chłopca. Spróbował się poruszyć i musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

- Kim jesteś... jak znalazłeś tę jaskinię?

- Koń ją znalazł - zaimprovizowała Samantha. - I dobrze się stało. Usłyszałem wasze jęki. Byliście już jedną nogą na tamtym świecie.

- To... To ty się mną opiekowałeś? Wydawało mi się... - Connor potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać jasność umysłu. - Musiało mi się coś przyśnić.

- Co takiego?

- Nic... Dziękuję ci za pomoc.

- To nic takiego. Potrzebujecie przecież pomocy. Wysłałem wiadomość do Lisa z Bagien.

- W takim razie jeszcze raz ci muszę podziękować - powiedział i opadł z powrotem na ziemię. - Bez twojej pomocy chyba bym nie przeżył.

Wyraz twarzy chłopca świadczył o tym, że całkowicie się z tym zgadza.

Connor uśmiechnął się. Samantha zdała sobie

sprawę z tego, jak bardzo jego uśmiech przypomina uśmiech Brena. Zrobiło się jej gorąco. Był podobny, a jednak inny. Nawet brudny i zaróżniony miał swój urok.

Miała chęć podejść i dotknąć go; opanowała się jednak.

- Musicie się wykapać, panie - powiedziała. - Próbowałem was umyć, ale bałem się, że wam zrobię krzywdę.

- Masz rację. Muszę się wykapać. - Connor znów się uśmiechnął. - Czy masz wodę?

Skinęła głową.

- Znalazłem też trochę ubrań... - Wyciągnęła spakowany przez Brendana tobołek i podała go Connorowi.

Cień przemknął po jego twarzy, gdy rozpoznał rzeczy brata. Zauważył jednak pełne wyczekiwania spojrzenie chłopca i przywołał na twarz uśmiech.

- Chyba potrafisz czynić cuda - odezwał się łagodnym tonem. - Jak się nazywasz?

- Sam... Sam Taylor - wymamrotała Samantha.

- Co z twoją rodziną?

- Wszyscy nie żyją. Przez Anglików. Jadę przyłączyć się do Mariona.

- Jesteś bardzo młody. - Connor obrzucił spojrzeniem poważną twarz chłopca.

- Umiem strzelać nie gorzej od innych... I jeździć konno też. Ukradłem swojego konia jakiemuś tłustemu torysowi. Słyszałem, że są u Mariona inni w moim wieku, a nawet młodszy ode mnie walczą u boku Waszyngtona.

Pomimo bólu Connor powstrzymał uśmiech. „Mężczyźni młodszy ode mnie”, też coś.

Jedno było pewne. Chłopak potrafił zadbać o siebie... i o niego. Connor zdawał sobie sprawę, że był bardzo chory. Musiało tak być. Prawdę mówiąc chyba majaczył, bo wydawało mu się, że miał u swego boku kobietę. Pamiętał jedynie ulotne wrażenie ciepła, ale wydawało się to bardzo prawdziwe.

Connor wziął wiadro z wodą i ostrożnie zabrał się do mycia. Zdjął resztki koszuli i z trudem próbował zsunąć spodnie. Jednak ból w boku nie pozwolił mu się zgiąć.

- Sam - zwrócił się do chłopaka, który stał nieopodal odwrócony tyłem.

Głowa chłopca odwróciła się lekko w jego stronę.

- Czy możesz pomóc mi zdjąć te spodnie...?

- Ja? - odezwał się chłopak po chwili milczenia.

- Nie widzę tu nikogo innego. - Connor znów się uśmiechnął.

Samantha niechętnie podeszła do niego i uklękła obok. Zaczęła rozpinać guziki, ciesząc się w duchu z tego, że nałożona na twarz farba ukryła rozlewający się rumieniec. Connor uniósł się nieco, by umożliwić jej zsuniecie spodni.

- Jeszcze kalesony - dodał bez litości. - Chcę zdjąć wszystko.

Samantha wiedziała, że jej twarz płonie. Była pewna, że nawet farba tego nie ukryje.

- Będzie wam zimno - odezwała się z nadzieją.

- Sam mówiłeś, że muszę się wykapać. Jak mam

to zrobić w tych łachmanach? - odpowiedział Connor podając jej nóż. - Po prostu potnij je.

Samantha zamknęła oczy. Będę myślała o czymś innym, postanowiła i ostrożnie zabrała się do cięcia materiału.

Na tym jednak się nie skończyło. Connor poprosił, by pomogła mu się umyć. Zakłopotanie i chęć jak najszybszego zakończenia tej udręki sprawiły, że była bardziej szorstka niż zamierzała. Kilka razy Connor jęknął, gdy niemiłosiernie tarła jego delikatną skórę.

Samancie wydawało się, że umrze z zażenowania. Mimo utraty wagi, ciało Connora było odbiciem dyscypliny trzydziestu lat ciężkiej pracy. Pod jej dłońmi twarde mięśnie pulsowały. Ostatnie miesiące nie pozostawiły na nich ani odrobiny tłuszczu. Zawahała się, zanim jej ręce zaczęły przesuwac się w dół jego brzucha. Wiedziała podstawowe rzeczy o tych sprawach. Wychowała się wśród zwierząt, jednak nigdy przedtem nie widziała nagiego mężczyzny.

Gdy wreszcie było już po wszystkim, pomogła mu ubrać się w rzeczy Brena. Normalnie byłyby o wiele za małe, ale teraz wisiały na nim i musiał przewiązać się sznurem, by nie zgubić spodni.

Samantha poszła do rzeki i przyniosła jeszcze jedno wiadro wody. Po powrocie zabrała się do mycia włosów Connora. Cierpliwie myła i spłukiwała je kilkakrotnie, starannie wybierając wszy. Wreszcie usatysfakcjonowana skończyła, a Connor westchnął z zadowoleniem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był w miarę czysty. Czuł się

lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Słabość minie, a on będzie mógł pomścić swoją rodzinę.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że zmienił wyraz twarzy. Samantha jednak zauważyła to i wyczuła powód. Wzięła chleb i mięso, które spakowała poprzedniego wieczora. Podała Connorowi większą część jedzenia.

Connor sprzeciwił się, żądając, by podzielili się równo.

- Musisz nabrać trochę ciała, jeśli chcesz przystać do Mariona - zażartował. - On nie bierze chuderlaków.

Bała się, że Connor w ogóle nie zechce jeść, jeśli ona nie weźmie połowy porcji. Zgodziła się. Nie była głodna, mimo że przez cały dzień nic nie jadła. Musiała pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Czy Marion zechce ją przyjąć?

Samantha popatrzyła na Connora. Jego gęste, lekko kręcone włosy znów miały jasnopopielaty kolor. Spał spokojnie wyczerpany wysiłkiem ostatnich dni.

Usiadła pod ścianą jaskini i zaczęła zastanawiać się nad swoją sytuacją. Nie wątpiła w to, że wieczorem zjawi się ktoś z obozu Mariona. Na Hectorze można było polegać. Znał tę jaskinię. Właśnie tutaj Samantha uczyła młodego niewolnika czytać.

Pułkownik Marion musi ją przyjąć. Nie było już odwrotu. Pytanie tylko, jak długo będzie mogła ciągnąć tę groteskę? Zbyt wiele zbiegów oko-

liczności łączyło się z jej osobą. Zniknięcie Samantha Chatham... Pojawienie się Sama w jaskini, którą znała Samantha... Żałowała, że nie pomyślała o innym imieniu, ale była to pierwsza rzecz, która przyszła jej do głowy. Już za późno na zmiany. Jest jeszcze Sundance...

Przy odrobinie szczęścia nikt nie skojarzy chłopca półanalfabety z wykształconą córką Roberta Chathama. Będzie tylko musiała trzymać się z dala od Connora; on jeden znał ją wcześniej. Kiedy jednak patrzyła na niego i przypomniawszy sobie jego uśmiech i wdzięczność, jaką jej okazał, wiedziała, że nie będzie to łatwe. Obudził w niej coś, co jak sądziła dawno umarło. Uświadomiła sobie nagle, że nie miało to nic wspólnego z faktem, że jest bratem Brendana.

Wolno, centymetr po centymetrze, światło usuwało się z jaskini podążając za zachodzącym słońcem. Samantha wiedziała, że niedługo będą mieli towarzystwo.

Usłyszała, że Connor się poruszył i zaniósł mu kubek wody. Mężczyzna podniósł się wolno do pozycji siedzącej. Widać było, że jest zeszywniały i obolały.

- Jak długo spałem?
- Całe popołudnie. Lepiej się czujecie?
- Tak, i to dzięki tobie - odparł Connor z wykrzywioną bólem i wysiłkiem twarzą. - Jesteś pewien, że Marion przybędzie?
- Niczego nie jestem pewien. Wiem tylko, że wysłałem mu wiadomość.



- Nie jesteś specjalnie rozmowny, co?
- Nie ma o czym gadać.
- A ten koń, którego ukradłeś, gdzie on jest?

Samantha wzruszyła ramionami wykonując gest w głąb jaskini.

- Jest tam. Czerwone kubraki go nie znajdują.
- Mogę go zobaczyć?
- Jak chcecie. Koń jak koń.

Samantha wzięła świeczkę i zniknęła w ciemności. Po chwili wróciła prowadząc Sundance. Wiedziała, że czeka ją trudna próba. Wołała jednak, by odbyło się to teraz, bez świadków.

Zauważyła jak Connor zeszywniał na widok wierzchowca, który był doskonale znany w całej okolicy.

- Skąd wzięłeś tego konia? - zapytał.
- Z pastwiska... Tu niedaleko. Wędziło i wodze znalazłem w stodole. Nie mogłem znaleźć siodła, ale i tak go nie potrzebuję. - Właśnie w tym momencie Sundance naszała chęć do zabawy i trąciła Samanthę zimnymi nozdrzami w plecy.

- Jak na kradzionego konia jest z tobą w doskonałej komitywie - powiedział Connor. Jego głos zabrzmiał nieco pytająco, ale nie wyczuła w nim podejrzliwości.

- Mam rękę do zwierząt - odpowiedziała.
- Zawsze miałem. Tata mówił, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział.

Connor odprężył się, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Czy wiesz, że to klacz najbardziej zatwardziałego torysa w obu Karolinach? - Uśmiech

Connora przeszedł w cichy śmiech. - Znasz się na koniach, Sam. To trzeba ci przyznać.

Samantha doszła do wniosku, że nie powinna dalej kusić losu.

- Zaczekam na zewnątrz.

Connor skinął głową i gwizdnął cicho na konia, ten jednak tylko zastrzygł uszami i pozostał na swoim miejscu. Connor potrząsnął głową i szepnął:

- Niech mnie licho!

Poruszali się tak cicho, że Samantha niczego nie zauważyła do momentu, gdy nagle stanęło przed nią dwóch mężczyzn. Hector trzymał się nieco z boku.

- To ten chłopak, co mi powiedział o panu O'Neill - odezwał się Hector.

Obaj mężczyźni ubrani byli w bryczesy z samodziału i skórzane kurtki. Każdy miał też skórzaną czapkę z daszkiem i kokardą z białego papieru.

Samantha przyglądała im się, a oni obserwowali ją podejrzliwie. Brali pod uwagę możliwość pułapki. Obaj byli jednak przyjaciółmi Connora O'Neilla i chcieli mu pomóc.

Wyższy z nich zmarszczył czoło.

- O'Neill?

Skinęła głową w stronę wawrzynu zasłaniającego wejście do jaskini.

- Tędy.

- Idź pierwszy - odparł mężczyzna nadal zachowując ostrożność.

Samantha prześliznęła się przez otwór, a obaj mężczyźni szli za nią w milczeniu. Szybko znalazła świecę i zapaliła ją. Światło padło na Connora, który słysząc dźwięk kroków usiłował się podnieść.

Mężczyzna, który mówił wcześniej, uśmiechnął się szeroko i stanął u boku Connora. Położył mu ręce na ramionach.

- Na Boga! Connor! Myśleliśmy, że nie żyjesz. Nie masz pojęcia, jak się cieszymy. Nawet Francis się uśmiechnął na wiadomość, że się znalazłeś, a wiesz, co z niego za mruk. Słyszeliśmy, żeś umarł na tym przeklętym statku. Myśleliśmy, że to może być pułapka.

Uśmiech Connora zniknął.

- Mój ojciec nie żyje. Ja też może poszedłbym w jego ślady, gdyby nie Sam. Cieszę się, że cię widzę, Peter.

Peter Horry wziął świecę od Samantha i zbliżył ją do Connora. Przyjrzał się jego bladej, obolałej twarzy.

- Przekłęci Brytyjczycy - powiedziała.

- I Robert Chatham - odezwał się Connor z goryczą. - Mam nadzieję, że się teraz trzęsie ze strachu.

Wyraz twarzy Horry'ego uległ zmianie. Znał Connora od dawna, od czasu gdy wspólnie walczyli na początku wojny. Szanował go za wytrwałość i pogodne usposobienie. Tutaj zobaczył człowieka, którego nie chciałby mieć za wroga.

- Lepiej, żeby Fran nie słyszał, jak tak mówisz. Nie lubi osobistych uraz.

Twarz Connora ściągnęła się.

- Zabrał mi wszystko, co było mi drogie  
- rzekł. - Nikt mnie nie powstrzyma.

Horry wiedział, kiedy się wycofać.

- Jest tu ze mną Davey - powiedział. - Na zewnątrz mamy lekarza. Chciałem się najpierw upewnić, że wszystko jest w porządku.

Horry zniknął i powrócił z ubranym na czarno mężczyzną.

- Jest tutaj, doktorze. Niech pan zobaczy, czy jest w stanie jechać konno.

Connor niechętnie poddał się oględzinom lekarza. Wzdrygnął się, gdy ten oglądał bok, badając okolice rany.

- Jak na kogoś, kto był na jednym z tych okrętów śmierci, jest w lepszym stanie niż się spodziewałem - oświadczył lekarz. - Rana postrzałowa jeszcze przez jakiś czas będzie bardzo bolała, ale jeśli będzie uważał, może jechać. To chyba bezpieczniejsze niż pozostanie tutaj. Co jest na tej ranie?

Connor uśmiechnął się i skinął głową w stronę swego czujnego towarzysza.

- Niech pan zapyta Sama. On mnie opatrzył. Zrobił o wiele więcej... Umył mnie, nakarmił i ogrzał.

- Skąd wiedziałeś, że trzeba go ogrzać?

- Widziałem kiedyś.

Lekarz odwrócił się do Connora.

- Prawdopodobnie uratował panu życie. W przypadku utraty dużej ilości krwi następuje czasem poważny spadek temperatury ciała. Bez opieki pacjent może umrzeć. Miał pan szczęście, że ktoś tu był.

- Wiem - odparł Connor.

Lekarz zmienił opatrunek i podał Connorowi jakiś gojący środek.

Peter Horry i Davey pomogli mu wstać. Connor jęknął z bólu, ale potrząsnął głową, gdy spojrzeli nań pytająco.

- A co z nim? - zapytał Horry wskazując na Samanthę.

- Chcę jechać z wami - powiedziała starając się ukryć drżenie głosu.

- Przykro mi, chłopcze. - Horry potrząsnął głową. - Jesteś o wiele za młody. Poza tym Marion urwałby nam głowy, gdybyśmy przyprowadzili obcego.

Connor popatrzył na chłopca. Jego twarz pełna była desperacji. Sam pomógł mu; teraz on powinien się odwdziżyć.

- Pojedzie ze mną - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Poza tym - dodał kwaśno - doskonale kradnie konie. Wygląda na to, że zwędził ulubioną klacz Chathama. Taki talent nam się przyda.

- Trzeba mu będzie zawiązać oczy - powiedział Horry z powątpiewaniem.

- Czy przyprowadziliście dodatkowego konia?

- Tak... Nie planowaliśmy, że pójdiesz piechotą.

- Sam może jechać ze mną - zaproponował Connor. - Zgadzasz się? - zwrócił się do chłopca.

Samantha skinęła, rozpromieniona.

- Wszędzie pełno czerwonych kubraków - ostrzegł Peter. - Musimy być szczególnie

ostrożni. Żadnych rozmów. - Te ostatnie słowa skierował do chłopca.

Connor uśmiechnął się sucho.

- O niego nie musisz się martwić... Mówi jeszcze mniej niż Davey.

Gdy wyszli z jaskini, pojawił się Hector z trzema wierzchowcami. Dwaj obcy pomogli Connorowi wsiąść na konia. Samantha stała cierpliwie, gdy zawiązywano jej oczy. Potem Connor złapał ją za rękę, a ona lekko wskoczyła na siodło tuż za nim. Z ufnością objęła go ramionami, uważając, by nie urazić zranionego boku. Gdy czterej jeźdźcy zniknęli wśród starych cyprysów, Hector po cichu ruszył z powrotem do Chatham Oaks.

Pomimo wewnętrznego głosu, który nakazywał jej zachować dystans, Samantha z przyjemnością dotykała Connora. Szczególnie ich nogi stykały się ze sobą. Jej ramiona otaczały jego klatkę piersiową. Małe iskierki ognia igrały z jej zmysłami. Było jej ciepło, czuła się bezpieczna i...

Jazda z zawiązanymi oczami wytrąciła ją z równowagi do tego stopnia, że zaczęły ją nawiedzać dziwne myśli. Odnosiła wrażenie, że ona i Connor są jedynymi ludźmi na świecie. Delektowała się jego bliskością, wiedząc, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

Przez jej ojca Connor O'Neill gardził wszystkim, co reprezentowała jej rodzina.

Chciała znienawidzić ojca, ale nie potrafiła. W końcu łączyły ich więzy krwi. Tak bardzo starała się, by był z niej zadowolony. Nie pamiętała,

aby kiedykolwiek pocałował ją, dotknął czy choćby pochwalił.

Zastanawiała się, co teraz zrobi. Na pewno będzie jej szukał, ale bez rozgłosu. Duma nie pozwoli mu się przyznać do ucieczki córki. Nie będzie też chciał zrazić pułkownika Foxwortha i zaprzepaścić nadziei na przyszłe małżeństwo. Wiedziała jednak, że sama musi być ostrożna. Bardzo ostrożna.

Ręce Samantha opadły i zatrzymały się na biodrach Connora. Niewiele spała w ciągu ostatnich dwóch dni i zmęczenie zaczynało brać górę. Starła się siedzieć prosto, lecz ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Poddając się oparła głowę na plecach Connora i zasnęła.

Connorowi było równie ciężko. Nadal był bardzo słaby i obolały, ale każdy krok oddalał go od wspomnień o więzieniu. Wędrujący wysoko na niebie księżyc, przesłonięty przypominającymi koronkę chmurami, nigdy nie był piękniejszy. Zdawało mu się, że gwiazdy wyszły go powitać i rozkoszował się delikatnym szumem wiatru w olbrzymich cyprysach. Wrócił do miejsca, które kochał najbardziej na świecie.

Poczuł, jak ręce Sama zsunęły się na jego biodra, a lekka głowa chłopca spoczęła mu na ramieniu. Dziwny chłopak, pomyślał, taki poważny i milczący, zdecydowany za wszelką cenę zostać żołnierzem. Wyczuwał u tego chłopca łagodność i smutek głębszy niż jego własny.

Był mu winien życie. Przysiągł sobie, że opiekuje się Samem.



Samantha obudziła się, gdy ciszę spokojnego poranka przeszył głośny, przenikliwy gwizd. Connor, który jechał pochylony w siodle, też się wyprostował.

Czuła, że koń zwalnia i nagle przestraszyła się otaczającej ją pustki. Przywarła mocniej do Conнора, który szepnął pocieszająco:

- Już jest ranek, Sam. Jesteśmy prawie na miejscu.

Jej ręce mocniej zacisnęły się wokół niego. Connor w pełni rozumiał zachowanie chłopca. Bez względu na to, jak odważnego udawał, musiał się bać. Wjeżdżał z zawiązanymi oczami do pełnego wojska obozu, nie wiedząc, co go czeka.

Connor znał obóz Marion. Baza na Snow Island była otoczona siecią posterunków straży konnej i pieszej. Dookoła rozciągały się bagna. Marion znał setki przejść, dla obcych jednak był to teren nie do przebycia. Brytyjczycy na próżno starali się zlokalizować obóz.

Jeźdźcy dotarli do małej polanki usianej przysgajającymi ogniskami. Connor odwrócił się i rozwiązał przepaskę zasłaniającą do tej pory oczy Sama.

Dopiero świtało. Słabe światło ledwie przeni-



kało przez gałęzie olbrzymich cyprysów i majestatycznych wawrzynów. Drzewa wydawały się być złączone w odwiecznym uścisku. Przypominały Samancie sklepienia gotyckich katedr, które widziała w książkach. Delikatny biały dym z ognisk ginał w długim szarym mchu, który zwisał z drzew niczym brody starożytnych patriarchów.

Wokół drzew ustawiono strzelby i muszkiety, a na konarach umieszczono szable.

Cała ta scena wydała jej się bardzo nierealna. Ześliznęła się z konia i patrzyła, jak Connor wolno zsiada. Niemalże upadł, gdy jego stopy dotknęły ziemi. Szybko wyciągnęła rękę i pomogła mu utrzymać równowagę. Connor podziękował jej skinieniem głowy.

Zbliżała się do nich grupa mężczyzn. Prowadził ich człowiek ubrany w obcisłą szkarłatną kurtkę. Na głowie miał skózaną czapkę, na której wypisano słowa: „Wolność lub Śmierć”.

Natychmiast domyśliła się, że to pułkownik Marion, Lis z Bagien. Samantha przyglądała mu się ze zdumieniem.

Nie był wyższy od niej i niewiele więcej musiał ważyć. Był szczupły, ale twardy jak hartowana stal. Miał ciemną cerę i orli nos. Uwagę Samantha przykuły oczy - czarne i przenikliwe. Emanowały siłą i natychmiast stawało się oczywiste, dlaczego ludzie gotowi byli iść za nim w ogień.

Wzrok Mariona przesunął się z Samantha na Connora i na jego ustach pojawił się lekki

uśmiech. Obiema dłońmi ścisnął ramiona Connora.

- Witaj, Connor. - Przez chwilę przyglądał się przyjacielowi i zacisnął usta, gdy zauważył żelazną obręcz na nodze.

- Zaraz się tego pozbędziemy - powiedział.

- *Będziemy cię też musieli trochę podtuczyć.* - Jego uśmiech okazał się nadszpodziewanie łagodny.

- A co tu mamy? - zwrócił uwagę na Samanthę.

Connor uśmiechnął się szeroko.

- Dobrego koniokrada - odrzekł. - „Znalazł” jednego z koni Roberta Chathama, a potem znalazł mnie. Gdyby nie on, mógłbym już nie żyć.

- W takim razie muszę ci podziękować - odezwał się Marion. - Connor jest moim starym przyjacielem i nie chciałbym go stracić.

Następnie odwrócił się w stronę Connora.

- Dlaczego go tu przywiozłeś? - zapytał z lekką wymówką w głosie.

- Ojciec Sama został zabity przez Anglików - wyjaśnił Connor. - Chłopak szukał ciebie, gdy tymczasem natknął się na mnie. Nie ma dokąd pójść i pragnie zostać jednym z nas.

- Jest bardzo młody - odparł pułkownik z powątpiewaniem.

- Masz tu kilku innych, którzy mają nie więcej niż czternaście lat. Ręczę, że doskonale zna się na koniach. Wezmę za niego odpowiedzialność.

Marion jeszcze raz przyjrzał się Samancie.

- Umiesz strzelać, chłopcze?

- Tak jest, sir.

- Dajcie mu strzelbę - zwrócił się do jednego ze swych ludzi.

Samantha wzięła strzelbę, a Marion wskazał na oddaloną o jakieś pięćdziesiąt metrów gałąź. Wycelowała starannie i pociągnęła za spust. Polana zatrzęsała się od huku, a Samantha z dumą patrzyła, jak gałąź spada na ziemię.

Marion ścisnął jej ramię.

- Nieźle, chłopcze. Jeśli jednak zostaniesz ze mną, będziesz musiał ściśle wykonywać polecenia. Żadnych eskapad na własną rękę. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odparła.

Marion popatrzył na nią badawczo.

- Zabić człowieka to nie to samo, co zabić królika. Nigdy się do tego nie przyzwyczaisz. Będzie cię to prześladować przez całe życie. Nigdy nie używaj broni, jeśli nie będzie to konieczne.

Samantha kiwnęła głową.

- W takim razie możesz zostać. - Marion zwrócił się do Connora. - Musicie się obaj prześpać. Później poślę po kowala, żeby zajął się tymi kajdanami.

Siły Connora były już na wyczerpaniu. Ledwo stojąc witał się ze starymi przyjaciółmi. W końcu jednak nie wytrzymał; potykając się podszedł do drzewa i padł na ziemię.

Samantha przyglądała mu się z niepokojem. Kiedy zauważyła, że zbliża się do niego kolejny mężczyzna, powstrzymała go słowami:

- Musi się przespać. - Przyniosła mu trochę mięsa z ziemniakami i zmusiła do jedzenia. Potem postarała się o dodatkowy koc do podłożenia

pod głowę i siedziała przy Connorze do czasu, gdy ten pograżył się w głębokim śnie. Dopiero wtedy położyła się spać.

Marion przyglądał się nowo przybyłym.

- Wygląda na to, że Connor zyskał opiekuna - zwrócił się do Petera Horry'ego. - Wiesz coś o tym chłopaku?

- Nie więcej niż ty. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem.

- Coś w nim jest... Coś, co mi nie pasuje. Miej go na oku, dobrze? I powiedz Billy'emu Jamesowi, żeby też mu się przyjrzał. Są rówieśnikami.

- Dobrze, Fran. Nie chciałem go tutaj zabierać, ale Connor się uparł. Gdybym się nie zgodził, Connor też by nie przyjechał.

- Przeżył ciężkie chwile - westchnął Marion - ale zawsze miał nosa do ludzi. Ufam mu jak nikomu innemu.

- To nie chłopak stanowi problem - powiedział Horry.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chodzi o Connora... Jest zdecydowany zabić Chathama. Nie wiem, czy potrafisz nad nim zapanować.

Twarz Mariona spoważniała, a czarne oczy zajaśniały.

- Jeśli chce tu zostać, musi o tym zapomnieć... Nie będziemy się wdawać w osobiste porachunki. Nawet dla Connora.

Samantha obudziła się po południu i rozejrzała dokoła. Czuła się wolna, bardziej niż kiedy-

kolwiek przedtem. Wspaniale było pozbyć się gorsetu i halek, które prześladowały ją od dwiętnastu lat.

Wszędzie pełno było śpiących mężczyzn. Francis Marion podróżował i walczył nocą, a spał za dnia.

Po cichu udała się w stronę zagrody. Sundance oddzieliła się od pozostałych koni i z cichym rżeniem podeszła do swej pani. Trąciła ją pyskiem w poszukiwaniu jabłka.

Samantha pogłaskała ją delikatnie. Otworzyła bramę i wypuściła konia z zagrody.

Sundance poszła za nią na skraj polany i potem dalej przez las do ukrytego głęboko w gęstwinie stawu. Sadržawka porośnięta była liliami i hiacyntami wodnymi. Od czasu do czasu jakiś zbłąkany promień słońca przedzierał się przez liście i padał na powierzchnię wody.

Samantha osiągnęła swój cel, ale nie wiedziała, co robić dalej. Kiedy snuła swe plany, myślała tylko o tym, by uciec od ojca i nie chcianego małżeństwa. Nie pomyślała natomiast o zabijaniu. Zamierzała żyć na otwartej przestrzeni, cieszyć się wolnością i przygodami. Nigdy nie myślała o śmierci.

Nie spodziewała się, że spotka Connora, ani że obudzi on w niej jakieś uczucia. Wierzyła mocno, że jej serce umarło na zawsze, a tymczasem znów budziło się do życia wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Connor na pewno szybko odwróciłby się od niej, gdyby dowiedział się, kim ona jest.

Drżała na samą myśl o nim. Jak mogło się to stać tak szybko?

- Piękny koń.

Samantha drgnęła. Nie słyszała cichych kroków. Odwróciła się w stronę intruza.

- Niezły - odparła krótko.

Jej rozmówca był chłopcem nie mającym więcej niż czternaście lat. Miał na sobie czyste skórzane bryczesy, bawełnianą koszulę i wysokie buty. Wyciągnął rękę.

- Jestem Billy James. Widziałem, jak odchodzisz i bałem się, że możesz się zgubić. O to tutaj nie trudno.

Popatrzyła na jego rękę i niechętnie wyciągnęła własną. Przyjaciele to luksus, na jaki nie mogła sobie pozwolić. Łatwo było popełnić jakiś błąd. Odwróciła się w stronę stawu. Dała Billy'emu do zrozumienia, że nie ma ochoty na jego towarzystwo.

Zignorował to i siadł na ziemi.

- Ładnie tu, nie? Sam często tu przychodzę.

- Najlepiej być samemu - odezwała się Samantha niegrzecznie.

Billy aż drgnął, ale nie ruszył się z miejsca i przyglądał się nowo przybyłemu z ciekawością. Pułkownik Marion prosił go, by się zaprzyjaźnił z tym chłopakiem i miał go na oku. Będzie to trudniejsze niż się wydawało.

- Nigdy nie widziałem, żeby koń za kimś szedł jak pies - powiedział, żeby przerwać ciszę. Samantha głośno westchnęła.

Billy spróbował jeszcze raz.

- Chciałbym być twoim przyjacielem - rzekł z nadzieją w głosie.

- Nie potrzebuję przyjaciół - odparła krótko.  
- Chcę być sam. - Trudno jej było odtrącać przyjazne gesty chłopca. Czuła wielką pustkę. Bardziej potrzebowała przyjaciela niż sobie to uświadamiała.

Spojrzała na Billy'ego i nagle w jej wzroku pojawił się smutek. Zniknął po chwili, ale chłopak go dojrzał. Dało mu to do myślenia.

- My, młodzi, trzymamy się razem - ciągnął ostrożnie.

Samantha natychmiast zaczęła się mieć na baczności.

- Jestem zwyczajny być sam - odparła.

Billy skinął głową. Nie chciał dalej naciskać.

- Gdybyś czegoś potrzebował, będę w pobliżu.

Kiwnęła głową i patrzyła, jak znika w lesie, potem westchnęła. W co ona się wpakowała?

Jeden z ludzi obudził Connora późnym popołudniem, gdy przybył kowal. Ponad godzinę zabrało mu rozkucie przerdzewiałego metalu. Wreszcie Connor był wolny.

Bok nadal dokuczał, ale poruszanie się przychodziło mu o wiele łatwiej niż poprzedniego dnia. Siedział przez chwilę rozkoszując się swobodą.

Zabandażował nogę i delikatnie naciągnął buty zabrane niedawno Anglikom. Teraz musiał się jeszcze tylko ogolić. Pożyczoną brzytwą szybko zgolił brodę i spojrzał na swe odbicie w małym lusterku. Twarz była wychudzona i blada, ale emanowała nową siłą.

Kończył się myć, kiedy podszedł do niego Marion.

- Wyglądasz o wiele lepiej.

- Nigdy nie myślałem, że golenie się może być taką przyjemnością... Właśnie pozbawiłem tysiące małych stworzeń mieszkania.

Marion roześmiał się.

- Cieszę się, że wróciłeś... Brakowało mi ciebie - nagle spoważniał. - Ten chłopak... Sam? Co o nim wiesz?

- Niewiele - musiał przyznać Connor. - Wiem, że gdyby się nie pojawił, być może już bym nie żył. Wiem, że oddał mi swoje jedzenie - uśmiechnął się - i że spędził mnóstwo czasu próbując mnie umyć, trochę zbyt entuzjastycznie, bo mało nie obdarł mnie ze skóry.

Spojrzał na poważną twarz Mariona.

- Dlaczego pytasz? Sądzisz, że może być angielskim szpiegiem? Jeśli tak, to dlaczego mnie nie wydał? Wiesz, że za moją głowę wyznaczono dużą nagrodę.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu chciałem wiedzieć o nim coś więcej.

- Jest bardzo małomówny - powiedział Connor - ale postaram się czegoś dowiedzieć.

Marion milczał, jakby dokładnie zastanawiał się nad następnymi słowami.

- Musimy omówić jeszcze jedną sprawę - powiedział. - Proponuję, żebyśmy poszukali bardziej zaciszego miejsca. - Bez słowa wyjaśnienia odwrócił się i ruszył w stronę lasu.



Samantha spędziła kilka godzin siedząc nad stawem. Im dłużej trzymała się z dala, tym rzadziej musiała odpowiadać na trudne pytania. Wreszcie jednak opuściła swe zacisze i ruszyła z powrotem do obozu. Zamknęła Sundance w zagrodzie i poszła poszukać czegoś do jedzenia.

Nagle zatrzymała się słysząc w pobliżu głosy Connora i Francisa Mariona.

- Nie pozwolę ci polować na Chathama - mówił pułkownik Marion. - Mamy ważniejsze rzeczy do roboty. Gdyby każdy tutaj chciał zajmować się swymi własnymi porachunkami, nie starczyłoby nam czasu na nic więcej. Kiedyś znów będziemy musieli żyć razem. Jest to możliwe, jeśli będziemy walczyć uczciwie jak żołnierze. Ale jeśli spalisz komuś dom, nigdy ci tego nie wybaczy i nie przestanie nienawidzić.

- Czy myślisz - odezwał się Connor napiętym, pełnym złości głosem - że mógłbym kiedykolwiek żyć w pokoju z Chathamem albo on ze mną, jeśli już o to chodzi?

- To ty będziesz musiał o tym zdecydować. Naszym zadaniem jest zakłócanie ciągłości dostaw i komunikacji. Mamy zająć Anglików tutaj i nie dopuścić, by posunęli się na północ. Dysponujemy mniej niż setką ludzi i nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby jednego z nich. - Przybrał proszący ton. - Zaczekaj, Connor. Jesteś mi potrzebny.

Zapadła cisza, a potem Connor niechętnie wyraził zgodę.

- Zaczekam... przez jakiś czas. Ale będę się modlił za każdym razem, gdy będziemy wyruszać, żeby on tam był. A wtedy nic mu nie pomoże.

- To uczciwe rozwiązanie.

- Fran... - Connor zawahał się, po czym mówił dalej. - A córka Chathama. Co o niej słyszałeś?

- Dlaczego pytasz? - głos Mariona zabrzmiał nagle ostro. - Na niej też chcesz się zemścić?

- Po prostu chcę wiedzieć - upierał się Connor. W jego głosie znów słychać było złość.

- Podobno wyjechała na północ... pielęgnować jakąś chorą krewną. Hector, ten chłopak, przez którego dostałem wiadomość o tobie, jest niewolnikiem na plantacji Chathama. Mówi, że wyjechała.

- Czy wyszła za mąż?

- Nie - odparł Marion z niechęcią. - Chodziły plotki, że miała wyjść za jednego z oficerów Tarletona.

- Niedługo nosiła żałobę po moim bracie, co? - w głosie Connora dało się słyszeć gniew i pogardę.

Czując mdłości Samantha zagłębiła się w las i wreszcie sama, zgięta wpół, upadła na ziemię.

Kryła się w lesie aż do zapadnięcia zmroku, kiedy głód pokonał ból. W ciągu ostatnich dwóch dni niewiele jadła i wreszcie żołądek dał o sobie znać.

W obozie zapalono już ognie, a w powietrzu unosił się zapach pieczonych słodkich ziemniaków. Nieśmiało zbliżyła się do jednego z ognisk i wzięła kilka.

Connor zdziwiony był wyrazem wrogości malującym się na twarzy Sama. Poprzedniego dnia czuł, że coś ich łączy. Patrząc na niego teraz nie widział ani śladu chłopca, który podczas długiej jazdy tak ufnie opierał głowę na jego ramieniu. Zamiast tego zauważył podejrzliwość i ostrożność.

Zignorował je. Był z natury szczęśliwy, gdy mógł troszczyć się o osoby, które kochał. Do śmierci brata nie znał uczucia nienawiści. Był ofiarą wojny, jednym z wielu chłopców, czasami bardzo młodych, którzy przyłączyli się do wojska.

- Umiesz posługiwać się pistoletem? - zapytał Connor starając się zacząć rozmowę.

- Nigdy nie miałem pistoletu - zabrzmiała odpowiedź.

Zdziwiony tym, że Sam przyznał się do jakiejś niedoskonałości, Connor powstrzymał uśmiech.

- W porządku - powiedział. - Jutro cię nauczę.

Samantha skinęła głową.

- Wyglądacie trochę lepiej - powiedziała wreszcie z rezerwą.

- Dzięki tobie, przyjacielu.

- Nie jestem pana przyjacielem - wypaliła.

Connor nie był w stanie dłużej ukrywać uśmiechu. Głos chłopca brzmiał wojowniczo, ale zupełnie nie pasował do wyrazu jego oczu.

- Ale ja jestem twoim przyjacielem - powiedział stanowczo. - Do jutra - dodał, nim Sam zdążył zaprotestować.

Słońce kończyło swą wędrówkę po niebie. W obozie panował ruch. Ognie zostały wygaszone. Dookoła roiło się od przypominających duchy postaci. Mężczyźni sprawdzali broń, napełniali rogi prochem. Poruszali się cicho i sprawnie, a w ich głosach dało się *wyczuć* atmosferę oczekiwania.

Samantha siedziała pod drzewem przyglądając się z fascynacją tej scenie. Przypomniały jej się opowieści o Robin Hoodzie i nie mogła uwierzyć, że sama w tym wszystkim uczestniczy.

- Sam... Sam Taylor. - Czar prysł. Uniósłszy głowę zobaczyła stojącego nad nią Mariona. Drobny mężczyzna robił wrażenie olbrzyma, a otaczająca go aura niebezpieczeństwa sprawiła, że Samantha poczuła ukłucie strachu.

Nagle uśmiechnął się i zrozumiała, że on rozumie, jak bardzo czuła się zagubiona. Sama... z dala od rodziny... w nieznanym lesie pełnym uzbrojonych ludzi.

- Zostań tutaj i zajmij się Connorem - powiedział wreszcie. - Billy James ci pomoże.

Samantha chciała się sprzeciwić. Musiała się trzymać z dala od Connora. Czarne oczy Mariona zahipnotyzowały ją jednak i posłusznie skinęła głową.

- Wrócimy o wschodzie słońca - obiecał cichym głosem i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Odszukała Connora. Spał spokojnie, a jego twarz wolna była od prześladowającego go wcześniej bólu. Dotknęła czoła. Było chłodne.

Przyjrzała mu się bliżej. Teraz, gdy zgolił nierówną brodę, był niepospolicie przystojny. Rysy twarzy były wyraziste: piękny prosty nos, szerokie usta i wyrażający zdecydowaną naturę podbródek. Z tej twarzy emanowała siła.

Samantha nie chciała się od niego oddalać. Zabrała własny koc i rozłożyła się kilka metrów od Connora, tak aby w razie potrzeby usłyszeć jego wołanie.

Connor obudził się wczesnym rankiem, gdy brygada Mariona wróciła do obozu. Ze zdziwieniem zauważył Sama śpiącego w pobliżu. Lekki uśmiech pojawił się na twarzy Connora, gdy uświadomił sobie, że to odgłosy nocy musiały przyciągnąć Sama tak blisko.

Dotrzymując słowa Connor poświęcił poranek na zaznajomienie chłopca z pistoletem. Pokazał Samancie, jak odmierzać proch i prawidłowo ładować broń. Obserwował uważnie jej pierwsze samodzielne działania. Pojmowała wszystko w lot szybko dochodząc do wprawy.

Następnie O'Neill wybrał cel i Samantha wymierzyła starannie pociągając wolno za spust. Rozczarowanie i wstyd pojawiły się na jej twarzy, gdy kula nie trafiła w cel.

- Pamiętaj - mówił Connor - że pistolet to nie strzelba. Nie ma takiej dokładności i musisz wziąć na to poprawkę. Zawsze upewnij się, że cel znajduje się wystarczająco blisko, by weń trafić jednym strzałem. Spróbuj jeszcze raz.

Przez cały ranek cierpliwie pracował nad chłopcem podziwiając w duchu jego szybkie postępy.

- Dobra robota - oświadczył w końcu. - Nie zawahałbym się powierzyć ci swego życia.

Samantha wiedziała, że spotkał ją wielki zaszczyt i nie potrafiła powstrzymać pełnego dumy uśmiechu. Connor nagle uświadomił sobie, jak bardzo niebieskie są oczy chłopca; tak bardzo przypominały mu oczy Brendana. Spochmurniał i zacisnął usta. Nierozsądnie byłoby zbyt przywiązywać się do Sama. Nie wiedział, czy zniósłby stratę kolejnej bliskiej mu osoby. A jednak było w nim coś, co przykuwało jego uwagę. Może wynikało to z wdzięczności, ale było też coś innego. Zależało mu na tym chłopcu.

W ciągu najbliższych tygodni żaden z nich nie miał czasu na rozmyślanie. Marion zarządził przeniesienie obozu. Connor miał w milicji stopień majora, zajął też stanowisko jednego z głównych doradców Mariona. Samantha, ze swym talentem do koni, została przydzielona do opieki nad zwierzętami. Bardzo jej to odpowiadało. Miała pożyteczne zajęcie i, co ważniejsze, mogła trzymać się z daleka od Connora. Tak dobrze zajmowała się końmi, że wkrótce zniknęły wszelkie wątpliwości co do jej osoby i została w pełni zaakceptowana.

Nastał listopad i Samantha zmuszona została do zamieszkania w namiocie z Billym Jamesem. Była dla niego uprzejma i, choć nie wdawała się w zwierzenia, czuła się coraz lepiej w jego towarzystwie. Potrafiła docenić to, że Billy okazał się dyskretny i nie interesował się jej sprawami.

W obozie wszystko toczyło się według pewnego porządku. Marion i jego ludzie wyruszali na rajd po zachodzie słońca i powracali o świcie z łupami i uwolnionymi z rąk Anglików amerykańskimi więźniami. Niektórzy z nich zostawali, inni wyruszali do domów. Kiedy nie było rajdu, obóz rozbrzmiewał muzyką; tańczono, opowiadano niestworzone historie i grano w karty.

Samantha czuła się coraz lepiej. Gdy widziała zbliżającego się Connora, wynajdywała sobie jakieś zajęcie i zniknęła. Dziwiło go to, ale sam był też bardzo zajęty. Marion wybrał go na kuriera w swych kontaktach z armią generała Greene'a w Północnej Karolinie i Connor często przebywał poza obozem.

Samantha źle znosiła jego nieobecność. Mimo wewnętrznego głosu, który nakazywał jej zachowywać dystans, coś ją do niego nieodparcie ciągnęło. Nagroda, jaką wyznaczono za głowę Connora, wynosiła siedemset gwinei w złocie i dziewczyna ciągle się bała, że ktoś zechce ją zdobyć.

Twarz Samantha rozjaśniła się, gdy pierwszego dnia grudnia zobaczyła Connora wjeżdżającego

do obozu. Nie było go przez prawie dwa tygodnie. Zobaczyła, jak rozgląda się po obozie i uśmiecha na jej widok. Natychmiast spoważniała i udała obojętną.

Uśmiechnięty Connor podjechał prosto do niej i wolno zsiadł z konia.

- Mam dla ciebie mały prezent.

Samantha przestąpiła z nogi na nogę.

- Myślałem, żeście gdzieś zginęli - odezwała się w końcu.

- A więc tęskniłeś za mną? - uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nic takiego nie powiedziałem. Myślałem tylko, żeście gdzieś zginęli.

- Masz. - Connor wsadził w jej dłonie mały pakunek. - Obejrzymy później... Muszę zobaczyć się z Francisem.

Samantha podejrzliwie przyglądała się pakunkowi.

- Niczego nie potrzebuję - powiedziała, ale Connor zauważył, jak jej dłonie zamknęły się na małym zawiniątku.

- Wiem, że nie potrzebujesz - zareagował łagodnie na te pełne dumy słowa. - Po prostu przypadkowo je znalazłem i myślałem, że moglibyśmy razem popracować. Zobaczymy się później.

Samantha wpatrywała się w mały pakunek. Skrywszy się w zaroślach, rozwinęła go i znalazła dwa elementarze. Nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Widać Connor postanowił nauczyć ją czytać... Nie wiedział, że znała niemalże na pa-



mieć całą bibliotekę jej ojca, jedną z największych w koloniach.

Zaczęła się zastanawiać, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji nie zdradziwszy się z niczym.

- Do licha.

Sama się zdziwiła słysząc swoje słowa. Zaczynała już nawet myśleć i zachowywać się jak jej towarzysze. Nigdy wcześniej nie klęła. Nagle uświadomiła sobie idiotyzm całej sytuacji. Roześmiała się na głos, zdradzając tym samym miejsce swego pobytu.

Wyczuła jego obecność, jeszcze nim go zobaczyła i śmiech uwiązał jej w gardle.

Connor stał przed nią zaskoczony. Nigdy przedtem nie słyszał śmiechu chłopca. Przechylił głowę na bok gotów poznać powód tak dobrego humoru.

Samantha odwzajemniła jego spojrzenie z wyrazem powagi na twarzy i Connor zaczął się zastanawiać, czy mu się to tylko wydawało.

- Nie potrzebuję tego - powiedziała, obrzucając leżące obok książki podejrziwym wzrokiem.

- Umiem wszystko, czego mi trzeba.

W głosie Connora odezwało się zniecierpliwienie.

- Wiem... Wiem, że znasz się na koniach, umiesz strzelać i poruszać się po lesie. Jednak potrzeba ci czegoś więcej. Po wojnie ten kraj będzie potrzebował ludzi wykształconych. Będiesz mógł robić wszystko, co zechcesz.

- Robię to, co chcę - odparła z uporem. - Nie jesteście moim ojcem.

W oczach Connora pojawił się niebezpieczny błysk. Postanowił pomóc temu chłopcu i, na Boga, uczyni to, z jego pomocą lub bez.

- Twój ojciec powinien cię nauczyć dobrych manier - powiedział ze spokojem, choć jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

Samantha zauważyła błysk determinacji we wzroku Connora i chciała uciec. Przejrzał jednak jej zamiary i złapał za ramię żelaznym uściskiem. Przestała się wrywać i popatrzyła na niego wzrokiem schwytanego w pułapkę zwierzęcia.

Connor natychmiast puścił rękę.

- To dla twojego dobra, Sam - powiedział, nie rozumiejąc zachowania chłopca.

Samanthy już jednak nie było. Westchnął i sfrustrowany zabrał książki. Będzie inna okazja.

Connor spał kilka godzin i obudził się tuż przed zachodem słońca. Na tę noc zaplanowany był rajd. Fran otrzymał wiadomość o transporcie cennego ładunku soli.

Wyruszyli o zmierzchu. Samantha i Billy zostali w obozie. Samantha nigdy jeszcze nie brała udziału w akcji i wcale jej się do tego nie spieszyło. Nie była pewna, czy potrafiłaby kogoś zastrzelić, nawet gdyby to był Anglik - choćby nawet sam Foxworth - i wcale jej nie zależało na tym, by to sprawdzić.

Noc była jasna, a na bezchmurnym niebie świecił księżyc. Billy uczył ją grać w karty, gdy seria gwizdów zapowiedziała gościa. Po sygnale poznali, że był to ktoś godzien zaufania, choć nie

należący do oddziału. Stali w gotowości z bronią u boku.

Samantha niemalże krzyknęła na widok wjeżdżającego do obozu Hectora, który uśmiechnął się na jej widok. Szybko jednak spoważniał i zwrócił się do Billy'ego.

- Marion jedzie prosto w pułapkę - powiedział. - Podśluchałem rozmowę. Wiadomość o transporcie została spreparowana przez pułkownika Tarletona. Musicie ich zatrzymać.

Podziw Samantha dla Billy'ego rósł. Chłopak szybko zniknął w lesie, by porozmawiać z wartownikami. Po chwili wrócił z kilkoma z nich.

- Chodź, Sam - rozkazał Billy. - Twój koń jest najszybszy - dodał, wiedząc, że klacz nie pozwoli się dosiąść nikomu innemu. - Wyprowadzę cię z bagna, a stamtąd już sam popędzisz ostrzec Mariona. Jest na plantacji Garrisona.

Nie trzeba jej było namawiać. Connor znajdował się w niebezpieczeństwie; tak samo jak Marion, którego podziwiała. Wetknęła pistolet za pas i szybko osiodłała Sundance.

Wszyscy byli gotowi do drogi. Wydawało jej się, że minęło kilka godzin, nim wreszcie wydostali się z bagna. Gdy znaleźli się na twardym gruncie, Billy udzielił jej niezbędnych wskazówek i natychmiast galopem ruszyła w drogę. Aż za dobrze pamiętała, kiedy ostatni raz gnała jak na złamanie karku, by, zapobiec katastrofie. Tym razem nie mogła się spóźnić.

Francis Marion, Connor O'Neill i Peter Horry jechali na czele kolumny. Francis zawsze prowadził. Nikt nie znał terenu tak jak on. Potrafił przemierzać bagna szybko i pewnie, jakby to był bity trakt.

Wyprawa była bardzo ważna. Tym razem ich celem była sól - towar obecnie cenniejszy niż złoto. Jeden ze szpiegów Mariona dowiedział się w Georgetown o transporcie soli przeznaczonym dla plantacji Garrisona, która była twierdzą torysów. Miała podobno niewielką załogę, bo ze względu na odległe położenie od Snow Island uważano ją za bezpieczną.

Brygada Mariona przywykła do całonocnych wypraw, a z każdym tygodniem zasięg ich działań był większy. Sól warta była ryzyka.

Nad wzgórzami zaczynało świtać, gdy ujrzeli plantację Garrisona. Connor polecił jadącym za nim ludziom, by ukryli się wśród drzew do czasu, gdy jadąca przodem trójka zrobi rozpoznanie.

Tak jak się spodziewali, wokół obszernego domostwa stał rząd wozów. Panowała cisza... Podejrzana cisza.

Marion obserwował uważnie sytuację, aby wyśledzić choćby najmniejszy ruch.

Coś tu było nie w porządku. Świtało, ale nie

słysać było piania kogutów, nie widać było dymu z komina, żadnych oznak typowych dla budzącej się do życia z nowym dniem farmy.

Coś zielonego mignęło za jedną ze stodół. W tym samym czasie Connor powrócił z szybkiego zwiadu.

- Wszędzie roi się od torysów Tarletona - powiedział.

- To pułapka - zgodził się Horry powróciwszy z podobnym raportem.

- Niech myślą, że daliśmy się złapać - zdecydował cicho Marion.

- Connor, weź trzydziestu ludzi z powrotem do lasu. Peter, ty weź pięćdziesięciu i przygotuj zasadzkę przy drodze. Ja wezmę resztę i pojedę w stronę farmy. Zanim wyjedziemy na otwartą przestrzeń, Connor odda strzał. Niech myślą, że to jeden z ich ludzi okazał się nadgorliwy. Moja grupa rzuci się do ucieczki i może uda się sprowokować ludzi Tarletona do pościgu. Wtedy Connor wkroczy i przejmie wozy. My zajmiemy się nimi przy drodze.

Marion odczekał dwadzieścia minut, by dać czas ludziom Horry'ego na przygotowanie zasadzki przy drodze, potem ruszył w stronę farmy.

Cichy gwizd zaalarmował torysów ukrytych na farmie i w stodole. Właśnie przygotowywali broń, kiedy rozległ się strzał.

Zajmujący pozycję w górnym frontowym oknie Tarleton zaklął pod nosem. Patrzył, jak Marion szybko zawraca konia i pędem gna do lasu.

Zwrócił się do Williama Foxwortha:

- Jadę za nim. Zostań tu z dziesięcioma ludźmi i pilnuj wozów. Dowiedz się, który to strzeleł. Stanie przed sądem.

Ze swego stanowiska Connor obserwował, jak ludzie Tarletona ruszają w pościg za Marionem. Był gotów do działania. Jego ludzie również. Musieli czekać aż Tarleton wpadnie w zasadzkę. O'Neill obserwował okna domu, wiedząc, że w środku zostało kilku wartowników. Jego ludzie staną się dla nich doskonałym celem. Nagle podjął decyzję. Dał znak trzem ludziom, aby zsiadli z koni. Rozmawiał z nimi przez chwilę, po czym wszyscy czterej zniknęli wśród drzew otaczających dom.

Biegając od drzewa do drzewa Connor i jego trzech towarzysze ostrożnie podchodzili od tyłu domu. Wreszcie pochyleni blisko ziemi dotarli do drzwi nie wszczynając alarmu. Po cichu weszli do budynku. Connor przyłożył palec do ust. Dał znak, żeby przed rozpoczęciem akcji wszyscy policzyli do dziesięciu.

Connor z jednym żołnierzem zajęli pozycję na schodach. Na „sześć” dotarli na górę i zajrzeli przez otwarte drzwi. Angielski oficer, ubrany w zielony mundur dragonów Tarletona, stał zwrócony twarzą do okna. Było tam jeszcze trzech innych torysów.

„Osiem...dziewięć...dziesięć”. Connor i jego towarzysze bezszelestnie weszli do wnętrza i odbezpieczyli pistolety. Na dole rozległ się huk. Stojący przy oknie czterej torysi odwrócili się, a jeden z nich skierował broń w stronę Connora.

Rzucił ją natychmiast widząc dwóch uzbrojonych ludzi.

- Panowie zrobią to samo - odezwał się Connor do pozostałych. - Natychmiast! - to ostatnie słowo skierowane było do oficera. Patrzył, jak rzucają na ziemię pistolety i szable. Byli wściekli, że dali się tak łatwo schwytać. Potem podszedł do drzwi i krzyknął na dół:

- Daniel! Mick!

- Tutaj wszystko w porządku - odpowiedzieli.

- Ilu tu jeszcze macie ludzi? - zapytał Connor jeńców.

- Dość, żebyś stąd nie wyszedł - odezwał się drwiąco Foxworth.

- Być może. To się jeszcze okaże.

Następnie kazał dokładnie związać Anglików. Kiedy jego ludzie doszli do Foxwortha, Connor zatrzymał ich.

- Zwiążcie mu tylko ręce na plecach. Będzie mi potrzebny.

Foxworth spojrział na niego z nienawiścią.

- Nie mam zamiaru ci pomagać, przeklęty buntowniku.

- Nie ma pan wyboru - odparł Connor - pułkowniku...?

- Foxworth...William Foxworth. Zapamiętaj to sobie, bo dopilnuję, żebyś skończył na szubienicy, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą w życiu zrobię.

- Bardzo możliwe, pułkowniku, zwłaszcza jeśli nie będzie pan wykonywał moich poleceń.

- Mogę wiedzieć, jak się nazywasz?

- Co to za różnica? - roześmiał się Connor.

- Lubię znać swych wrogów.

- O'Neill. Connor O'Neill, major miliq'i Południowej Karoliny. - Na twarzy oficera było widać zaskoczenie, jednak Connor nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać.

Chwytnąc Foxwortha za ramię popchnął go w kierunku drzwi.

- Razem przeszukamy pozostałą część farmy.

Foxworth opierał się, ale ręce miał mocno związane, a uścisk O'Neilla był niezwykle silny. Nie miał wyboru. A więc to był O'Neill... człowiek, którego tak nienawidził Robert Chatham.

Kiedy torysi z dołu byli również związani i zakneblowani, Connor wyszedł z Foxworthem na podwórze. Udali się w stronę stodoły. Dał znak jeźdźcom czekającym w lesie, by się zbliżyli, a następnie polecił im zabrać wyładowane solą wozy. Sam z trójką ludzi zamierzał poszukać angielskich maruderów.

Jednego wartownika ustawił za domem, drugiego przed budynkiem, a sam z szarpiącym się Foxworthem i trzecim człowiekiem ruszył w stronę stodoły.

Byli prawie przy drzwiach, gdy Connor usłyszał jakiś głos:

- Wystarczy... ani kroku dalej.

Rozległ się strzał i idący za Connorem Mick upadł. Wykorzystując moment zaskoczenia Foxworth wyrwał się i padając przetoczył na bok. Connor stanowił teraz doskonały cel.



Samantha dotarła na plantację Garrisona, w chwili gdy Connor prowadził Foxwortha do stodoły. Ze swego miejsca widziała coś, czego nie mógł zauważyć Connor... Ze strychu stodoły wystawał muszkiet. Zobaczyła padającego Micka, potem człowieka na strychu zmieniającego broń. Bez chwili wahania sięgnęła po własną strzelbę i spięła konia. Zginął gdzieś strach. Za wszelką cenę chciała uratować Connora. Zaabsorbowany tym, co się działo na dole, torys nie widział ani konia, ani jeźdźca, ani kuli, która go trafiła.

Connor odwrócił się i wpatrywał w drobną postać na złocistym koniu. Pomimo zaniepokojenia nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Świetny strzał - powiedział podchodząc do Samanthy. - Jeszcze raz dziękuję.

Samantha nie odpowiedziała. Jej uwagę przykuł leżący na ziemi Anglik. Oczy mężczyzny pełne były nienawiści i przez chwilę wydawało jej się, że została rozpoznana.

Zawróciła konia i bez słowa zniknęła w lesie. Connor zabrał Foxwortha do stodoły, przywiązał do słupa i zakneblował.

- Zabieramy się stąd - powiedział do krwawiącego obficie Micka. Pomógł mu wsiąść na konia i gwizdnął na dwóch pozostałych mężczyzn, którzy pilnowali domu. Wkrótce wszyscy czterej ruszyli galopem za wozami z solą.

Późnym wieczorem ludzie Mariona zaczęli wracać do obozu. Zasadzka udała się. Choć Tarleton uciekł, torysi ponieśli ciężkie straty.

Samantha i Billy wrócili jako jedni z pierwszych. Nigdy przedtem nie spędziła tyle czasu w siodle i bolały ją wszystkie mięśnie. Ześliznęła się niezręcznie z konia i upadła na ziemię. Zażenowana zaczęła nerwowo chichotać. Potem, gdy uświadomiła sobie, że leży na ziemi w środku jakiegoś lasu i że właśnie zabiła człowieka, chichot przeszedł w głośny śmiech. Billy zrozumiał jej reakcję i pojął, co się stało. Sam czuł się podobnie, gdy pierwszy raz zabił człowieka. Wyciągnął rękę i pomógł Samancie się podnieść. Zdziwił się, że była taka lekka.

Tej nocy szacunek Billy'ego dla Samantha wzrósł stokrotnie. Jadąc pięćdziesiąt metrów za nią Billy nie widział strzelby wycelowanej w Connora. Dopiero huk wystrzału i widok trupa pozwoliły mu zorientować się w sytuacji. Był to doskonały strzał. Sam wykazał się szybkim refleksem i zimną krwią; był też doskonałym jeźdźcem. Bardziej niż przedtem Billy pragnął się z nim zaprzyjaźnić.

Samantha była zupełnie wyczerpana. Nie miała co do tego pewności, ale Foxworth mógł ją rozpoznać. Gdyby tak było, oznaczałoby to kłopoty. Była zdumiona, że nie czuje wyrzutów sumienia. Brak jakichkolwiek uczuć zaszokował ją. Pamiętała słowa Marion i myślała, że może coś jest z nią nie tak. Jej celem nie było zabicie torysa, lecz uratowanie Connora. Biła się z myślami, z wdzięcznością przyjmując pełne wyrozumiałości milczenie Billy'ego.

Connor wrócił razem z Marionem. Widziała

go z daleka. Zajął się najpierw rannym Mickiem, a potem zabezpieczył sól przed deszczem. Cieszyła się, że nie musi odpowiadać na żadne pytania, a przede wszystkim nie pragnęła wdzięczności. Nigdy nie będzie w stanie wynagrodzić mu krzywdy wyrządzonej przez jej rodzinę.

Kiedy wreszcie Connor był wolny i zaczął jej szukać, Samantha schroniła się w namiocie i udawała, że śpi. Była wdzięczna Billy'emu, który go odprawił. Jutro postara się stawić mu czoło.

Następnego dnia o brzasku opuściła namiot. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, sprawiająca, że wszystkie kształty wydawały się miękkie i zamazane. Samantha odnalazła Sundance i pojechała na oklep w stronę rzeki. Choć wydawało jej się, że jest sama, wiedziała, że wartownicy Mariona śledzą jej ruchy. Znalazła wierzbę, która mimo późnej pory roku nadal zachowała zielone liście iskrzące się teraz kroplami rosy. W ciszy poranka Samantha słyszała odgłosy ptaków. Dziewiczy spokój tego zakątka był ukojeniem po przeżyciach poprzedniego dnia. Słone łzy zmieszały się z miękką mgiełką osiadającą jej na twarzy.

Poczuła dłoń na swym podbródku. Uniosła lekko głowę i napotkała wzrok Francisa Mariona.

- Łzy? - zapytał łagodnie.

Patrzyła na niego bez słowa.

Marion zdjął kurtkę i rozłożył ją na przewróconym pniu. Poprosił, by usiadła i sam zajął miejsce obok niej.

- Świetnie sobie wczoraj poradziłeś - powie-

dział miękkim głosem. - Nie ma powodu do rozpaczy.

Spojrzał w jej niebieskie oczy i przez chwilę Samancie wydawało się, że potrafi czytać w jej myślach. Opuściła głowę.

- Chodzi o zabicie tego torysa?

- Nie - odpowiedziała uczciwie. - Chciał zabić O'Neilla.

Marion westchnął. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo chłopak jest przywiązany do O'Neilla. Tylko dlaczego Sam Taylor nie mógł zaakceptować przyjaźni Cortnora? Czyżby bał się odrzucenia? Chyba Connor nie dał mu do tego powodów. Sam był sfrustrowany, gdyż nie mógł nawiązać z chłopcem kontaktu.

- Może mi powiesz, co cię gnębi? - zaproponował Marion. - Wiesz, że cię bardzo cenimy.

Łzy Samantha jeszcze się wzmogły. Cieszyła się, że zaczął padać drobny deszcz, ale wiedziała, że nawet on nie jest w stanie ukryć wyrazu jej twarzy.

- To nic takiego - powiedziała wreszcie wdzięczna za jego troskę. - Dziękuję, że chciał mi pan pomóc.

Marion był bardziej zaintrygowany niż kiedykolwiek. Chłopak nie narzekał, okazał się niez mordowany i dowiódł swej wartości.

- Nie wiem jak ty - powiedział w końcu pułkownik - ale ja jestem głodny. Wysłałem ludzi, żeby sprawdzili pułapki i jeśli będziemy mieli świeże mięso, zapraszam cię na śniadanie.

Samantha uniosła z wdzięcznością głowę i uśmiechnęła się lekko.

- Z przyjemnością - powiedziała cicho.

Marion zwrócił uwagę na fakt, że zachowanie się chłopca, zwykle szorstkie i proste, przez chwilę było miłe, niemal wikwintne. Odsunął od siebie tę myśl. Prawie każdy w jego oddziale miał coś do ukrycia. Ten chłopak z pewnością nie był wyjątkiem.

W drodze powrotnej Marion nie mógł oderwać oczu od złotej klaczy, która tak posłusznie podążała za chłopcem.

- Chciałbym mieć tak dobrze wyszkolone konie - zauważył.

- Trzeba tylko czasu... i uczucia - odpowiedziała.

- To chyba nie takie proste - odparł Marion.

- Tak jak mówił Connor, chyba masz rękę do koni. - Potem poważniejszym już tonem dodał: — Możesz zostać tutaj i zajmować się końmi lub jeździć z nami. Decyzja należy do ciebie.

Samantha spojrzała na niego z powagą. Wiedziała, że słowa te oznaczały całkowitą akceptację i zrobiło jej się wstyd, że go oszukuje. Kiwnęła więc tylko głową.

Powitał ich aromat pieczonego mięsa. Marion poczekał, aż Samantha odprowadzi konia do zagrody, a potem razem udali się na polanę. Connor natychmiast ruszył w ich stronę, lecz Marion zatrzymał go gestem ręki. Podejrzewał, że chłopak jeszcze nie jest gotowy na spotkanie z Connorem.

Na śniadanie dostali królika z mamałygą. Nie

wiedzieli, dlaczego, lecz dobrze się czuli w swym towarzystwie. Wytworzyła się między nimi nic porozumienia.

Samantha była bohaterem dnia. Każdy już słyszał o jej niezwykłym wyczynie i ludzie, których wcześniej odstraszała swą małomównością, przyszli jej gratulować. Przyjmowała te dowody uznania z zażenowaniem, czym zyskała sobie jeszcze więcej przyjaciół. Aby uniknąć niepożądanego rozgłosu, schroniła się w namiocie i przespała resztę dnia.



Dwaj mężczyźni stojący naprzeciw siebie w wyłożonym drewnem mahoniowym gabinecie w ChathamOaks patrzyli na siebie z wściekłością.

- Chcę wiedzieć, gdzie ona jest! - Foxworth nie próbował nawet panować nad sobą.

- Nic więcej ci nie powiem - odpowiedział Chatham. - Nie masz prawa wysuwać jakichkolwiek żądań. - Arogancja i upór Foxwortha budziły w nim coraz większą złość. Nie miał pojęcia, gdzie podziała się córka. Wszelkie próby jej odnalezienia spełżyły na niczym i fakt ten bynajmniej nie poprawiał mu humoru.

- Chciała mieć trochę czasu na przemyślenie pewnych spraw - dodał. - Prosiła, żeby nikomu nie mówić, dokąd jedzie.

- Nawet własnemu narzeczonemu? Nie wierzę ci.

- Wydaje mi się - odezwał się Chatham równie wyniosłym tonem jak Foxworth - że to właśnie z twojego powodu chciała zastanowić się nad tymi zaręczynami. Widzę teraz, że jej obawy były uzasadnione!

- A mi się wydaje, że nie wiesz, gdzie ona jest. Prawdę mówiąc, może wiem więcej od ciebie.

Na twarzy Chathama widać było zaskoczenie. Czy to możliwe, żeby nie wiedział, gdzie jest jego córka? Może ta przelotna myśl wczoraj... ale nie... przecież to niemożliwe. Żadna dziewczyna nie potrafiłaby tak strzelać. Ale Samantha rzeczywiście świetnie jeździ konno. No i jeszcze ten koń.

Nagle zmienił temat.

- Co się stało z tym koniem, którego Samantha tak lubiła?

Chatham wpatrywał się w swego gościa ze zdumieniem. Foxworth nigdy nie interesował się końmi. Odpowiedział wolno, podejrzewając jakąś pułapkę.

- Został ukradziony wkrótce po wyjeździe Samantha.

- Chyba wiem, gdzie jest twój koń.

- Gdzie?

- U Mariona - odparł Foxworth. - Widziałem go wczoraj na plantacji Garrisona. Jechał na nim jakiś chłopak - dodał nie spuszczając oczu z Chathama. - Był tam jeszcze ktoś.

Chatham wzruszył ramionami, jakby go to nie obchodziło.

- O'Neill - powiedział Foxworth. - Connor O'Neill. Jest majorem tej hołoty.

Ze złośliwą satysfakcją obserwował, jak twarz Chathama bieleje.

- Jesteś tego pewien?

- Przedstawił się... Wysoki blondyn, zimne szare oczy. Muszę powiedzieć, że więzienie nie pozostawiło na nim wielkiego śladu.



- Pozwoliłeś mu uciec?

- Drogi Robercie, a cóż innego mogłem zrobić? Trzymał mnie na muszce. Ale nie martw się. Dostanę go i Mariona też - przyglądał się uważnie Chathamowi spod wpróprzymkniętych powiek. - Złapiemy też tego chłopca, który jeździ na twoim koniu.

Chatham jednak zupełnie stracił zainteresowanie koniem. Myślał tylko o O'Neillu. Na pewno wie, kto przyczynił się do jego uwięzienia i konfiskaty Glen Woods. Trzeba podwoić strażę. Chatham nagle zapragnął pozbyć się swego gościa. Nienawidził jego lekceważących, wyniosłych manier, które dobitniej od słów wyrażały pogardę dla mieszkańców Południowej Karoliny, bez względu na to, czy byli lojalni wobec króla czy nie. Może jednak mylił się nalegając na małżeństwo córki z tym człowiekiem. .

Po wyjściu Foxwortha Chatham chodził po pustym domu. Brakowało mu córki. Świadomość ta przygnębiała go.

Kiedy osiem lat temu umarła jego żona, Chatham poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nikogo nie pokocha. Wiedział, że nie zniósłby po raz drugi takiego cierpienia.

Mając za sobą pozbawione miłości i radości dzieciństwo, Robert Chatham nie przypuszczał, że będzie w stanie kogokolwiek pokochać. Jego rodzice nie byli dobrym małżeństwem. Jako ich młodszy syn, zdany był zawsze na łaskę przypadkowo wybranych, pastwiących się nad nim guwernantek i nauczycieli. Wiedział o roman-

sach i wzajemnej obojętności rodziców. W końcu uciekł do kolonii, gdzie jego zdolności i inteligencja zostały docenione. Rany jednak pozostały i sprawiły, że pieczołowicie strzegł swej prywatności i wolności. Do chwili, gdy poznał Elizabeth Matthews.

Poznali się na przyjęciu, gdzie pełna życia piękność, otoczona rojem młodych mężczyzn, z miejsca go zafascynowała. Wiedział, że jest ponurakiem i był zaskoczony, że się nim zainteresowała. Dla Elizabeth Matthews początkowo stanowił jedynie wyzwanie. Później jednak ciekawość przerodziła się w miłość i wbrew wszelkim dobrym radom wyszła za chłodnego Anglika.

Chatham zaś był jak ćma lecąca do ognia. Nie widział świata poza wciąż roześmianą, emanującą ciepłem Elizabeth. Niechętnie przyjął narodziny córki, ponieważ opieka nad nią zabierała żonie zbyt wiele czasu. Jego zazdrość rosła, a z czasem przerodziła się w obsesję na punkcie Elizabeth. Robił co mógł, by ograniczyć jej przyjaźnie i kontakty z innymi ludźmi.

Ze względu na swą miłość do męża Elizabeth spełniała jego życzenia. Jedyne wyjątek stanowiła jej szkolna przyjaciółka, Margaret O'Neill. Kochała ją jak siostrę i z radością patrzyła na przyjaźń swej córki Samantha i syna Margaret, Brendana. W żartach planowały małżeństwo między tą dwójką, a marzenie to jeszcze bardziej zbliżyło je do siebie. Z powodu uprzedzeń męża, który nie akceptował irlandzkich korzeni O'Neillów,

Elizabeth często trzymała swe kontakty z przyjaciółką w tajemnicy.

W okolicy wybuchła epidemia gorączki i na wieść o chorobie Margaret, Elizabeth bez chwili wahania zamówiła powóz. Ledwie poznała przyjaciółkę, która z trudem chwyciła powietrze. Margaret O'Neill umarła tego samego dnia.

Elizabeth zrozpaczona wróciła do domu, gdzie czekał na nią rozwścieczony mąż. Nie chciał słuchać jej wyjaśnień; kazał ją zamknąć w sypialni, a sam poszedł spać gdzie indziej. Gdy następnego ranka służąca przyniosła śniadanie, znalazła swą panią nieprzytomną. Dwa dni później Elizabeth poszła w ślady przyjaciółki.

Przez kilka dni po śmierci żony Robert Chatham siedział sam w swym pokoju opróżniając jedną butelkę brandy po drugiej. Najpierw winił siebie; gdyby wcześniej zauważył symptomy choroby, może lekarz byłby w stanie uratować Elizabeth. Ta myśl jednak była nie do zniesienia, zaczął więc poszukiwać innego winowajcy. O'Neillowie. To przez nich gorączka weszła do jego domu.

Trzeciego dnia wziął pistolet i pojechał do Glen Woods. Okiennice domu były zamknięte, a czarny wieniec zdobił drzwi frontowe. Ośmielony alkoholem nawet nie zapukał. Z rozmachem otworzył drzwi.

- O'Neill! - ryknął.

Dźwięk jego głosu wyrwał Geralda O'Neilla z otępienia. Podobnie jak Chatham, topił swój smutek w butelce. Pracujący w stodole Connor też usłyszał hałas i przybiegł.

O'Neill potykając się wyszedł z sypialni na drugim piętrze i oszołomiony stał na szczycie schodów wpatrując się w Chathama.

- To ty! - wykrzyknął zdziwiony. Potem jego twarz skurczyła się. - Elizabeth... słyszałem... przykro mi, Chatham.

- To ty ją zabiłeś - powiedział Chatham wyraźnie, a każde słowo przesycone było jadem. - A teraz ja zabiję ciebie.

Starannie wymierzył pistolet prosto w serce O'Neilla. W tym momencie do domu wpadł Connor i rzucił się w stronę Chathama. Kula trafiła Geralda O'Neilla w ramię.

Connor obezwładnił sąsiada i siłą wyprowadził go za drzwi.

- Powiniennem cię zabić, Chatham - powiedział cicho do wsiadającego na konia mężczyzny. - Nie zrobię tego jedynie ze względu na twoją żonę. Ale ostrzegam cię... jeśli kiedykolwiek pojawisz się w Glen Woods, nic mnie nie powstrzyma.

Twarz Chathama wykrzywił grymas bezsilnej wściekłości.

- Irlandzkie bękarty... To wy zabiliście Elizabeth i będziecie się za to smażyć w piekle.

Connor obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Nie wątpię, że i ty się tam znajdziesz za sposób, w jaki traktowałeś swoją żonę. Przynajmniej się od ciebie uwolniła. Żal mi tylko twej córki.

- Trzymaj się z dala od Samantha... Wszyscy się od niej trzymajcie z daleka, bo skończę to, co zacząłem - wrzasnął Chatham i spiąwszy konia odjechał galopem.

Tego dnia skończyło się dla niego życie. Córka dorastała, podobnie jak wcześniej on sam, pod opieką obcych. Z niechęcią przyjmował jej obecność i było mu obojętne, że jeździła konno czy też wykradała się na spotkania z Brendanem lub Hectorem.

Gdy skończyła siedemnaście lat, zaczął myśleć o spadkobiercy. A to oznaczało odpowiednie wydanie Samantha za lojalnego, urodzonego w Anglii poddanego Korony Brytyjskiej.

Kiedy służba doniosła mu o spotkaniach Samantha z Brendanem, wpadł w taką wściekłość, że nie zważał na reputację córki. Odszukał Brendana i publicznie oskarżył go o uwiedzenie dziewczyny, świadom, że duma nie pozwoli młodemu człowiekowi wycofać się z pojedynku. Śmierć Brendana napełniła go mściwą radością.

Radość ta szybko znikła, gdy okazało się, że nie tak łatwo będzie znaleźć odpowiedniego męża dla Samantha. Jej zrujnowana reputacja zrobiła swoje. W tej sytuacji propozycja Foxworth'a okazała się idealnym rozwiązaniem.

Dlaczego więc coraz częściej miewał wątpliwości co do tej kandydatury? I dlaczego po tylu latach zaczynał odczuwać samotność?

Connor potarł obolały bok. Minęły prawie dwa miesiące od czasu, gdy został ranny, ale ból nadal mu dokuczał. Zsunął się z siodła. Spędził trzydzieści godzin w siodle i zarówno on, jak i koń padali z wyczerpania.

Nawet Marion, który zawsze robił wrażenie niezmordowanego, potykał się w drodze z zagrody dla koni.

Nagle u boku Connora pojawiła się Samantha; wzięła od niego konia.

- Wyczyszczę go - zaproponowała.

Connor tylko skinął głową. Był zbyt zmęczony, by się spierać. Podszedł do Mariona.

- Tym razem nieźle dostali - odezwał się pułkownik. - Nie ma już miejsca, gdzie mogliby czuć się bezpieczni.

- Zapłaciliśmy za to.

- Zawsze płacimy, ale uwolniliśmy za to pięciuset Amerykanów, którzy jeszcze wczoraj gnili w więzieniu. Ci ludzie przyłączą się do Greene'a albo Waszyngtona...

- Szkoda, że nie do nas. Potrzebujemy ludzi.

- Nie daliby rady pokonać konno takiej odległości. Nie każdy jest tak doskonałym jeźdźcem jak ty.

Connor skinął głową dziękując za ten rzadki w ustach Mariona komplement.

- Idę spać. Mam nadzieję, że ty też się położysz.

- Sprawdzę tylko warty. Jutro przenosimy obóz. Teraz Brytyjczycy przystąpią do działania.

Connor wczołgał się do namiotu nie zważając na dręczący go głód. Sen był najważniejszy. Odwracając się na bok potracił dłonią talerz z jedzeniem. Obok stał kubek z winem. Nie zastanawiając się wiele zabrał się do jedzenia. Przyszło mu do głowy, że to pewnie Sam zatroszczył się o niego. Ten chłopak był taki uczynny. Będzie musiał jutro z nim porozmawiać.

Po raz kolejny nic z tego nie wyszło. Gdy Connor wreszcie opuścił swój namiot, obóz już się zwijał. Samantha i Billy wyruszyli z dodatkowymi końmi, a Connor miał rozkaz zostać i dopilnować uprzątnięcia terenu oraz zastawienia pułapek na Anglików.

Nowo wybrane miejsce położone było z dala od uczęszczanych szlaków, miało jednak dostęp do świeżej wody. Gdy Connor przybył do obozu, kopano już latryny i rozstawiano namioty. Odgłosy strzałów świadczyły o tym, że myśliwi udali się na polowanie. Nie obawiano się, że strzały zdradzą wrogowi miejsce kryjówki. Moczary tłumiły i zniekształcały dźwięk, a każdy kto zechciałby pójść kierując się słuchem wkrótce zagubiłby się wśród niebezpiecznych bagien.

Bagna były rzeczywiście niebezpieczne. Roiły się od węży i dzikich zwierząt. Były jeszcze ru-

chome piaski i szerzyła się febra. Nie każdy potrafiłby tu żyć.

Connor był zdumiony łatwością, z jaką Sam Taylor przystosował się do nowych warunków życia. Chłopak nigdy nie narzekał w odróżnieniu od pozostałych mężczyzn, którzy nieustannie skarżyli się to na jedzenie, to na uciążliwość nocnych wypraw.

Sam pracował ciężko i zawsze chętnie podejmował się nowych obowiązków. Od czasu akcji na farmie Garrisona, Marion zajął się chłopcem. Cieszyło to Connora, ale nie przestawał intrygować go powód, dla którego Sam odrzucał jego pomoc i przyjaźń, a jednocześnie niczym anioł stróż zawsze był pod ręką, gdy Connor go potrzebował. Myśl o nieokrzesanym oberwańcu w roli anioła stróża wprawiła go w dobry nastrój.

Chłopak najwyraźniej potrzebował prywatności. Nie korzystał ze wspólnej latryny i nigdy nie kąpał się razem z innymi. Początkowo był z tego powodu obiektem drwin, ale z czasem wszyscy nauczyli się szanować jego ekscentryczne zachowanie. Czasami zniknął gdzieś, ale nikogo to już nie dziwiło.

Rozbawienie pojawiło się w oczach Connora, gdy przypomniał sobie znalezione wczoraj wieczorem w namiocie dary. Bardzo się przydały i z tym większą determinacją postanowił odszukać Sama. Nie podziękował mu jeszcze za uratowanie życia na farmie Garrisona... Sam zniknął za każdym razem, gdy tylko zaczynał się do niego



zbliżać, a Fran ostrzegł, by nie naciskał na chłopca. Wydawało się, że łączy ich jakiś szczególny rodzaj porozumienia. Connora drażnił fakt, że Marionowi udało się to, z czym on sam nie mógł sobie poradzić.

Samantha bardzo uważała, by przypadkowo nie natknąć się na Connora. Prześladował ją dniem i nocą. Próbowwała tłumaczyć sobie, że to poczucie winy ją tak dręczy, ale wiedziała, że chodzi tu o coś więcej. Gdy Connor się do niej uśmiechał, czuła, że cała topnieje. Z wielkim trudem udawało się jej zachować obojętność. Trzymała się z dala, choć wiedziała, że podsyca tylko jego ciekawość.

Na bagnach czas biegł inaczej. Odmierzały go okresy oczekiwania na bezpieczny powrót wyjeżdżających na akcje oddziałów. Ostatni rajd był dla niej torturą; wiedziała, że jej towarzysze planują atak na duży oddział angielskiego wojska transportujący więźniów z Kingstree do Georgetown. Ich bezpieczny powrót napełnił ją wielką radością; cieszyła się też, że pomyślała o tym, by zanieść jedzenie od Hectora do namiotu Connora.

Wiedziała, że nie może bez końca go unikać. Gdy tylko był w obozie, czuła na sobie jego wzrok. Wymykanie się O'Neillowi stało się prawie regułą. Była to niebezpieczna gra, bo determinacja Connora wciąż rosła.

Zobaczyła to w jego oczach, gdy podszedł do niej pierwszego wieczoru w nowym obozie.

- Chcę zamienić z tobą parę słów, Sam - po-

wiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Billy, który siedział obok, natychmiast wstał, ale jego młody przyjaciel powstrzymał go gestem ręki. Billy spojrzał na pełną determinacji twarz Connora. Major O'Neill był jego zwierzchnikiem.

- Zobaczymy się później, Sam - powiedział zostawiając ją z Connorem.

- Nie mieliście prawa - odezwała się wreszcie Samantha unikając wzroku O'Neilla.

Connor usiadł na ziemi. Widząc jak bardzo deprymuje chłopca, starał się mówić łagodnym głosem.

- Ile masz lat, Sam?

- Tyle ile trzeba - odpowiedziała wymijająco.

- Czy zawsze wykręcasz się od odpowiedzi?

Łobuzersko wzruszyła ramionami. Samantha czuła, jak Connor tężeje starając się zapanować nad sobą.

- Ktoś zostawił wczorajszej nocy jedzenie w moim namiocie. Czy to ty?

- Tak - odpowiedziała, wiedząc, że prędzej czy później i tak by się dowiedział.

- Skąd je wzięłeś?

Samantha wreszcie spojrzała na niego.

- Przyniósł je taki chłopak... co szukał pułkownika.

- Ale dlaczego ja? - upierał się Connor.

- Bo najbardziej go potrzebujecie - powiedziała spuszczać znów wzrok. - Jesteście jeszcze za chudzi.

Ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy Connora. Trudno było o kogoś chudszego niż Sam,

który, jeśli to w ogóle możliwe, w ciągu ostatnich tygodni wyszczuplał jeszcze bardziej.

- Dość tego, Sam - powiedział z nieznaczną surowością. - Mówiłem ci kiedyś, że Marion nie bierze chuderlaków. Jeśli nie będziesz więcej jadł, może cię wyrzucić.

Samantha wystraszyła się.

- Nie zrobi tego. On i ja... jesteśmy przyjaciółmi.

Connor położył rękę na drobnym ramieniu chłopca. W jego głosie można było wyczuć cień urazy.

- Chciałbym, żebyś i mnie uważał za swego przyjaciela.

Chłopak spojrzał mu prosto w oczy i zaskoczył Connora śmiałością tego spojrzenia. Miał niebieskie oczy jak Brendan i fakt ten wywołał nagłą falę dojmującego bólu.

Samantha natychmiast zrozumiała, co się stało. Często z Brendanem żartowali ze swych dopasowanych kolorystycznie oczu.

Mimowolnie wyciągnęła rękę i w geście pocieszenia dotknęła ramienia Connora. Zabrała ją tak szybko, że nie był pewien, czy mu się nie wydawało. Poczł jednak łączącą ich więź i zrobiło mu się lżej na sercu. Bał się zniszczyć tę kiełkującą przyjaźń. Pragnął zaadoptować tego chłopca, którego niezależność i szczodrość okazały się tak wielkie. Po wojnie upomni się o swą plantację i zaoferuje Samowi prawdziwy dom. Nie miał zamiaru jednak o tym teraz wspominać.

- Nad Santee mieszka taki chłopak - powie-

dział w końcu. - Nazywa się John. On i jego matka pomogli mi w ucieczce. Obiecałem mu strzelbę. Fran nie planuje nic na najbliższe dni, pomyślałem więc, że pojedę w tamte strony. Miałem nadzieję, że dotrzymasz mi towarzystwa - uśmiechnął się szeroko. - Trudno o lepszego obrońcę.

Samantha wiedziała, że postępuje niemądrze, ale nagle perspektywa spędzenia kilku dni z Connorem sprawiła, iż zapomniała o wszelkiej rozwadze. Skinęła głową.

Connor wstał.

- Wyruszymy o świcie - zarządził.

Samantha ze smutkiem patrzyła, jak odchodzi. Wiedziała, że kusi los, a los rzadko bywa przychylny dla tych, którzy z niego drwią.

Jestem szalona, zupełnie szalona, wypominała sobie Samantha następnego ranka siodłając konia o nieciekawym wyglądzie. Sundance była zbyt piękna na tę wyprawę; na pewno zwracałaby na siebie uwagę.

Samantha odwróciła się i... zaskoczył ją widok stojącego przed nią człowieka. Nawet ona z trudem rozpoznała w nim Connora O'Neilla. Brudny, jasny zarost i czarna opaska na oku odmieniły go. Okazało się, że nie ona jedna zna się na farbach. Jasne włosy Connora były teraz brązowe, a cera przypominała twarz pijaka. Kuśtykając podszedł do niej z błyskiem w jednym szarym oku.

- Czy pomożesz biednemu kalece rannemu w służbie Jego Wysokości? - miły głos, sympatyczny sposób bycia kontrastowały z jego wyglądem i Samantha nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Lepiej milczcie - ostrzegła także żartobliwym tonem.

Głos Connora przybrał płaczliwy ton.

- Upomnę się o swoje... obiecali mi farmę po buntowniku... za moją służbę...

Samantha stłumiła w sobie śmiech, ale nie mogła powstrzymać się od komentarza.

- Na pewno Brytyjczycy chcieliby się wam odwdziżyć... wątpię jednak, czy dadzą wam farmę.  
Connor roześmiał się, rozbawiony tą uwagą.

Samantha, pomimo starań, nie mogła opanować szalonej radości, która przepełniała ją, gdy opuszczali obóz.

Świtało. Ptaki rozpoczęły już swe pienia, a wiewiórki wesoło przeskakiwały z drzewa na drzewo. Samantha drżała z radości czując się częścią lasu i toczącego się w nim życia.

Connor zauważył jej wyprostowane ramiona oraz entuzjazm, z jakim obserwowała otaczającą przyrodę. Niewielu ludzi dostrzegało tajemnicze piękno bagien; cieszył się, że Sam się do nich zalicza.

Przez cały ranek podróżowali w milczeniu podążając z biegiem Pee Dee. Connor koncentrował się na szlaku, wyczulony na wszelkie niebezpieczeństwa. Od czasu do czasu wskazywał na jakiś krzew lub drzewo opowiadając o jego szczególnych właściwościach. Samantha słuchała go z wielkim zainteresowaniem.

W południe zatrzymali się nad wodą i spożyli skromny posiłek z suszonej dziczyzny. Wcześniejsza swoboda w ich stosunkach znikła. Samantha siedziała ze spuszczoną głową i odpowiadała monosylabami. Nie mogła pozbyć się przeczucia nadchodzącej katastrofy.

Connor przerwał milczenie.

- Mam sprawę do załatwienia w Georgetown  
- popatrzyl na nią. - Chcę, żebyś został w lesie.

- Nie - uparła się. - Zabraliście mnie i będę z wami.

- Dobrze - odparł Connor z wyrazem zadowolenia na twarzy. - Ale rozdzielimy się na wypadek, gdyby ktoś mnie poznał.

- Nie poznają - powiedziała Samantha z przekonaniem. - Nawet ja was nie poznałem.

- Tak czy inaczej - odpowiedział Connor z wyraźną satysfakcją - będziesz się trzymał z tyłu. To rozkaz.

- Tak jest, sir - ton był impertynencki, głowa przechylona łobuzersko.

Connor nie mógł dłużej powstrzymać śmiechu.

- Kiedyś - powiedział surowo - trafisz na godnego siebie przeciwnika. Chodź, pod wieczór powinniśmy dotrzeć do miasta. Mam tam przyjaciół.

Gdy zbliżali się do Georgetown, Connor zachmurzył się na widok drewnianego fortu wzniesionego na głównej drodze prowadzącej do miasta. Minął strażę jako pierwszy, domagając się widzenia z „kimś z władzy”.

Samantha została z tyłu. Gdy Connor minął bramę, z bijącym jak młot sercem podeszła do wartowników.

- Jaka masz sprawę, chłopcze?

- Tato mnie przysłali, co bym się tu schronił przed buntownikami. - Machnięciem ręki wartownik kazał jej jechać. Niezręcznym ruchem kopnęła konia i niemal spadła z siodła, co wywo-

łało szyderczy śmiech Anglików. Zgodnie ze wskazówkami Connora odnalazła imponujący dom z cegły otoczony białym płotem. Przed domem stała latarnia gazowa. Dziewczyna wiedziała, że latarnie gazowe stanowią wielki luksus.

Samantha Chatham często bywała w Georgetown. Znała sklepy i wiele pięknych domów stojących wzdłuż rzeki i głównej ulicy. Nigdy jednak nie była na tej cichej, schludnej uliczce. Intrygowało ją to. Może mieszkali tu jacyś znani patrioci? Dlaczego w takim razie Anglicy nie skonfiskowali ich majątku?

Zresztą nie miało to znaczenia. Connor nie umawiałby się tu z nią, gdyby to miejsce nie było bezpieczne. Zeskoczyła z siodła i oddawszy konia służącemu odzianemu w liberię wbiegła na schody. Zapukała do drzwi i zdziwiła się, gdy otworzyła je kobieta. Jeszcze bardziej zdumiewał jej strój. Samantha nigdy jeszcze nie widziała kobiety w tak skąpym odzieniu.

Była piękna; co do tego nie było wątpliwości. Tycjanowskie włosy opadały jej na plecy i podkreślały klasyczną urodę twarzy. Szmaragdowe oczy śmiały się do oszołomionej Samanthy. Kobieta miała na sobie tylko wydekoltowaną koszulę nocną, co odciągało uwagę od drobnych linii wokół ust i oczu.

- Pewnie jesteś Sam - powiedziała ciepłym, rozbawionym głosem. - Connor czeka na ciebie... Niepokoił się.

Nagle zdała sobie sprawę z zaskoczenia



i onieśmienia swego gościa i dodała łagodniejszym tonem:

- Connor obudził mnie kilka minut temu. Nie miałam czasu się ubrać... ale wejdź. Nie możesz tu sterczeć przez cały dzień...

Oszołomiona Samantha weszła do wykwintnie udekorowanego foyer. Wnętrze stanowiło dziwną kombinację luster i kanap. Dobry smak mieszał się z ekstrawagancją. Kim jest ta kobieta? Co ma wspólnego z Connorem?

Bez słowa podażyła za nią do olbrzymiej kuchni. Connor siedział przy stole i pałaszował jajka z szynką. Na dźwięk zbliżających się kroków uniósł głowę uśmiechając się szeroko.

- Sam... Nie miałeś żadnych kłopotów?

Jej oczy zwięziły się podejrzliwie, gdy spojrzała na Cortnora. Widząc jej oszołomienie przestał się uśmiechać.

- To jest Annabelle - powiedział. - Przyjaźnimy się od dawna.

Nie słyszał, jak Samantha cicho zaklęła, ale nie mógł nie zauważyć niechęci w jej wzroku.

Annabelle też to zauważyła i próbowała uspokoić chłopca.

- Wszyscy pracujemy dla generała Greene'a i Mariona - powiedziała miękko, kładąc dłoń na ramieniu Samantha. - Nie masz się czego obawiać.

Zaskoczyła ją niechęć chłopca. Gdyby to była kobieta, nie dziwiłaby się... Zawsze budziła niechęć innych kobiet. Ale obcy chłopak? To nie miało sensu.

- Muszę coś sprawdzić - powiedziała krótko uśmiechając się czule do Connora.

- Kto to jest? - zapytała niegrzecznie Samantha, gdy Annabelle opuściła kuchnię.

Connor z zaciekawieniem przyglądał się swemu podopiecznemu. W ciągu siedemnastu lat znajomości z Annabelle nie spotkał mężczyzny obojętnego na jej wdzięki. Annabelle nigdy niczego nie ukrywała. Była przełożoną najelegantszego burdelu w Georgetown i nie udawała nikogo innego. Dla Connora była też pełną ciepła, dowcipną i odważną przyjaciółką, którą bardzo lubił. Ojciec przyprowadził go tu, gdy miał piętnaście lat, by „nauczył się sztuki miłości od ekspertki”.

Z tymi słowami zostawił Connora w rękach Annabelle, która liczyła sobie wtedy dwadzieścia lat i była niekwestionowaną atrakcją prowadzonego przez panią Apple Salonu dla Mężczyzn. Kiedy szacowna właścicielka wyszła za mąż za jednego z klientów, sprzedała interes Annabelle. Ta szybko zmieniła jego nazwę dodając też lokalowi, znanemu odtąd jako Numer Drugi przy ulicy Wiśniowej, dyskretnej elegancji i wyrafinowania.

Connor nigdy nie zapomniał tej pierwszej nocy, kiedy delikatna i wyrozumiała dziewczyna wprowadziła go w rytuał miłości fizycznej. Okazał się zdolnym uczniem i w następnych latach często tu przychodził. Z czasem stali się przyjaciółmi. Connor pożyczył jej pieniądze na rozkręcenie własnego interesu. Pożyczka została szybko zwrócona, lecz zmieniła ich wzajemne stosunki.

Za obopólną, nie wypowiedzianą zgodą przestali być kochankami, za to łącząca ich przyjaźń umocniła się. Annabelle podjęła się zbierania informacji dla rebeliantów. Często przyjmowała oficerów angielskich i jej usługi były nieocenione.

Connor nie mógł tego wyjaśnić Samowi, który siedział zdziwiony i naburmuszony. Czy dobrze zrobił przyprowadzając go tutaj? Było już za późno na wątpliwości. Może mógłby dać Samowi to, co sam otrzymał siedemnaście lat temu? Trzeba będzie porozmawiać z Annabelle.

Samantha z trudem koncentrowała się na jedzeniu. Nagle do kuchni wtargnęła horda młodych kobiet. Wszystkie miały na sobie szlafroki albo nieprzyzwoicie głęboko wycięte dekolty w cienkich sukniach. Jeszcze bardziej niepokojący był sposób, w jaki zaczęły witać Connora. Kilka z nich złożyło na jego twarzy wilgotne pocałunki. Miała wielką ochotę zbić je, a zwłaszcza Connora, który siedział z uśmiechem na twarzy i wymieniał osobiste uwagi z każdą z nich. Ich stroje wyraźnie mu nie przeszkadzały.

Samantha odsunęła od siebie prawie pełen talerz. Annabelle była najwyraźniej kobietą lekkich obyczajów. Nikt inny nie przyjmowałby dżentelmena w takim stroju. Choć z drugiej strony zaczęła się zastanawiać, czy Connor w ogóle jest dżentelmenem.

Samantha była odczytana, lecz miała niewielkie doświadczenie. Aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że Connor przyprowadził ją do domu uciech. Jej twarz zrobiła się gorąca i czerwona.

Potem dostrzegła humor całej sytuacji i z trudem udało jej się stłumić śmiech.

Connor spojrzał na chłopaka i zmarszczył czoło. Sam wyglądał, jakby połknął wieloryba. Miał czerwoną twarz i krztusił się... ze śmiechu? Sam?

Samantha zauważyła spojrzenie Connora i zdwoiła wysiłki, by się opanować. Nagle zaczęła przeraźliwie kasłać. Connor natychmiast ruszył jej na pomoc. Zaczął okładać ją po plecach.

- Chyba musisz odpocząć - powiedział, gdy się wreszcie uspokoiła. Samantha z wdzięcznością skinęła głową.

Idąc za Connorem na górę nie mogła nie zauważyć, że O'Neill czuje się tu jak w domu. Na trzecim piętrze znajdowały się tylko dwa pokoje. Connor otworzył drzwi po lewej stronie.

Był to pokój męski i w przeciwieństwie do przeładowanej ozdobami reszty domu posiadał gustowne i skromne umeblowanie. Utrzymany był w tonacji beżowo-brązowej a przy ścianach stały półki z książkami. Mieściło się tam jedno duże łóżko oraz rzeźbione biurko i szafa. Pokój sprawiał wrażenie miejsca stworzonego dla Connora. Opanowała ją zazdrość.

- Widzę, że czujecie się tu jak w domu - zauważyła z przekąsem.

- Annabelle i ja prowadzimy wspólne interesy - odparł Connor z lekkim rozbawieniem.

- Czasami się tu zatrzymuję. To bezpieczne miejsce.

- Bezpieczne? Przy tylu świadkach? - zapyta-

ła z drwiną. - Pewnie przychodzą do nich czerwone kubraki.

- W rzeczy samej - odrzekł Connor z widoczną satysfakcją. - A im więcej ich przychodzi, tym lepiej dla Frana.

Samantha odwróciła się z wyrazem dezaprobaty na twarzy. Connor roześmiał się tylko. Wkrótce i Sam zacznie doceniać Annabelle.

- Zostań tutaj - powiedział Connor. - Pod żadnym pozorem nie wychodź z pokoju. Wkrótce dom wypełni się klientami Annabelle i będzie tu pełno Brytyjczyków i torysów. Obiecuj, że się stąd nie ruszysz.

- A wy? Dla was to bardziej niebezpieczne.

- Mam sprawę do załatwienia - odpowiedział ostro. - Poza tym jestem ostrożny. Obiecujesz?

Wiedziała, że nie ma wyboru. Skinęła lekko głową.

- Powiedz, że dajesz słowo - zażądał Connor.

- Daję słowo - odparła wolno.

- I nie otwieraj nikomu poza Annabelle.

Connor rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu Annabelle i uśmiechnął leniwie.

Annabelle jak zwykle poczuła ukłucie żalu, że nie są już kochankami, lecz jego przyjaźń była jeszcze cenniejsza. Connor był jedynym mężczyzną, który traktował ją z szacunkiem, podziwiając nie tylko jej ciało i umiejętności, lecz także jej umysł. Od czasu pierwszej pożyczki wielokrotnie łączyły ich wspólne interesy, a gdy Brytyjczycy wkroczyli do Południowej Karoliny, Connor prze-

widując kłopoty dał jej dużą sumę pieniędzy na przechowanie.

Nadal ubrany był w łachmany z samodziału. W tym stanie jego twarz nie zwróciłaby niczyjej uwagi, ale jedno nie zakryte oko błyszczało ciepłem i humorem i Annabelle z trudem zachowywała dystans.

- Lepiej się tu w takim stanie nie pokazuj. Nikt nie uwierzy, że stać cię na moje ceny.

- Pani, ranisz me uczucia - odparł z udaną urazą. - Tiffany i reszta nie miały żadnych uwag co do mojego wyglądu.

Śmiech Annabelle przypominał dźwięk dzwoneczków.

- One się nie znają - powiedziała z naciskiem. - A teraz opowiedz mi o tym chłopcu, którego przyprowadziłeś ze sobą. Chyba mnie nie lubi.

- Sam - odparł Connor kwaśno - nikogo nie lubi. Nie ufa nikomu... może poza Marionem.

- Ale dlaczego go tu przyprowadziłeś? Wiesz jakie to niebezpieczne... dla ciebie, dla mnie i dla dziewcząt.

Connor wyprostował się i spowaźniał.

- Annabelle, wiesz, że nigdy nie narażałbym cię na niebezpieczeństwo. Sam dwukrotnie uratował mi życie. Jest niezdyscyplinowany, niewychowany i uparty, ale też odważny i hojny jak mało kto. Nie mam już rodziny i chciałbym coś dla niego zrobić, może nawet go adoptować, jeśli mi na to pozwoli. Najpierw jednak muszę zdobyć jego zaufanie, a to okazuje się bardzo trudne. Myślałem, że może podczas tej wyprawy się uda.

Annabelle uśmiechnęła się miękko.

- Jak mogę ci pomóc?

- Pamiętasz moją pierwszą wizytę tutaj?

- Jak mogłabym zapomnieć - roześmiała się.

- Nigdy nie miałam bardziej entuzjastycznego ucznia. Chyba nie...

- Właśnie - powiedział Connor z pewną satysfakcją.

- Kto?

- Sama zdecyduj.

- Niech pomyślę - zastanowiła się. - Może Tiffany... Jest młoda, ma dobre serce. Będzie delikatna.

Annabelle popatrzyła na Connora.

- Nie przypadłam do gustu twemu młodemu przyjacielowi - zauważyła. - Może nie jest jeszcze gotowy.

- Darzę twoją firmę pełnym zaufaniem - odparł zamykając temat. - A teraz, co masz dla Fran-  
na?

Annabelle podeszła do sejfów i wyjęła kilka kartek.

- Zapisałyśmy wszystko, co wydawało się ważne.

- Annabelle - dodał Connor - Sam i ja potrzebujemy nowych ubrań.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - odparła z błyskiem w oczach.

Connor roześmiał się. Annabelle aż za dobrze знаła jego upodobanie do eleganckich strojów.

- Czy mogłabyś posłać po nie kogoś... nie rzucającego się w oczy?

- Załatwione - powiedziała.

- Potrzebna mi jeszcze strzelba... na prezent.

- Do rana się o wszystko postaram. Dokąd się teraz wybierasz?

- Muszę spotkać się z kilkoma osobami.

- Zaopiekujemy się twoim przyjacielem.

Annabelle odprowadziła Connora do drzwi, potem zeszła do salonu powitać pierwszych klientów. Wkrótce pozostawiła ich pod opieką pełniącej honory domu Mary Jo i udała się na górę.

Kazała służącej przygotować wodę na kąpiel i zanieść wannę do pokoju Connora. Następnie sama zapukała do drzwi. W odpowiedzi usłyszała stłumione:

- Kto tam?

- Annabelle. - Nastąpiła długa cisza, potem drzwi otworzyły się i zobaczyła patrzącego na nią z niepokojem chłopaka. Tym razem przyjrzała mu się dokładniej, zachodząc w głowę, jak takie chuchro mogło dwukrotnie uratować Connorowi życie. Niczym nie różnił się od dziesiątków bezdomnych chłopców szwendających się po każdym dużym mieście. Tylko te oczy. Jak mogła ich wcześniej nie zauważyć? Były olbrzymie i intensywnie niebieskie. Nigdy wcześniej takich nie widziała. Dojrzała w nich błysk inteligencji, który jednak szybko zniknął ustępując miejsca obojętności. Co ten chłopak ukrywa?

- Podobno to niegrzecznie gapić się na kogoś

- odezwał się zuchwale.

Annabelle zakaszłała starając się ukryć śmiech. Co za dziwak.



- Connor sądził, że może zechcesz się wykąpać - powiedziała cicho przepuszczając bokiem służące, które przyniosły wannę i olbrzymie wiadra parującej wody - Connor wróci dopiero za jakiś czas - zapewniła Annabelle. - Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Samantha popatrzyła na rudowłosą kobietę. Czy Connor ją kocha? Myśl o tym okazała się wyjątkowo bolesna.

Wizja wspaniałej, gorącej kąpieli przewyciężyła jednak wszystkie obiekcje.

- Dziękuję pani - powiedziała wolno, zapominając o prostackim akcencie.

Nie zauważyła uniesionych brwi Annabelle, której uśmiech stracił naturalność, gdy zorientowała się, że nie wszystko było tu tak jak się wydawało. Czy to możliwe, by Connor dał się złapać w pułapkę?

Samantha wylegiwała się w ciepłej wodzie z tak wielką błogością, że nie usłyszała, jak otworzyły się drzwi.

- Przyniosłam ci ręczniki - powiedziała Annabelle wchodząc do pokoju. Nagle stanęła jak wryta.

Wśród plusku wzburzonej nagle wody przerażona młoda dziewczyna chciała sięgnąć po jakieś okrycie, ale niczego nie znalazła. Z zamierzającym sercem patrzyła na Annabelle.

- Connor zwykle nie popełnia takich pomyłek - powiedziała wreszcie starsza z kobiet trzęsąc się ze śmiechu. Bała się, że Sam może być zdrajcą, a on ukrywał jedynie swą prawdziwą płęć.

Annabelle odwróciła się i zamknęła drzwi na klucz.

Samantha usiadła z powrotem w wannie zakrywając ramionami piersi. Na jej twarzy malował się wstyd i niepokój.

Annabelle przestała się śmiać i spojrzała na Samanthę ciepłym, pełnym zainteresowania wzrokiem.

- Nie bój się... Nie zrobię ci nic złego. Chcę się tylko upewnić, że nie zdradzisz Connora.

- Zdradzić Connora? - W głosie dziewczyny

słysząc było takie zdziwienie, że Annabelle wiedziała, że jej obawy były nieuzasadnione.

Z uwagą zaczęła przyglądać się swemu gościowi. Zawsze bezbłędnie potrafiła rozpoznać piękną kobietę, nawet gdy nie wyglądała w danym momencie najlepiej. Jak mogła się nie zorientować, a co więcej, jak to możliwe, że Connor dał się nabrać? „Sam Taylor” miał wszelkie zadatki na piękną kobietę.

- Wstań - zarządziła Annabelle i Samantha posłuchała. Pomimo niepokoju i wstydu stała z godnością. Brawo, pomyślała Annabelle. Dziewczyna ma charakter. Connor nie mylił się co do jej odwagi.

Jest zbyt chuda, ale gdy się wypełni, będzie miała doskonałą figurę. Tylko skóra jest dziwna, częściowo kremowa, częściowo pokryta ciemnymi plamami. Wzrok Annabelle skierował się na ciemną twarz. Pytająco uniosła brwi.

- Farba?

Dziewczyna skinęła głową z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Wystarczyło mi tylko na twarz. Nie spodziewałam się, że ktoś to zauważy.

Wzrokiem eksperta Annabelle przyjrzała się włosom. Były matowobrazowe i nie pasowały do dziewczyny. Podała jej ręcznik zwracając uwagę na pełne wdzięku ruchy Sam.

- A włosy? Też są ufarbowane?

Samantha zachichotała. Była trochę zdenerwowana, ale z drugiej strony dostrzegała śmieszność sytuacji. Oto ona, porządna niegdyś Saman-

tha Chatham, stoi naga w burdelu i odpowiada na pytania właścicielki. Przeczucia jej nie myliły.

Spojrzała na Annabelle i kiwnąwszy głową odparła:

- Mam bardzo ciemne włosy.

- Może mi powiesz, po co ta cała maskarada?

- Nie miałam dokąd pójść - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Umiem jeździć konno i strzelać. Chciałam wstąpić do oddziału pułkownika Mariona, ale wiedziałam, że nie przyjmą kobiety.

Podjeżenia Annabelle zmieniły się w podziw. Dziewczyna ma odwagę. Potem nagle uświadomiła sobie, że mowa Sama jest miękka i kulturalna, zupełnie niepodobna do jego pierwszych słów.

- Kim jesteś? - wszelka łagodność zniknęła z jej głosu.

- Naprawdę nazywam się Sam... - odpowiedziała wolno dziewczyna.

Annabelle posadziła ją na łóżku, a sama siadła na krześle naprzeciw.

- Masz mi o wszystkim opowiedzieć.

Samantha z desperacją patrzyła na Annabelle. Nie miała innego wyjścia. Jeśli nie powie jej o wszystkim, kobieta zdradzi jej tajemnicę Connorowi. Jest jego przyjaciółką, a może nawet kochanką.

- Kochasz go, prawda? - odezwała się niespodziewanie Annabelle przypomniawszy sobie wcześniejszą wrogość Sama.

Samantha ze łzami w oczach kiwnęła głową.

- Dlaczego więc mu nie powiesz, kim jesteś?  
- Bo mój ojciec jest torysem... Connor kazałby mi odejść, a tego bym nie zniosła.

- Dla Connora to nie miałyby znaczenia...  
Dziewczyna robiła wrażenie tak nieszczęśliwej, że Annabelle pogłaskała ją po ramieniu.

Wyczuwając jej współczucie Samantha wyrzuciła z siebie całą prawdę. Jej ciężar stał się zbyt przytłaczający.

- Mój ojciec to Robert Chatham.

Annabelle opuściła rękę, a jej twarz zbladła jak ściana.

- O mój Boże - zawołała. Connor nie ukrywał swej nienawiści do Chathamów. Nieraz słyszała, jak przeklina Roberta Chathama i jego córkę Samanthę. Sam.

Przerażenie Annabelle dowodziło, że wie ona o wszystkim. Dotknęło ją to do żywego; sama nie wiedziała, dlaczego zwierzyła się kobiecie, która pewnie jest kochanką Connora.

Annabelle też zastanawiała się nad swoim udziałem w tej, jak się obecnie wydawało, tragedii. Kochała Connora, ale wiedziała, że jest to miłość, która nigdy nie będzie odwzajemniona. Connor należał do mężczyzn, którzy kochają tylko raz; wcześniej wydawało jej się, że ta dziewczyna jest stworzona dla niego. Ale teraz...

- Powie mu pani? - głos Samanthy brzmiał cicho, prosząco.

- Niedługo sam się zorientuje - odparła Annabelle. - Connor nie jest głupi. Przeważnie potrafi odróżnić kobietę od mężczyzny. I co wtedy?

- Może do tego czasu dowiodę swej wartości - powiedziała cicho.

- Z tego, co wiem - odrzekła Annabelle z uśmiechem - już dawno to zrobiłaś. Ale co będzie, gdy się dowie, kim naprawdę jesteś?

- Próbowałam trzymać się od niego z daleka, naprawdę próbowałam. Ale nie potrafię tego zrobić. Może... może tak bardzo mnie pokocha, że nie będzie to miało znaczenia.

Twarz Annabelle wyrażała powątpiewanie. Connor był równie prostolinijny i uparty jak wszyscy mężczyźni. Był delikatny, tolerancyjny i zwykle życzliwy, ale biada temu, kto zdradził jego lub tych, których kochał.

Pragnęła poznać bliżej Samanthę Chatham. Według słów Connora była zepsutą egoistką, córką największego wroga, która spowodowała śmierć jego ukochanego brata. Opis ten zupełnie nie pasował do Sama, chłopca, który - również według Connora - dwukrotnie uratował mu życie i był „odważny i hojny jak mały kto”.

- Opowiedz mi o wszystkim - poprosiła Samanthę. - Opowiedz mi o Brendanie... O tym, jak znalazłaś Connora i co robiłaś u Mariona.

Samantha opowiadała przez blisko godzinę. Opisała wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy. Mówiła też o tym, jaka czuła się zagubiona, gdy zorientowała się, że jej miłość do Connora nie ma szans na wzajemność.

Gdy skończyła, Annabelle milczała. Po raz pierwszy w życiu brakowało jej słów. W końcu pochyliła się i wzięła Samanthę w ramiona.

- Gdybym miała córkę - powiedziała miękko - chciałabym, żeby była podobna do ciebie.

Mokra od łez twarz Samantha wyrażała niewiarę.

- Nie powie mu pani?

- Nie powiem, ale zrozum, że on się zorientuje. A od tego, w jaki sposób się dowie, zależy wasza przyszłość.

- Dlaczego pani to robi?

Po raz pierwszy od wielu lat oczy Annabelle wypełniły się łzami.

- Bo też go kocham, a ty uratowałaś mu życie. I to nie raz, ale dwukrotnie. Bo uważam, że jesteś w stanie dać mu coś, czego ja nie mam i nigdy nie miałam. Jest moim przyjacielem i chcę, żeby był szczęśliwy.

Samantha wyciągnęła rękę i przykryła nią dłoń Annabelle.

- Ma szczęście, że zna kogoś takiego jak pani.

Obie kobiety popatrzyły na siebie, czując, że pomimo różnic połączy je przyjaźń długa i prawdziwa.

- Chodź - rzekła nagle Annabelle. - Musisz się ubrać i wyjść stąd, nim Connor wróci. Planowałam, że prześpicie się tu razem, ale teraz trzeba wymyślić coś innego. Trochę u nas trudno o wolne łóżko. - Mimowolnie uśmiechnęła się i zachwycona zauważyła, że Samantha też się śmieje. Ta dziewczyna to rzadki okaz, pomyślała znowu.

- W takim razie gdzie mam spać? - zapytała Samantha.

Annabelle roześmiała się w głos.

- Connor chciał, aby jedna z moich dziewcząt zapoznała cię z urokami płci przeciwnej. Powiem mu, że przyjęłaś propozycję. Będiesz spać w moim pokoju. Ja i tak będę zajęta na dole.

- Ale co mu powiem rano?

- Wierzę, Samantha, że coś wymyślisz - odparła Annabelle z cichym śmiechem.

Samantha wtuliła się w olbrzymie puchowe łóżko rozkoszując się dotykiem aksamitnej pościeli.

Miała za sobą niezwykły dzień. Poranek był cudowny, najwspanialszy od czasu śmierci Brendana. Przypomniała sobie rozleniwiony głos Connora i jego spokojny uśmiech, gdy opowiadał jej o bagnach. Stał się jej przez to jeszcze droższy. Na myśl o tym, że śpi po drugiej stronie korytarza, ogarnęła ją niewytłumaczalna tęsknota. Annabelle mądrze postąpiła rozdzielając ich.

Samantha uśmiechnęła się na myśl o Annabelle. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że nie tylko polubi i będzie podziwiać kobietę tej profesji, ale że na dodatek znajdzie się w jej łóżku.

Gdy Annabelle ją tu przyprowadziła, Samantha oniemiała z zachwytu. Pokój był uosobieniem piękna i dobrego smaku.

- To moje prywatne mieszkanie - powiedziała Annabelle. - Nie musisz się obawiać, że ktoś tu przyjdzie. Nikt, nawet Connor, nie przychodzi tu bez speq'alnego zaproszenia - w jej głosie dał się słyszeć cień smutku, który jednak szybko znikł.



- Czuć się tu jak u siebie w domu. Do rana nikt nie będzie ci przeszkadzał.

- Dziękuję - powiedziała cicho Samantha.  
Annabelle skinęła głową i wyszła.

Numer Drugi pękał w szwach. Jedno pomieszczenie przeznaczone było na salon gry, w innym, dużym salonie, podawano drinki i smakołyki. Goście rozmawiali i wybierali sobie towarzystwo na wieczór. Dom Annabelle stanowił prawdopodobnie najbardziej neutralny grunt w Georgetown. Nie zadawano tu żadnych pytań, a rozmowy o polityce były zabronione.

Oficerowie angielscy i torysi, którzy odwiedzali Numer Drugi, bardzo uważali, by nie urazić Annabelle. Jej lokal stanowił jedyne miejsce w mieście, gdzie można było się odprężyć i zapomnieć o kłopotach i wrogości mieszkańców Georgetown.

Dlatego też Annabelle nie martwiła się o swoich niezwykłych gości. Ze spokojem witała starych klientów i wnikliwie przyglądała się nowym. Ze śmiechem odrzucała niedwuznaczne propozycje oferując w zamian którąś z dziewcząt. Wieczór był stosunkowo spokojny, mogła więc się zastanowić nad sprawą Connora i Samantha Chatham.

Sama nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się milczeć. Takie postępowanie mogło z łatwością zniszczyć przyjaźń łączącą ją z Connorem.

Jednym z powodów była sama Samantha. Ta dziewczyna stanowiła zadziwiające połączenie

delikatności i wytrzymałości, odwagi i łagodności. Annabelle nie mogła jej nie podziwiać. Gdyby tylko Connor zechciał zobaczyć ją taką, jaką była naprawdę.

Pogrążona w myślach Annabelle nie zauważyła zamieszania przy wejściu i wysokiej, ubranej na zielono, postaci.

Mary Jo podeszła do niej szybkim krokiem.

- Jest tu pułkownik Tarleton. Chce się z tobą zobaczyć.

Tarleton kilkakrotnie odwiedzał Numer Drugi, za każdym razem prosząc o jej względy. Odma-  
wiała mu odsyłając go do Darlene - najładniejszej i najinteligentniejszej z dziewcząt. Za każdym razem zdobywała cenne informacje.

„Krwawy Tarleton” był brytyjskim kawalerzystą oddelegowanym do walki z Marionem. Zdobył swój przydomek po tym, jak jego ludzie zakłuli bagnietami stu trzynastu Amerykanów, którzy wywiesili białą flagę. Był chyba najbardziej znienawidzonym ze wszystkich Brytyjczyków.

Pułkownik Banastre Tarleton wkroczył do salonu. Nieskazitelną zieloną mundur okrywał wysoką, dobrze zbudowaną sylwetkę, a rude włosy były schludnie uczesane i nie upudrowane.

Skłonił się przed Annabelle, która starała się ukryć swą niechęć.

- Annabelle - powiedział na powitanie.

- Piękna jak zawsze. I jak zawsze chłodna - dodał kwaśno.

- Jestem po prostu dziś trochę zmęczona, pułkowniku - powiedziała lekkim tonem. - Co

sprowadza pana do Georgetown? Myślałam, że stacjonuje pan przy Monck's Corners.

Uśmiechnął się czarująco.

- Wygląda na to, że Marion na jakiś czas wycofał się na bagna... a ja potrzebuję trochę odpocząć od polowania na tego przekłętego lisa.

- Nadal panu umyka, pułkowniku Tarleton? Jestem zdziwiona. - Annabelle starała się ukryć złośliwą satysfakcję.

- Dostaniemy go - powiedział Tarleton z błyskiem w oczach. - Z największą przyjemnością będę patrzył, jak zawiśnie na szubienicy razem z Peterem Horrym i Connorem O'Neillem.

- O'Neill? - zapytała Annabelle z zainteresowaniem. - Myślałam, że jest w więzieniu.

- Był - odpowiedział krótko Tarleton. Nie chciał rozwodzić się nad swymi niepowodzeniami, ale z drugiej strony imponowało mu nietypowe zainteresowanie Annabelle. - Uciekł kilka miesięcy temu i teraz jest oficerem u Mariona. Wyznaczyliśmy dużą nagrodę za jego schwytanie, ale wątpię, by odważył się ruszyć gdzieś w pojedynkę. Złapiemy ich wszystkich razem.

- Myśli pan, że to wkrótce nastąpi?

- Wcześniej niż się wszystkim wydaje... Mammy kilka sposobów w zanadrzu - dodał.

- Wyobrażam sobie - odparła lekkim tonem patrząc na niego z udanym podziwem. - Kogo pan dziś wybierze, pułkowniku?

Tarleton pochylił się i dotknął jej twarzy.

- Najpiękniejszą ze wszystkich - powiedział z uśmiechem.

- Przykro mi - odparła. - Niezbyt dobrze się dziś czuję, a poza tym, jak pan wie, nie pozwalam sobie już na takie przyjemności - przywołała Mary Jo. - Czy Darlene jest wolna?

Mary Jo skinęła głową.

Annabelle spojrzała na Tarletona czekając na jego zgodę. Popatrzył na nią tęsknym wzrokiem.

- Skoro nie mogę dostać brylantu, zadowolę się perłą.

- Jak długo planuje pan z nami pozostać?

- O świcie wyruszam na północ - odpowiedział z żalem.

- Proszę nas znów odwiedzić, pułkowniku. Jest pan tu zawsze mile widziany.

W pokoju na górze Samantha nie mogła zasnąć. Po tylu nocach spędzonych na twardej ziemi jej ciało nie potrafiło przyjąć takich wygód. Od kilku godzin przewracała się z boku na bok z niepokojem myśląc o nadchodzącym dniu. W końcu z cichym jękiem opuściła miękkie łóżko i ułożyła się na podłodze. Po kilku chwilach spała jak zabita.

Annabelle niespokojnie kręciła się po domu. Wiedziała, że Connor wrócił na długo przed przybyciem Tarletona i że jak zwykle będzie chciał wcześniej ruszyć w drogę.

Wzięła nową odzież i poszła na górę. Zapukała do jego drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast.

Annabelle wśliznęła się do środka.

- Tarleton jest na dole.
- W ładnym się obracasz towarzystwie.
- Owszem - odparła niemalże ze śmiechem.
- Chciałam cię ostrzec. Opóźnij swój odjazd do czasu, aż sobie pójdzie.

- Co z Samem?

- Jest bezpieczny... z Tiffany. Niech żaden z was nie opuszcza pokoju, dopóki wam na to nie pozwolę.

- Dobrze, proszę pani - odparł Connor z niezwykłym posłuszeństwem. Wiedział, jakie ryzyko ponosi Annabelle.

Connor miał na sobie tylko spodnie i Annabelle pomyślała, że nigdy nie widziała równie doskonałego mężczyzny. W ciągu trzech miesięcy, jakie minęły od ucieczki z więzienia, prawie odzyskał dawną formę.

- Dobrze wyglądasz. Najwyraźniej Brytyjczycy nie zrobili ci wielkiej krzywdy.

Jego twarz nagle stężała, usta zacisnęły się, a oczy nabrały wyrazu, którego nigdy przedtem u niego nie widziała.

- Zostawili swój ślad. To było piekło na ziemi.

- Tak mi przykro - powiedziała żałując swej wcześniejszej uwagi.

Connor próbował się odprężyć, ale wciąż był napięty jak struna.

- Może kiedy... kiedy spłacę pewne długi... zabiję Chathama... może wtedy zaznam spokoju.

Annabelle spojrzała na niego jakby z litością.

- Taka mściwość nie pasuje do ciebie. A co z Samem?

- Z Samem? A co on ma z tym wspólnego?  
- Potrzebuje ciebie - odparła miękko Annabelle. - Też wiele wycierpiał; nie mniej niż ty.

Connor zachmurzył się.

- Co o nim wiesz? Bardzo mało o sobie mówi.  
Wiedząc, że powiedziała zbyt wiele, Annabelle wycofała się.

- Widzę to w jego oczach. I ty też mógłbyś, gdybyś nie był tak zaślepiiony chęcią zemsty.

Connor milczał, zastanawiając się, ile prawdy jest w jej słowach. Uśmiechnął się kwaśno.

- Ty też?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wygląda na to, że zaprzyjaźnił się ze wszystkimi poza mną. Fran, Billy, a teraz ty.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że musi być jakiś powód? - odpowiedziała zagadkowo.

- Może wyczuwa twoją agresywność i nie ufa ci.

- Do licha, Annabelle - powiedział z czułością.

- Czy zawsze musisz być tak irytująco racjonalna?

Roześmiała się i kilka minut później wyszła.

Samantha szybko włożyła świeżą odzież z wdzięcznością spoglądając na nową przyjaciółkę. Ubranie było idealne. Obszerne, nie krępujące ruchów. I czyste, cudownie czyste.

- Teraz jedz - zarządziła Annabelle.

- A Connor?

- Je u siebie w pokoju. Powiedziałam mu, że jeszcze śpisz.

Samanthy nie trzeba było namawiać. Umierała z głodu, a Annabelle postawiła przed nią talerz

pełen jajek, szynki i gorącego chleba z masłem i miodem.

Gdy jadła, Annabelle mówiła.

- Powiedziałam Connorowi, że noc spędziłaś z Tiffany. Tiffany natomiast powiedziałam, że byłaś zbyt nieśmiała, ale nie chcesz, by Connor się dowiedział. Poradziłam też Connorowi, by na ten temat z tobą nie rozmawiał.

Samantha roześmiała się.

- O wszystkim pomyślałaś.

Annabelle nie odwzajemniła jej uśmiechu. Gdy znów się odezwała, jej głos brzmiał surowo.

- Zastanów się nad tym, co robisz, Sam - powiedziała. - Możesz zniszczyć nie tylko swoje życie. Connor nienawidzi kłamstwa. Powiedz mu o wszystkim jak najprędzej, zanim sam odgadnie.

- Ale ty mu nie powiedziałaś.

- Nie powiedziałam. I mogę jeszcze tego żałować. Chcę dać ci szansę... ale biada nam obu, jeśli się dowie i nie zrozumie - jej głos przybrał nagle rzeczowy ton.

- Czeka na ciebie. A propos, miałam wczoraj gościa... pułkownika Tarletona.

Samantha zbladła.

- Nie martw się. Odjechał kilka godzin temu, ale bądźcie szczególnie ostrożni. Chyba wyjechał z miasta, lecz z pewnością jest gdzieś w pobliżu i coś planuje.

Samantha ucałowała gładki policzek Annabelle.

- Dziękuję za wszystko...

- Mam nadzieję, że postąpiłam właściwie - rzuciła Annabelle na pożegnanie.



Był to jeden z tych rzadkich grudniowych dni, jakie zdarzają się czasem na Południu. Na szafirowym niebie świeciło jasne słońce. Jak na tydzień przed Bożym Narodzeniem było ciepło; jedynie chłodny wiatr zapowiadał bliskość zimy.

Samantha i Connor wyjechali z miasta oddzielnie i spotkali się w lesie. Od ponad godziny podróżowali w milczeniu.

- Annabelle jest bardzo piękna - odezwała się wreszcie Samantha głosem tak cichym, że Connor prawie jej nie usłyszał.

Odwrócił się zdziwiony. Były to pierwsze słowa, jakie Sam wypowiedział przez cały ranek. Wiele to Connora kosztowało, ale postanowił pójść za radą Annabelle i nie narzucać się chłopcu.

- Owszem, bardzo piękna - zgodził się.

- I miła - dodała Samantha bardzo pragnąc, by Connor powiedział coś więcej.

- Tak - odparł Connor krótko.

Samantha sfrustrowana przygryzła wargę. Chciała dowiedzieć się więcej o dziwnym związku łączącym Connora i Annabelle, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

- Długo ją znacie? - spróbowała jeszcze raz.



- Dość długo - odparł Connor wymijająco. Jego wargi drgnęły z rozbawieniem.

Przez następnych kilka minut jechali w milczeniu. Samantha nie chciała zdradzać swego zainteresowania, ale z drugiej strony musiała wiedzieć.

- Pewno wielu mężczyzn ją lubi.

Tym razem Connor nie mógł powstrzymać uśmiechu. To był zupełnie nowy Sam. Może wczorajsza noc okazała się jednak dobrym pomysłem.

- Myślałem, że jej nie aprobujesz.

- Nic takiego nie mówiłem - warknęła. - Powiedziałem tylko, że jest ładna.

- I miła - prowokował ją Connor. W odpowiedzi usłyszał wypowiedziane cicho przekleństwo.

Samantha chwilowo się poddała. Podejrzewała, że Connor z premedytacją drażni się z nią. Zastanawiała się, jak zmienić tę sytuację.

Aż do południa jechali w milczeniu. Potem zatrzymali się na niewielkiej polance nie opodal szlaku. Nakarmili konie i przystąpili do przygotowania posiłku.

Z przyjemnością spożyli specjały zapakowane przez Annabelle. Potem Connor wyciągnął się pod drzewem. Mimo prostego stroju farmera jego sylwetka prezentowała się wyjątkowo atrakcyjnie. Samantha miała wielką ochotę pochylić się i dotknąć go. Tęsknota, którą odczuła ubiegłej nocy, stała się jeszcze bardziej intensywna. Samancie wydawało się, że płonie; wyobrażała sobie dotyk ust Connora i jego ciało przyciśnięte do jej własnego.

- Sam...? - spokojny głos Connora sprowadził ją na ziemię.

Opanowała się i spojrzała na niego obojętnie.

- Jeżeli będziesz kiedyś w potrzebie, jeśli coś mi się stanie, idź do Annabelle. Ona ci pomoże.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytała.

- Wielu ludzi nazywa siebie przyjaciółmi, Sam, ale niewielu zna prawdziwe znaczenie tego słowa. Przyjaciół to ktoś, kto gotów jest umrzeć za ciebie, a ty za niego, ktoś, komu możesz całkowicie zaufać bez względu na wszystko. Niektórym ludziom udaje się czasem znaleźć kogoś takiego. Ja miałem więcej szczęścia od innych, bo znalazłem aż dwoje przyjaciół. Annabelle i Francis. Annabelle pomoże ci, bo to tak samo, jakby pomagała mnie. Poza tym - dodał - bardzo jej przypadłeś do gustu.

Zastanawiając się nad słowami Connora Samantha poczuła się, jakby ktoś położył jej na sercu wielki kamień. Oczywiście było, że przyjaźń, honor i uczciwość stanowiły nieodłączną część jego osobowości. Annabelle podjęła dla niej wielkie ryzyko i Samantha nadał nie rozumiała dlaczego.

- Kochacie ją?

Connor zachmurzył się.

- W pewnym sensie - odparł wolno. - Może nie w taki sposób, o jaki ci chodzi, ale istnieje wiele różnych rodzajów miłości. Ufam jej, a nie o każdym mogę to powiedzieć.

- Sypiacie z nią? - Samantha sama była zaskoczona niedelikatnością swego pytania.

Jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy Connor parsknął głośnym śmiechem.

- Dżentelmen nie zadaje takich pytań.

- Nie jestem dżentelmenem.

Connor zaczął udawać, że kaszle. Trząsał się ze śmiechu, ale nie chciał urazić Sama. Wreszcie się opanował i powiedział łagodnie:

- Zeszłej nocy dowiedziałeś się pewnie czegoś o miłości... przynajmniej o jej fizycznej stronie. Powinieneś dowiedzieć się jeszcze czegoś. Nigdy nie należy mieszać jej z interesami lub przyjaźnią. To śmiertelna kombinacja.

- To znaczy, że nie można sypiać z kimś i być jego przyjacielem?

Connor zaczął czuć się niezręcznie.

- Powiedzmy, że zdarza się to rzadko.

- Ale Annabelle...

- Dość już o Annabelle - odparł Connor przyglądając się Samowi z uwagą. - Zapamiętaj tylko, że w razie potrzeby pomoże ci.

Connor był zaskoczony nagłym wyrazem głębokiego smutku w oczach chłopca. Samantha natomiast myślała o pożegnalnych słowach Annabelle: „Connor nienawidzi kłamstwa”. Czy przez nią miała się skończyć przyjaźń Connora i Annabelle? Jedno kłamstwo prowadziło do drugiego. Coraz bardziej się w nich pograżała.

Jej wyraźne przygnębienie zastanawiało Connora. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Pewnie tęsknisz za ojcem - odezwał się.

- Rozumiem cię. Ja straciłem ojca i brata. Przypominasz mi go...

Nim się zorientował, Samantha zerwała się na równe nogi i pognała przed siebie. Wielka przygoda zaczęła szybko przeistaczać się w koszmar.

Usłyszała za sobą kroki i przyśpieszyła niczym przestraszona łania. Kroki Connora zbliżały się. Desperacja dodawała jej skrzydeł. Upadając poczuła podtrzymujące ją ramiona. Connor złapał ją mocno i odwrócił do siebie.

- Co u licha?

Ku jego całkowitemu zaskoczeniu Sam płakał, jakby mu pękło serce. Jego płacz nie był wcale płaczem chłopca.

Uścisk Connora zelżał. Czując pod grubą odzieżą szczupłe kobiece ciało pozwolił Samowi zsunąć się na ziemię. Zaklął pod nosem.

Samantha wiedziała, że się zdradziła i świadomość tego wywołała nową falę łez. Nienawidziła siebie za okazaną słabość, nie potrafiła się jednak opanować.

Connor patrzył na nią bezradnie. Czuł oszołomienie, ciekawość, litość, gniew; wszystkie te uczucia zastąpiło w końcu współczucie. Wyciągnął rękę pragnąc ją pocieszyć, zrozumieć, co się stało. Ujął dłonią jej podbródek i odwrócił ku sobie.

- Uspokój się, maleńka — powiedział cicho.

- Nie jest aż tak źle.

Spojrzał w jej błyszczące od łez ciemnoniebieskie oczy i drgnął na widok malującej się w nich rozpacz.

- Czy chodzi o to, co powiedziałem o twoim ojcu? - zapytał domyślając się powodu jej nagłej

ucieczki. Zobaczył, że stara się zapanować nad sobą wyzywająco unosząc w górę podbródek. Connor odczuł ogarniający go podziw.

Dziewczyna, na miłość boską. Drobna dziewczyna. Nabrała ich wszystkich. Przypatrzył jej się bliżej zauważając delikatne rysy. Wezbrała w nim czułość. Łzy podkreślały tylko siłę, jaką okazała w ciągu minionych miesięcy. Pamiętał dobrze jej upór i pełne samozaparcia zachowanie.

- Co cię tak dręczy? - Jego głos brzmiał współczująco, łagodnie i wywołał nową falę łez. Nagle znalazła się w jego ramionach, a on gładził jej włosy szepcząc słowa pocieszenia. Ukryła twarz w jego piersi pragnąc jego bliskości i obawiając się jej zarazem.

Odchylił jej głowę, by zjrzeć w oczy. Niemalże z desperacją sięgnęła do jego ust. Gdy ich wargi spotkały się, Connor poczuł, jak drży i obudziło to w nim pożądanie, jakiego się nie spodziewał. Była w niej słodycz i tęsknota, która bardziej go podniecała niż cokolwiek innego. Przygarnął ją mocniej do siebie... i zapomnieli o całym świecie.

Usta Connora przesuwwały się lekko po krótkich włosach Samantha, całowały oczy, czuły smak łez nadal spływających po jej policzkach. Jego dłonie delikatnie gładziły ciało dziewczyny odnajdując ukryte kragłości. Natrafiwszy na krępującą piersi przepaskę, rozwiązał ją. Pod szorstkim bawełnianym ubraniem nagle ukazały się kobiece kształty.

Wewnętrzny głos nakazywał mu przestać. In-

stynktownie wyczuwał, że jest niedoświadczona. Czuł też, że jej pragnienie dorównuje jego własnemu, a dłonie i oczy prosiły go tak, że aż cały płonał.

- Proszę - szepnęła i to jedno słowo pokonało wszelki opór.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na lekki chłód grudniowego dnia. Connor powoli rozbiierał ją zafascynowany widokiem kształtnych piersi, które napinały się w jego dłoniach. Całe ciało Samantha wygięło się ku niemu. Connor rozłożył na ziemi swój płaszcz i z czułością ułożył na nim dziewczynę. Ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku, czekając na jakiś odruch wahania czy oporu. Zamiast tego jej dłonie sięgnęły ku jego odzieży, usuwając ostatnią dzielącą ich barierę.

Palce Samantha zagubiły się w kosmykach złocistych włosów na piersi Connora. A on tymczasem gładził jej policzek i piersi, budząc w niej zmysły, których dotąd była nieświadoma. Jego dłonie powędrowały niżej i poczuł, jak zadrżała z pożądania... Czekał dalej, aż znalazła się na krawędzi szaleństwa... i dopiero wtedy delikatnie zagłębił się w niej.

Przez chwilę czuł opór i usłyszał cichy okrzyk Samantha. Kiedy jednak się zawahał, ona uniosła swe ciało wychodząc mu naprzeciw. Niewielkie zrazu wybuchy ekstazy następowały po sobie jak wzbierające fale na wzburzonym morzu. Nasilały się coraz bardziej. Rytmiczne ruchy Connora rozpałały ogień w każdym zakątku jej ciała. Samantha czuła, że unosi się i opada w jakimś zacza-

rowanym świecie, którego nigdy sobie nie wyobrażała.

Potem leżał wniebowzięty w jej wnętrzu, chłonąc euforyczną wręcz błogość. Dotknął dłonią jej policzka w podziękowaniu za dar, który otrzymał i uśmiechnął się oszołomiony. Czuł, że drży, więc wolno wycofał się i ułożył obok niej.

Przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. Był zafascynowany gamą uczuć malujących się na jej twarzy. Nigdy nie przypuszczał, że dziewczica może mieć tak niewiele obaw, a jednocześnie tyle uczucia i namiętności.

- Connor - odezwała się, a on był zachwycony brzmieniem swego imienia w jej ustach. Miękki głos dziewczyny był niczym muzyka.

Jeleń, który zawędrował w pobliże polanki, wystraszył się ludzkiego głosu. Tętent uderzających kopyt zburzył ciszę i nastrój prysł. Connor spojrzał na Samanthę z nagłym przerażeniem. Boże, co ja u licha wyrabiam? Nigdy przedtem do tego stopnia nie stracił panowania nad sobą. Ukrył twarz w dłoniach nienawidząc samego siebie.

- Connor? - Jej głos był cichy i zatroskany.

- Tak mi przykro, o Boże, tak mi przykro - był zdruzgotany.

- Nie - zawołała. - Przestań... pragnęłam cię...

Spojrzał na nią jak na kogoś obcego, jakby jej nienawidził. Tym razem zauważył dziwne barwy jej ciała, ciemną twarz i kremową biel ramion. Czuł coraz większy wstręt do siebie.

- Byłaś pod moją opieką - powiedział powoli, z bólem. - Nadużyłem twego zaufania - popatrzył *na nią ponurym wzrokiem*. - *Ubierz się*, Sam - rzekł. - O ile tak się rzeczywiście nazywasz - dodał kwaśno.

Skinęła głową.

- Przynajmniej to jest prawdą.

Samantha odczuła jego gniew niczym fizyczne uderzenie. Nie zorientowała się, że był zły jedynie na siebie.

Wolno sięgnęła po swoje rzeczy, obserwując Connora, który gwałtownymi ruchami naciągał na siebie ubranie.

Zapinając ostatni guzik zauważyła, że Connor patrzy na leżący na ziemi płaszcz splamiony jej dziewiczą krwią. Gwałtownym ruchem kopnął go w krzaki, wiedząc, że nigdy nie zdobędzie się na to, by ponownie włożyć ubiór noszący piętno jego hańby. Raz jeszcze spojrzął na nią i złagodniał na widok jej bólu i zmieszania.

- Nie chodzi o ciebie, Sam... to moja wina. To nie powinno się było zdarzyć.

Złapał ją za rękę i skierował w stronę koni. Bez słowa spakował koc, na którym jedli posiłek, potem pomógł Samancie wsiąść na konia. Milcząc dosiadł swego kasztanka.

Samantha trzymała się w pewnej odległości. Obawiała się jego gniewu, przekonana, iż nienawidzi jej. Chwile spędzone w lesie były jednak tego warte i niczego nie żałowała.

Connor myślał jedynie o tym, że zawiódł jej zaufanie. Była jeszcze dzieckiem. Dzieckiem, które mu



zaufało, a on odebrał jej to, co powinna zachować dla męża. Nie miał pojęcia, ile ma lat. Na pewno jednak była zbyt młoda, na to co właśnie się stało. Niech to piekło pochłonie! Nigdy przedtem nie miał takiego poczucia winy.

Może mógłby zaproponować jej małżeństwo, ale w tej chwili nie miał domu, a jego przyszłość była pod znakiem zapytania. Musiał jeszcze coś zrobić. Zabić Chathama. Nie mógł się żenić, gdy zaprzysiężona zemsta zdominowała zupełnie jego myśli. Poza tym nic nie wiedział o tej dziewczynie. Myśli kłębiły się w jego głowie. Jedno nie ulegało wątpliwości: wyrządził jej wielką krzywdę... Nienawidził za to siebie i jej.

Podróżowali w milczeniu kilka godzin nim dotarli do Santee. Czuła zapach morza i domyśliła się, że są już blisko celu. Connor mówił jej wcześniej, że farma Brownów leży na wybrzeżu.

Ostrożnie zbliżyli się do niewielkiego gospodarstwa. Płot był w złym stanie, a pole prawie całkowicie zarośnięte. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta w średnim wieku. W rękach trzymała staromodny muszkiet.

Spojrzała na Connora, nie rozpoznając w nim brodatego, rannego mężczyzny sprzed czterech miesięcy.

Zsiadł z konia i podszedł do niej.

- Pani Brown - powiedział miękko - pamięta mnie pani?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Cztery miesiące temu - rzekł Connor - ryzykowała pani życie dla zbiegłego więźnia.

Ellie Brown przyjrzała mu się bliżej. Mężczyzna niewiele przypominał obdartusa, którego pamiętała. Tylko ten sposób zachowania i znajomy głos...

- A więc udało się panu... - ucieszyła się.  
- Miałam nadzieję, że tak będzie, ale...

- A Johnny? Jak mu się wiedzie?

- Dobrze - odparła. - Jest w lesie. Zastawia sidła - jej zniszczona twarz rozjaśniła się uśmiechem. - On nigdy nie wąpił. Cały czas o panu mówi.

Spojrzała na chłopaka, który nadal siedział na koniu.

- To jest Sam - wyjaśnił Connor.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

- Wejdźcie do środka. Johnny będzie niepokieszony, jeśli się z panem rozminie.

Samantha popatrzyła z ukosa na Connora, który jedynie skinieniem głowy wyraził zgodę. Serce jej pękało na widok dziwnie obojętnego wyrazu jego twarzy. Wolno zsiadła z konia i stała samotnie, patrząc jak Connor rozpakowuje kilka tobołków i zabiera nową strzelbę.

Z łagodniejszym już wyrazem twarzy podał kobiecie zawiniątko.

- Trochę soli - powiedział - i chininy. - Wiedziała, że jedno i drugie jest na wagę złota. - A to dla Johnny'ego - mówił dalej podając jej strzelbę.

- Mówił, że pan nie zapomni - odparła nieśmiało.

We wnętrzu biednej, lecz czystej chaty zostali poczęstowani winem jabłkowym.

- Nie zabawimy długo - powiedział Connor.  
- Wszędzie tu roi się od czerwonych kubraków.

- Często tu zaglądamy - potwierdziła Ellie Brown. - Wiedzą, że za nimi nie przepadam.

- Nie dowiedzieli się o mnie? - zaniepokoił się Connor.

- Nie - odparła. - Kręcili się tu, ale niczego nie znaleźli. - Zwróciła się w stronę Samantha.

- To pana chłopak?

Connor rzucił jej puste spojrzenie.

- Nie - odpowiedział. - Towarzyszy mi tylko w tej podróży. - Jego głos wyraźnie podkreślał, że następnych nie będzie.

Właśnie wtedy drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł chłopiec. Zobaczył konie i nie był pewien, czy matka nie potrzebuje pomocy. Uważnie przyjrzał się wysokiemu nieznanemu, po czym uspokoił się i uśmiechnął szczerze.

- Wiedziałem panie, że wróciacie.

- Tak - odpowiedział Connor z zadowoleniem. - Musiałem coś dostarczyć - wyjaśnił wskazując strzelbę na stole.

Johnny rzucił się do stołu i podekscytowany złapał strzelbę. Matka miała stary muszkiet, ale nie na wiele się przydawał.

Connor cierpliwie uczył chłopca zasad posługiwania się strzelbą. Zapewniał go, że jest to ten sam typ broni, który przyczynił się do zwycięstwa odniesionego przez patriotów pod Kings Mountain. Johnny wpatrywał się w mężczyznę z uwielbieniem.

- Musimy ruszać - zdecydował wreszcie Connor. - Mamy przed sobą daleką drogę.

Kobieta wstała niechętnie. Obecność gości wniosła do jej samotnej chaty trochę ożywienia. Johnny nigdy nie był tak szczęśliwy odkąd zabrano jego ojca. Skinęła głową dziękując za niespodziewane odwiedziny i prezenty. Zwłaszcza sól była niezwykle cenna. Teraz Johnny będzie mógł polować, a mięso da się zakonserwować.

- Dziękuję - powiedziała z wdzięcznością.

Connor złapał jej rękę.

- To ja dziękuję - odparł. - Niewiele osób zdecydowałoby się zaryzykować tak jak pani. Chciałem, żeby pani wiedziała, że nie poszło to na marne.

Obdarzyła go znów owym uśmiechem, który starł z jej twarzy ślad gorzkich lat.

- Niech Bóg was prowadzi - powiedziała i patrzyła, jak dwaj jeźdźcy znikają na drodze.

Powoli zapadał zmierzch. Connor wiedział, że jego zachowanie jest dziwne, nadal jednak nie odzywał się do dziewczyny. Próbowła raz coś powiedzieć, ale dał jej ostrą odprawę.

Nie wiedział, dlaczego ją tak karze, zwłaszcza że sam siebie tym dręczył. Gdyby tylko potrafił zapomnieć o jej miękkim ciele, o namiętności, jaką widział w jej oczach. Nie mógł pozbyć się tych obrazów. Wzmagało to jego gniew i osłabiało czujność.

Spodziewał się patrolu brytyjskiego na tej drodze. Był głupcem, decydując się na jakąkolwiek drogę. Myślał jednak tylko o szybkości. Znał opuszczoną chatę na bagnach i chciał do niej jak najprędzej dotrzeć. Może tam udałoby mu się uzyskać kilka odpowiedzi od Sama Taylora.

Droga nagle rozwidliła się i na wprost nich pojawiła się barykada strzeżona przez ubranych na czerwono piechurów oraz noszących zielone mundury dragonów Tarletona. Connor szybko przeanalizował sytuację i zauważywszy wśród torysów dwóch dawnych sąsiadów, którzy na pewno poznaliby go, w jednej chwili podjął decyzję.

- Udawaj, że straciłaś panowanie nad koniem

i zawróć w stronę lasu. Kiedy trochę odjadę, zawołaj mnie, wtedy zawrócę, żeby ci pomóc. Może zyskamy trochę na czasie.

Gwałtownym ruchem ściągnęła mocno wodze zawracając konia. Przestraszone nagłym bólem zwierzę spłoszyło się i ruszyło galopem w stronę lasu. Samantha udawała, że ledwo utrzymuje się w siodle i zawołała:

- Na pomoc!

Żołnierze przy barykadzie patrzyli na to z rozbawieniem do czasu, gdy jeden z torysów doszedł do wniosku, że cała scena jest wyreżyserowana.

- To ludzie Mariona! - krzyknął. Natychmiast posypały się strzały. Connor prawie już doganiał Samanthę, gdy jej koń potknął się, a ona w obawie, by padając nie przygniótł jej, rzuciła się na ziemię. Upadając wywinęła koziołka. Tymczasem Connor zawrócił i podał jej rękę. Złapała go prawą ręką i wskoczyła na konia za nim. Poczuł, jak ramię Samanthy objęło jego klatkę piersiową. Spiał konia do galopu i zniknęli w lesie.

Connor kierował konia w najgęstsze zarośla, nie zważając na kolczaste gałęzie, które darły odzież i kaleczyły ciało. Słyszał, jak odgłosy pogoni się oddalają. Znalazł niewielki strumyk i przez kilka mil podążali jego korytem nie zostawiając śladów.

Czuł otaczające go prawe ramię Samanthy i zastanowiło go, dlaczego nie korzysta z lewej ręki. Czuł jej twarz przyciśniętą do swoich pleców. Nie odezwała się ani słowem, ale wiedział, że musi być równie poturbowana jak on sam.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Jej głos był cichy i słaby.

Connora to nie uspokoiło. Zauważył przed sobą małą polankę i skierował tam konia. Ostrożnie odwrócił się w siodle, starając się nie potrącić Samanthy. Zobaczył jej białą twarz i zaciśnięte z bólu usta.

Spojrzał na lewe ramię dziewczyny, które wisiało pod dziwnym kątem. Ostrożnie zsunął się z siodła i złapał w tali Samanthę w talii pomógł jej zsiść. Patrzył na nią z podziwem i niepokojem. Musiała podczas jazdy przez zarośla przeżywać straszliwe katusze, a mimo to nie odezwała się ani słowem.

- Jesteś pewien, że tu jest bezpiecznie?

- Tak, malutka - odparł miękko. - Tu jesteśmy bezpieczni. - Potem z wymówką w głosie dodał: - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Ból znów wykrzywił jej twarz, ale uśmiechnęła się lekko mówiąc:

- Nie było okazji. Złamana ręka to korzystniejsze rozwiązanie niż skręcony kark.

Connor ukląkł przy niej i delikatnie zaczął badać złamana rękę. Potem spojrzał na nią z troską.

- Mamy przed sobą długą drogę... powinienem spróbować złożyć kość. Będzie bardzo bolało. - Wzrokiem prosił ją o zgodę.

Skinęła głową. Nie miała wyboru. W takim stanie nie mogła podróżować. Pełen aprobaty uśmiech Connora był niemalże wart tego bólu. Przyniósł jej resztkę wina, które zostało od rana, i pociągnęła kilka dużych łyków. Potem zemdlała.

Samantha była nieprzytomna. Korzystając z tego Connor umieścił jej ramię między dwoma kawałkami drewna i mocno związał paskami odartymi z koca. Potem siadł i przyglądał się jej smukłej postaci.

Była taka młoda i bezbronna. Oprócz złamanej ręki miała też mnóstwo drobniejszych ran i zadrapań, ubranie było podarte i brudne. Drobną twarz była ubrudzona ziemią, a długie czarne rzęsy zakrywały jej niezwykle oczy. Uśmiechnął się na myśl, że nigdy nie widział kogoś równie pięknego.

Mimowolnie zaczął gładzić dłonią policzek dziewczyny, usuwając zbłąkany liść z jej włosów. Nigdy nie przypuszczał, że kobieta może być tak odważna. Z czułością patrzył na nią, przypominając sobie jej namiętność i późniejszą wytrwałość.

Westchnął czując chłód w powietrzu. Zaczynał żałować, że pozbył się płaszcza. Mieli tylko jednego konia i dwa koce. Nie planował noclegu w lesie. Do opuszczonej chaty było około pięciu mil, ale Sam nie mogła podróżować w takim stanie.

Rozsiodłał i spętał konia. Potem owinął Samanthę jednym kocem i przykrył drugim. Usiadł pod drzewem i zaczął się zastanawiać.

Sam niewiele dzisiaj mówiła, ale kiedy szepnęła jego imię, w jej mowie nie było ani śladu prostackiego akcentu. Przypomniał sobie nagle jej późniejsze słowa: „Złamana ręka to korzystniejsze rozwiązanie niż skrecony kark”. Dziwne słowa jak na niewykształconą osobę ze wsi.



Ale dlaczego? To pytanie prześladowało go. Po co ta cała gra? Kim jest Sam Taylor? Jedynej rzeczy, której nie mógł kwestionować to jej lojalności. Dowiodła tego wielokrotnie, a zwłaszcza dzisiaj.

Connor nie lubił zagadek. Nie rozumiał, dlaczego dał się porwać uczuciom, o jakie siebie nie podejrzewał. Lubił kobiety i to nawet bardzo, ponadto cieszył się ich względami. Nigdy jednak żadnej nie kochał i zaczynał już myśleć, że to nie nastąpi. Przed wojną myślał o małżeństwie, którego wymagała jego pozycja społeczna, ale nie znalazł odpowiedniej kandydatki. Ciagle odkładał decyzję.

Niepohamowane, ślepe oddanie Sam było dla niego czymś nowym. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że podoba mu się w niej wszystko: dumna postawa, niezaprzeczalna odwaga, jej humor i niemalże irytująca kompetencja w każdej dziedzinie.

Ale kim, u licha, ona jest?

Usłyszał, że się poruszyła i zobaczył, że patrzy na niego. Wielkie oczy miały kolor ciemniejszego nad nimi nieba.

- Trzęsiesz się z zimna - powiedziała, znów myśląc tylko o nim.

Przewyciężając ból zażartowała:

- Dzięki humorom pozbyłeś się płaszcza, a teraz będziesz musiał szukać ciepła u mnie.

Potrząsnął głową.

- Nie chcę zadawać ci bólu.

- Zadasz mi o wiele większy ból marznąc pod tym drzewem - odparła. - Obiecuję, że cię nie

zaatakuję... choć - dodała z wymuszonym uśmiechem - gdyby nie ta przeklęta ręka, odczuwałabym wielką pokusę.

Zawahał się, ale gdy zobaczył, że zaczyna zdejmować z siebie jeden koc, położył się obok niej, uważając, by nie urazić złamanej ręki.

Obudził się nad ranem, przypominając sobie, gdzie się znajduje. Trzymał w ramionach Samanthę. Nie chciał się ruszać w obawie, żeby jej nie obudzić. Dlaczego ta sytuacja wydawała mu się tak naturalna, jakby już kiedyś to przeżył? Przed oczami stanęło mu mgliste wspomnienie innej nocy. Jaskinia. Kiedy był tak chory... niejasne wspomnienie ciepła... kobiety. A więc to była Sam. Uśmiechnął się do siebie i znów zasnął.

Wstali o wschodzie słońca czując dojmujący głód. Żadne z nich nic nie jadło od południa poprzedniego dnia. Nie było czasu na zastawianie sideł, nie mogli też ryzykować użycia broni. Pozostało im tylko ruszyć w drogę. Może uda się zatrzymać przy opuszczonej chacie i złowić kilka ryb.

Pomógł jej wsiąść na konia. Postanowił nie zadawać żadnych pytań. Musiała widocznie mieć powód, by postępować tak a nie inaczej. Sama mu powie, gdy będzie gotowa.

Samantha z kolei postanowiła wszystko mu wyznać. Nie mogła dłużej znieść niepewności, że Connor sam się dowie i nie zrozumie.

Connor jechał wolno, ostrożnie trzymając ją w ramionach. Widać było, że Samantha cierpi. Za

każdym razem, gdy czuł jak tężeje i słyszał mimowolne syknięcie, wzdragał się cierpiąc razem z nią. Uświadomił sobie, że nie dotrą do Snow Island i skierował się w stronę chaty. Fran będzie się niepokoił, lecz nie było na to rady. Dziewczyna nie może tak dłużej się męczyć.

Była lekka jak piórko. Przypomniał sobie, jak oddała mu swoje jedzenie. Zaczęło go znów dręczyć poczucie winy. Wziął niemalże bez zastanowienia wszystko, co mu ofiarowała, łącznie z jej dziewictwem, a co on dał jej w zamian? Wczoraj, kiedy potrzebowała jego czułości, potraktował ją okrutnie. Mimo to nie usłyszał ani słowa skargi czy wymówki. Otoczył ją mocniej ramionami, a ustami dotknął zmierzwiionych włosów. Nie mógł pojąć, skąd bierze się w nim tyle czułości. Niczego bardziej nie pragnął, tylko mieć tę dziewczynę blisko siebie i to na zawsze.

Dotarli do chaty tuż przed południem. Mimo protestów Connor wniósł Sam do środka i ostrożnie posadził na pryczy. Odsunął z jej oczu niesforny kędzior i uśmiechnął się na widok podejrzliwego spojrzenia Samantha.

- Nie gniewasz się już? - zapytała niepewnie. Nadal nie rozumiała zmiany jego nastroju.

- Nie na ciebie - odparł miękko. - Nigdy nie gniewałem się na ciebie. Byłem zły na siebie.

- A teraz...?

- Teraz też powinienem być zły. Jesteś jeszcze dzieckiem.

- Mam dziewiętnaście lat.

- Dziewiętnaście? Nie wyglądasz na więcej niż czternaście.

- Wiem - odparła z satysfakcją. - Tak to zaplanowałam.

- Możesz mi powiedzieć, po co? - przestał się uśmiechać.

Jej oczy wydały mu się olbrzymie. Patrząc w nie miał wrażenie, że wciąga go oko cyklonu.

Wiedział, że Sam zastanawia się, czy może mu zaufać. Poczul się dotknięty jej wątpliwościami i nagle nie mógł tego dłużej znieść.

- To nie ma znaczenia - powiedział łagodnie. - Idę zobaczyć, czy nie uda mi się czegoś złowić na obiad. Ty zostań tutaj i odpoczywaj.

- Dziękuję - powiedziała cicho Samantha. Była zadowolona, że podjął za nią decyzję. Z drugiej strony gardziła swoim tchórzostwem.

Connor nie odpowiedział. Wychodząc trzasnął drzwiami. Niech ją licho porwie, myślał. Ona mu dziękuje! Niech ją licho porwie! Miał w głowie tylko zamęt. Dlaczego tak bardzo mu zależy na tym, by mu ufała?

Szybko rozпалиł małe ognisko i po niedługim czasie udało mu się złapać trzy dorodne pstrągi. Gdy piekły się w ogniu, spróbował zastawić kilka sideł. Nadal bał się strzelać. W drodze powrotnej zabrał ryby i zgasił ogień.

Sam leżała z zamkniętymi oczami. Lekko dotknął ręką zdrowego ramienia. Wolno otworzyła oczy i z uznaniem pociągnęła nosem. Na widok trzech ryb ułożonych na dużym kawałku kory jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

- Hmm - mruknęła. Sięgnęła zachłannie po duży kawałek i włożyła go do ust. - Nigdy nie jadłam nic lepszego.

Connor przyglądał się jej zafascynowany. Powoli żuła rybę, tak jak to robią ludzie głodujący, pragnący delektować się każdym kęsem. Nie pytając o nic sam zabrał się do jedzenia i wkrótce po rybach nie zostało ani śladu.

- Jesteś bardzo utalentowany - powiedziała wreszcie Samantha. - Nigdy nie podejrzewałam, że pod maską żołnierza kryje się tak znakomity kucharz.

- Mam wiele talentów, pani, o których nie masz pojęcia.

- Bynajmniej nie wątpię w to - odparła żartobliwie. - Co dzień odkrywam coś nowego. Mogę nawet wymienić mój ulubiony.

- Nie brak ci tupetu, panienko - odpowiedział z udaną surowością.

- A ty jesteś zarozumiały. Skąd wiesz, o co mi chodziło. Może miałam na myśli talent, z jakim wcielasz się w postać jednookiego żołnierza Jego Wysokości.

Odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Gdybyś nie miała złamanej ręki i nie wyglądała jak chłopak od kominiarza, już ja bym ci pokazał - powiedział.

Popatrzyła na siebie i zmarszczyła czoło.

- Wyglądam okropnie, prawda? I to ubranie... było zupełnie nowe! - Nagle ożywiła się. - Ten strumień, w którym złapałeś ryby... może mogłabym się tam umyć?

Connor zaczął żałować wypowiedzianych wcześniej słów.

- I bez tego jesteś piękna.

Był to pierwszy komplement, jaki jej powiedział. Blask jej oczu najlepiej świadczył o tym, jak wielkie miało to dla niej znaczenie.

Poczuł się zażenowany. Powinien był jej wczoraj to powiedzieć... to i inne rzeczy. Zamiast tego zachował się jak ostatni idiota i zostawił ją, by myślała sobie Bóg wie co.

Dotknął dłonią jej twarzy.

- Jesteś piękna i odważna, i dobra... i potrafisz strzelać lepiej niż jakakolwiek inna znana mi kobieta. Jestem ci za to do zgonnie wdzięczny.

Uśmiechnęła się nieśmiało, niezupełnie przekonana o tym, czy umiejętność strzelania może stanowić powód do dumy dla damy. Nade wszystko pragnęła jednak, by ciepłe, szare oczy Connora nadal patrzyły na nią z takim uwielbieniem.

Connor nie wiedział, co ma robić. Po raz pierwszy w życiu odczuwał tak wielki pociąg do kobiety, tak wielkie zadowolenie z jej towarzystwa. Nigdy też nie doświadczył równie wielkiej namiętności. Każdy dotyk był jak igranie z ogniem. Nigdy przedtem tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety, ale też nigdy żadnej tak się nie bał. Chciał powiedzieć, że ją kocha, ale nie mógł tego zrobić, dopóki mu nie zaufa, dopóki są między nimi tajemnice.

Samantha zupełnie błędnie odczytała jego intencje. Wiedziała, że wygląda okropnie. Spojrzała na siebie oczami Connora. Brudna, chuda, nie

uczesana i obdarta. Dziewczyna, która zachowuje się jak chłopak, klnie jak chłopak, która spędziła noc w burdelu i wreszcie bez żadnych hamulców oddała swe dziewictwo, jak jej się wydawało, z bezwstydną rozwiązłością. Przestała być materiałem na żonę. Do tego nosiła jeszcze nazwisko Chatham. Musi powiedzieć wszystko Connorowi, nim sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje. Może gdy się umyje, będzie miała więcej godności i odwagi...

- Chciałabym się umyć - poprosiła.

Niczego nie potrafił jej odmówić... zwłaszcza gdy widział ten smutek w jej oczach.

Razem poszli do strumienia. Znów wyjrzało słońce. Najpierw zdjął jej buty, potem swoje, a na koniec wyciągnął przechowywany pieczołowicie kawałek mydła. Na jego widok Samantha uniosła brwi ze zdziwienia.

- Na statku nie myłem się przez cztery miesiące. Teraz nigdzie się nie ruszam bez mydła.

Była niemal gotowa wyznać mu wszystko, ale powstrzymało ją napięcie na twarzy Connora. Mimowolnie spojrzała na jego kostkę.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałeś - powiedziała cicho.

- Widziałaś mnie... wtedy w jaskini. Najgorsza była śmierć ojca. Musiałem patrzeć, jak umiera. Wolno. Kawałek po kawałku. I ta świadomość, że to wszystko zostało ukartowane. Zaplanowane dla nas obu. Tylko że ja ich okpiłem... Okpiłem Brytyjczyków i Chathama. Miałem brata niewiele starszego od ciebie... Jego też zabił Chatham. Jego cór-

ka... Jego przeklęta córka uwiodła go, a potem powiedziała ojcu, że zniszczył jej reputację. Nie miał żadnej szansy. - Głos Connora brzmiał tak gorzko, że ledwo go poznawała. - Brendan walczył o jej honor... jeśli go w ogóle miała. W kilka miesięcy potem była już zaręczona z jakimś przeklętym Anglikiem. - Na dźwięk nienawiści w jego słowach coś w Samancie umarło.

- Może kochała twojego brata...

Głos Samantha brzmiał cicho... tak cicho, że ledwo rozróżniał słowa.

- Kochała go? Tak bardzo, że aż go zabiła. Bo to właśnie zrobiła. Chatham od lat szukał pretekstu, by nam szkodzić. Podała mu go na tacy.

Connor z trudem się opanował. Nie wiadomo, po co jej to wszystko opowiadał, wciągał ją w mroczne szczegóły swego życia. Czuł jednak dziwną chęć powiedzenia jej wszystkiego... otwarcia przed nią swego życia w nadziei, że być może zechce mu się zrewanżować tym samym.

Szybko o tym zapomniał na widok głębokiego bólu, jaki odmalował się na jej pobielącej twarzy. Raz jeszcze przeklął swą głupotę. Nie powinien obarczać dziewczyny swoimi problemami... Dość miała własnych.

Z wysiłkiem odprężył się, wziął mydło i zaczął ją myć... Najpierw twarz, potem ręce i wreszcie nogi.





W ciągu następnych kilku dni Connor zabiegał o względy Samantha, tak jak nigdy wcześniej. Rozpieszczał ją na wszystkie możliwe sposoby.

Zdecydował, że zostaną w chacie przynajmniej do czasu, gdy zagoją się najboleśniejse rany Sam. Ryb i zwierzyny mieli pod dostatkiem i nie było właściwie powodu, by szybko wracać na Snow Island. Zbliżało się Boże Narodzenie i Fran nie planował żadnych większych akcji.

W ciągu dnia chodzili na spacer trzymając się za ręce lub siedzieli i rozmawiali. Samantha kładła mu głowę na kolanach, a on recytował sonety. Opowiedział jej o swej niezwykłej pamięci, o tym, jak treść zapamiętanych książek pozwoliła mu przetrwać najgorsze chwile na statku. Mówił jej rzeczy, których dotąd nie zdradził nikomu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że bez opamiętania się w niej zakochał. Gdy patrzył na nią, czuł rozpierającą radość. Była w niej jakaś naturalna świeżość. Wiedział, że nawet gdy będzie miała dziewięćdziesiąt lat i tak w części pozostanie dzieckiem. Boże, jak bardzo pragnął z nią wtedy być. I teraz. I za dziesięć lat. I za pięćdziesiąt. Wniosła do jego poważnego świata tyle ciepła i radości.

Martwił go jedynie fakt, że nigdy nie mówiła

o sobie. Nawet wtedy, gdy dawał jej szansę. Na razie nie miało to znaczenia. Nie dbał o to, kogo, co i jakie problemy zostawiła za sobą. Czuł się kochany jak nigdy dotąd... i sam też kochał równie mocno. Nawet najmniejszy dotyk ich rąk był niczym delikatny pocałunek. Niczym obietnica.

Trzeciego dnia siedzieli nad strumieniem; Connor z wędką, Samantha wsparta wygodnie na jego piersi. Connor recytował kwestię starego biskupa z „Opowieści kanterberyjskich” i Samantha zachichotała, jakby znając dalszy ciąg.

- Coś mi mówi - odezwał się - że już to słyszałaś... lub czytałaś.

Spojrzała na niego z miną winowajczyny.

- Ty szelmo - powiedział. - Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało zdobycie tych przeklętych elementarzy.

Roześmiała się.

- Tak bardzo ci zależało... żebym zdobyła trochę ogłady.

- A więc Sam potrafi czytać?

- Trochę - przyznała z lekkim uśmiechem.

- Podejrzewam, że nieco więcej niż trochę - odparł. Potem pochylił się i pocałował jej roześmiane usta. Natychmiast cofnął się jak oparzony. Przypomniał sobie, jak szybko stracił panowanie trzy dni temu. Nie może zapominać o jej ramieniu. Śmiała się, a mimo to wyraz smutku malował się w jej oczach. Connor ułożył głowę dziewczyny na swych kolanach i bawił się przyciętymi krótko włosami. Drugą ręką złapał jej dłoń. Nigdy przedtem nie czuł się tak bliski drugiemu czło-

wiekowi. W tym momencie wystarczyło mu tylko, że jest przy niej.

Samantha porzuciła zupełnie myśl o wyznaniu mu całej prawdy. Gorzkie słowa, które padły dwa dni wcześniej, uświadomiły jej, że Connor nigdy nie zrozumie, nigdy nie wybaczy. Nie mogła jednak zrezygnować z niego, jeszcze nie teraz.

Patrzyła na jego twarz, starając się zapamiętać każdy szczegół rysów. Prawą dłoń wsunęła pod koszulę Connora i zaczęła bawić się jasnymi włosami na jego piersi.

Czuła, jak ciało Connora napręży się, jak stara się on zapanować nad sobą, by wreszcie też poddać się sile zbyt potężnej, aby można było z nią walczyć.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi, najpierw z niezwykłą delikatnością, potem z coraz większą niecierpliwością i natarczywością. Dłonią sięgnęła ku jego szyi i wplątała palce w gęste jasne włosy. Jej spragnione ciało wygięło się ku niemu.

Connora porwał ten sam wir uczuć. Nie potrafił opanować szalonej radości, jaką wywoływała w nim bliskość Sam. Potem przypomniał sobie o jej ramieniu. Cofnął się i zajrzał jej w oczy, dostrzegając w nich pożądanie równie głębokie jak jego własne.

- Twoje ramię...

- Do diabła - zaczęła i przerwała zawstydzona. - Do licha - poprawiła się. - Do licha z ramieniem.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej - odparła z kuszącym uśmie-

chem, który zawierał tak otwarte zaproszenie, że Connor nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Ostrożnie rozpiął jej koszulę i dotknął dłońmi sprężystych piersi. Pochylił się, zmysłowo całując zaróżowione sutki. Jego dłonie sięgnęły do zapięcia bryczesów Sam. Mimo rosnącego pożądania był niezwykle ostrożny i uważał, by nie zadać jej bólu. Drżąc, delikatnie przygarnął ją do siebie i ponownie odszukał wargami jej usta.

Samantha czuła delikatny dotyk jego warg i wiedziała, ile wysiłku kosztuje Connora ta powściągliwość.

- Pragnę cię - powiedziała wolno i wyraźnie.  
- Chcę, byś się stał częścią mnie... Chcę czuć cię w sobie. - Potem wypowiedziała słowa, na które czekał. - Kocham cię, Connor. Zawsze cię będę kochała. - Dotknęła dłonią jego twarzy. W tej pieśczości było tyle tęsknoty i miłości, że zdominowała go bez reszty.

Połączyli się spokojnie, delikatnie... a słońce okryło ich płaszczem złota. Każdy dotyk był wyrazem trawiącej ich namiętności, stanowił akt gorącej miłości. Oboje prześcigali się we wzajemnym obdarowywaniu się pieśczoćmi. Gdy było po wszystkim, oboje wiedzieli, że coś niezwykłego odmieniło ich na zawsze i leżeli obok siebie milcząco, oszołomieni.

Razem patrzyli, jak słońce kryje się za drzewami, roztaczając na niebie tęczę barw o niespotykanym bogactwie odcieni.

Dopiero chłodny wiatr skłonił ich do powrotu. Nawet wtedy niechętnie oddalili się od siebie

w obawie, by nie zerwać łączącej ich delikatnej więzi.

Wolnym krokiem, nieco oszołomieni, wrócili do chaty. Connor zapalił świecę.

- Pójdę sprawdzić sidła - powiedział łagodnie. - Wkrótce wrócę, kochanie. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Nie chcę cię zostawiać... nawet na chwilę.

Jej twarz odzwierciedlała dokładnie takie same uczucia i Connor z trudem zmusił się do wyjścia na zewnątrz. Potrzebowali jedzenia na kolację i na śniadanie. Rano wyruszą w drogę; Fran na pewno zaczął się już niepokoić.

Było ciemno, gdy wrócił z dwoma królikami. Rozpalił małe ognisko i upiekł oba. Jednego zjedli na kolację, drugiego zostawili na śniadanie następnego dnia. Jedząc mówili niewiele, za to ich twarze i oczy mówiły wszystko. Potem wśliznęli się pod koce, a ramiona Connora zamknęły się wokół talii Samantha.

Słońce wciskało się do środka przez szczeliny w ścianach chaty. Wzdychając z zadowoleniem Samantha bardziej wtuliła się w objęcia Connora. Twarzą dotykała jego policzka i dziwiła się przyjemności, jaką odczuwała, gdy krótki zarost drapał jej skórę. Zachwycała się wszystkim, co dotyczyło Connora.

On też nie miał chęci się ruszać; leżał rozkoszując się bliskością Sam. Przerazała go myśl, że może ją utracić. Postanowił, że dziś poprosi ją o rękę.

Wreszcie wstali. Z obawą myśleli o powrocie na Snow Island, gdzie nie będą mogli być razem. W milczeniu zjedli śniadanie, a potem poszli do strumienia się umyć. Connor pomógł Sam w kąpielu i posadził ją na brzegu.

- Czy naprawdę nazywasz się Sam? - zapytał.

Samantha czuła, że jej serce przestaje bić. Z wielkim wysiłkiem spojrzała mu prosto w oczy z trudem utrzymując nerwy na wodzy. Jak mogła go okłamywać? Spuściła głowę i powiedziała bezbarwnym tonem:

- Tak... to znaczy prawie. Mój ojciec zawsze chciał mieć syna. - Było w tym sporo prawdy.

Connor jednak zauważył to „prawie” i zachęcił ją wzrokiem, by kontynuowała.

- Mam na imię Samara - wypaliła.

- Samara - powtórzył. - Piękne imię. Pytałem - dodał łagodnym tonem - bo uważam, że powinienem znać imię kobiety, którą proszę o rękę.

Był przygotowany na wszystko, tylko nie na wyraz bólu i rozpacz, jaki pojawił się na jej twarzy. Złapał ją za rękę, instynktownie wyczuwając, że chciała uciekać.

Jego dłoń pozostała nieugięta i Samantha przestała się wyrywać. Stała ze spuszczoną głową i milczała, pragnąc jednocześnie znaleźć się w jego ramionach i być o milion mil stąd.

- Kocham cię, Sam, i chcę, żebyś została moja żoną. Wiem, że dopóki nie skończy się ta przeklęta wojna, nie mogę ci wiele zaoferować. Jednak kocham cię, bardziej niż wydawało mi się to możliwe. Tom Edwards jest pastorem. Może nam

udzielić ślubu na Snow Island. Fran będzie druž-  
bą.

Przerwał zmieszany na widok coraz większej  
rozpaczy, jaka malowała się na jej twarzy.

- Czy jest ktoś inny? - zapytał sztywno nicze-  
go nie rozumiejąc. Była dziewczicą i ubiegłego wie-  
czoru mówiła, że go kocha. Nie wierzył w ist-  
nienie innego mężczyzny w jej życiu.

Wolno potrząsnęła głową.

- W takim razie dlaczego?

- Nic o mnie nie wiesz, o mojej rodzinie, skąd  
pochodzę...

- Nie wiem, bo nie chcesz mi tego powiedzieć  
- odparł łagodnym tonem. - Wiem wszystko,  
czego mi potrzeba. Wiem, że nie chcę cię stracić.

Oczy Sam były ciemniejsze niż kiedykolwiek,  
a jej usta drżały.

- Nie stracisz mnie. Będę przy tobie jak długo  
zechcesz, ale nie mogę cię poślubić.

- Dlaczego? - zawołał nadal nie rozumiejąc.

- Właśnie dlatego - odparła wolno - że cię ko-  
cham. Musisz w to uwierzyć.

Patrzył na jej zaciętą twarz i wiedział, że prze-  
grał. Oszołomienie przerodziło się w gniew. Gniew  
połączony ze smutkiem. Gotowa była zostać jego  
kochanką, ale nie żoną. A dlaczego miałyby się zgo-  
dzić? Od dawna już nie był sobą; zżerało go roz-  
goryczenie i tylko śmierć Chathama mogła to zmie-  
nić. Czy właśnie przed tym ostrzegała go Anna-  
belle? Jeśli tak, nic nie mógł na to poradzić. Był  
więc powód, by zabić Chathama.

Samantha miała ochotę umrzeć, widząc, jak

ciepłe oczy Connora zmieniają się w kryształki lodu. Czuła wzbierające pod powiekami łzy i odwróciła się; nie chciała, by je zobaczył. Usłyszała oddalające się kroki i poczuła, jak jej serce pęka na tysiące drobnych kawałeczków.

To najdłuższy dzień w moim życiu, pomyślała Samantha z bólem.

Connor pomógł jej wsiąść na konia, ale w dotyku jego dłoni nie było delikatności. Usta zacisnął w sztywną linię, a oczy, jego piękne szare oczy, były zimne jak lód. Zajął miejsce z przodu siodła, żeby mieć jak najmniejszy kontakt z jej ciałem, a jego sztywne plecy oskarżały ją i odpychały. Zdrową ręką trzymała się siodła. W pierwszej chwili instynktownie objęła go w pasie, ale szybko cofnęła ramię, gdy wzdrygnął się przed tym dotykiem.

Czy ta podróż nigdy się nie skończy? - zadreślał się Connor. Kołysanie konia sprawiało, że ich ciała ciągle się dotykały i było to coraz bardziej przykre dla obojga. Każdy dotyk był niczym rozpalone żelazo, niczym nóż wbijający się coraz głębiej w jego serce.

Kochał ją... tak bardzo, że nadal był tym wstrząśnięty. Wniosła w jego życie tyle światła, nie tylko w ciągu ostatnich dni, ale także wtedy, gdy znał ją jako Sama. Jej śmiech i miłość, czułość i zrozumienie - wszystko było oszustwem. Wszystko. Ale dlaczego, u licha? Dlaczego? Jeśli chodziło o coś z jej przeszłości, dlaczego nie mogła... nie chciała mu zaufać? Był przekonany, że go kocha... Jak mogła tak dobrze udawać?



Nagle zeszywniał. Była aktorką. I to bardzo dobrą. Oszukiwała go przez wiele miesięcy. Niech ją licho. Niech licho porwie wszystkie kobiety.

I co dalej? - zastanawiała się Sam. Czy Connor powie pułkownikowi Marionowi? Czy będzie musiała opuścić obóz? Zostawić Connora i nigdy więcej go nie zobaczyć?

Connor rozważał wszelkie ewentualności. Mógł powiedzieć Franowi... właściwie powinien. Kobiety nigdy nie miały wstępu do obozów Mariona. Nie miał wątpliwości co do tego, że Sam będzie musiała odejść, jeśli zdradzi jej płęć. Nie mógł sobie wyobrazić, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Zdecydował, że nic nie powie. Bez względu na wydarzenia tego tygodnia nadal miał wobec niej dług wdzięczności. Dwukrotnie uratowała mu życie i nie mógł znieść myśli, że coś mogłoby się jej stać. Zmusi ją, by obiecała, że zostanie w obozie i będzie doglądała koni. Żadnych rajdów! Poprosi Mariona, by częściej powierzał mu zadania kurierskie... albo o przydział do armii Greene'a. Kocham ją, myślał... Do licha... jak uda mi się trzymać od niej z daleka? Jęknął żałośnie jak zranione zwierzę.

Na dźwięk ten spłynęły łzy z oczu Samantha. Ze złością wytarła je spoconą ręką, zostawiając na twarzy brudne smugi.

Tak bardzo go kocham, nie potrafię żyć bez niego-

Kocham ją... do licha... nie mogę pozwolić jej odejść.



Connor i Samantha wrócili na Snow Island milcząco i sztywni. Okazało się, że Connor się mylił. Marion, którego posunięcia były zawsze trudne do przewidzenia, zebrał kilka dni wcześniej trzy czwarte ludzi i ruszył na Nelson's Ferry, duże centrum zaopatrzeniowe Brytyjczyków.

O'Neill zaklął głośno. Jego miejsce było u boku Marion, a tymczasem folgował czczym marzeniom, wygłupiając się przed kobietą, która go nie chciała. Bezceremonialnie pomógł Samancie zsiąść i w milczeniu osiodłał innego konia.

- Connor...

Na dźwięk głosu dziewczyny odwrócił się; jego twarz przypominała maskę, oczy - kawałki lodu.

- Zostaniesz tutaj - powiedział szorstko.  
- Niech cię Bóg ma w swej opiece, jeśli zobaczę, że jedziesz za nami lub, gdy po powrocie nie zastanę cię tu. Zrozumiałaś?

Ponuro kiwnęła głową.

- Czy powiesz pułkownikowi Marionowi?

W jego oczach nie znalazła litości ani współczucia. Connor sprzed czterech dni znikł, a na jego miejscu pojawił się obcy człowiek.

- Nie wiem - odpowiedziała. Widząc jej przy-

gnębienie dodał: - Nic nie powiem do czasu, aż porozmawiamy. A poza tym to już nie pułkownik, tylko generał Marion. Podczas naszej nieobecności otrzymał awans.

Connor jechał szybko. Był zmęczony, lecz perspektywa samotnej podróży przez bagna nie budziła w nim niechęci. Dała mu przynajmniej okazję do przemyślenia wydarzeń ostatnich czterech dni. Nigdy nie przypuszczał, że dwoje ludzi może być tak bardzo dobranych; nie wierzył, że zdolny jest do tak wielkiej miłości. Ten krótki okres przypominał raj na ziemi. Jednak wszystko się zaważyło. Zorientował się, że Sam nie podziela jego uczuć, nie chce stałego związku. Przeklinał ją i przeklinał siebie za to, że wpakował się w tę kabałę.

Dreńczyła go też inna myśl. Kiedy Sam odrzuciła jego propozycję, jej oczy przepełniał ból. Dlaczego? Jeśli był jakiś powód, dlaczego nie chciała mu o tym powiedzieć? Chyba wie, że gotów jest dla niej walczyć z samym diabłem.

Po powrocie porozmawiają. Zmusi ją do wyjaśnienia wszystkiego. Może w tym właśnie tkwi cały sekret. Może Sam boi się czegoś ze swej przeszłości.

Fran Marion i jego oddział złożony ze stu pięćdziesięciu ludzi zajęli Nelson's Ferry i przechwycili łódzie z zaopatrzeniem. Rebelianci bardzo potrzebowali prochu i akcja dała znakomite rezultaty. Marion martwił się jednak o Connora. Był

on jego najlepszym zwiadowcą. Niepokojąco długo go nie było. Fran martwił się też o Sama.

Właśnie podwoił warty, gdy zobaczył nadjeżdżającego Connora, który kierował się prosto w jego stronę.

- Nie dalej jak pięć mil stąd widziałem oddział Brytyjczyków. Ponad czterystu ludzi.

- Widzieli cię?

- Nie, jechałem równoległe do drogi. To draconi; będą tu za godzinę.

Marion nie tracił czasu. Kazał ludziom wsiadać na konie i wycofać się na bagna. Zdobyty proch wysłał już wcześniej, a łodzie kazał spalić.

Gdy zbierali się do odjazdu, jeden z wartowników zameldował o obecności innego oddziału brytyjskiego, blokującego ścieżkę prowadzącą na bagna.

Marion wezwał swych oficerów i polecił, by oddział zajął pozycje na bagnach. Connor rozmieścił swych ludzi na drzewach wokół strumienia. Horry zrobił to samo. Obserwowali zbliżających się Brytyjczyków, którzy ustawili warty wzdłuż strumienia. Nie podejmowali jednak żadnego działania aż do zapadnięcia zmroku.

Ani jeden z pełniących tej nocy wartę Brytyjczyków nie doczekał świtu.

Rano sytuacja utknęła w martwym punkcie. Anglicy bali się wejść na bagna; rebelianci nie mogli ich opuścić.

Connor pierwszy zauważył białą flagę. Wraz z Marionem udał się na spotkanie z brytyjskim oficerem, majorem McLerothem. Obaj znali go ze

słyszenia; wiedzieli, że jest Szkotem i że w porównaniu z resztą Brytyjczyków stacjonujących w Karolinach jest przyzwoitym człowiekiem. Rozbawiła ich jego skarga.

- To wbrew wszelkim prawom cywilizowanej sztuki wojennej - argumentował Szkot - by strzelać do wartowników. - Z wyrazem oburzenia na twarzy wezwał Mariona do opuszczenia lasu i stawienia mu czoła.

Zarówno Marion jak i Connor z trudem powstrzymywali uśmiech. Nagle Fran spoważniał.

- A ja uważam, że równie sprzeczne z prawami cywilizowanej sztuki wojennej jest palenie domów ludzi, którzy nie chcą się wam podporządkować - powiedział z niebezpiecznym błyskiem w oczach. - To daleko gorsze od strzelania do warty. Dopóki nie zmienicie swego postępowania, my też będziemy trwać przy swoim.

Marion odwrócił się chcąc odejść, lecz major zatrzymał go.

- Mam propozycję. Wystawię piętnastu moich najlepszych strzelców przeciwko piętnastu pańskim ludziom. Niech oni rozstrzygną o wyniku tej bitwy.

Marion wiedział, kto wygra ten pojedynek. Na całym Południu nie było lepszych strzelców od jego ludzi. Nie rozumiał tylko, dlaczego mający przewagę liczebną McLeroth wyszedł z taką propozycją.

Marion skinął głową. Ustalono godzinę i Fran z Connorem wrócili do swych ludzi. Ochotników nie brakowało, ale Marion dokonał starannej se-

lekcji. Wybierał ludzi bez rodzin, ale dobrze strzelających.

Obserwowali, jak dwie grupy zbliżają się do siebie; Amerykanie w podartych i poszarpanych ubraniach z samodziału, Brytyjczycy w jaskrawych, czerwonych mundurach. Uwaga wszystkich skupiona była na stojących naprzeciw sobie strzelcach. Nawet wyjątkowo spostrzegawczy Marion nie zauważył, że szeregi brytyjskie coraz bardziej się przerzedzają. W umówionym momencie piętnastu angielskich strzelców nagle wycofało się, wprawiając stojących Amerykanów w osłupienie.

Marion był nie mniej zdziwiony od innych. Wysłał Connora i dziesięciu ludzi na zwiady, a sam profilaktycznie wycofał się za strumień.

Connor wrócił po godzinie, prowadząc ze sobą angielskiego porucznika. Koń mu okulał i pozostał z tyłu za główną kolumną.

Wkrótce wszystko stało się jasne. Porucznik, choć zmartwiony faktem, iż znalazł się w niewoli, bynajmniej nie krył dumy z udanego fortelu swego dowódcy. McLeroth nie wiedział o zbliżających się posiłkach i był przekonany, że znalazł się w pułapce. Sądził, że Marion przewyższa go liczebnie, zdecydował się więc na ucieczkę.

Connor, major Horry i Marion patrzyli na siebie w osłupieniu. Marion kazał puścić porucznika i gdy ten odjechał, wszyscy trzej parsknęli głośnym śmiechem.

Po wycofaniu się McLerotha oddział Marion

bez trudu ominął drugą grupę Brytyjczyków i ruszył na Snow Island. Connor nie mógł dłużej unikać pytających spojrzeń Mariona.

- Martwiliśmy się o ciebie i Sama - odezwał się Fran.

- Natknęliśmy się na patrol angielski. Koń Sama został zabity, a chłopak upadając złamał sobie rękę. Wydawało mi się, że przed ruszeniem w dalszą drogę powinien odpocząć, więc zatrzymaliśmy się w opuszczonej chacie.

Marion skinął głową.

- Wszystko z nim w porządku? - Connor zachowywał się jakoś dziwnie... inaczej... jakby coś ukrywał.

- Tak. Ale chyba dobrze by było, żeby przez jakiś czas pozostał w obozie.

Marion skinął głową, zaintrygowany ostrożnymi odpowiedziami Connora. Wiedział, że O'Neill zabrał z sobą Sama w nadziei zbliżenia się do niego. Widocznie poza złamaną ręką wydarzyło się coś jeszcze.

- A jak się miewa Annabelle? - zapytał.

- Obraca się w nie najlepszym towarzystwie - odparł z lekkim uśmiechem Connor. - Cztery noce temu przebywałem pod jednym dachem z pułkownikiem Tarletonem.

- Musiało to być interesujące.

- Podobno przechwalał się, że ma kilka niespodzianek dla Lisa z Bagien.

Marion roześmiał się.

- Na pewno by się zdziwił, gdyby wiedział, kto jest na górze.

- Biedna Annabelle chyba o mało nie zemdląca, kiedy jej powiedział, że jestem tak samo poszukiwany jak ty. Wątpliwy zaszczyt, ale zapewnił ją, że nie ośmielę się opuścić bagien. Zostawił jej dość cenne informacje. Podobno w ciągu następnych kilku tygodni Cornwallis planuje dużą wyprawę przeciwko Greene'owi.

Rozbawienie szybko zniknęło z twarzy Marionna.

- Zaraz po powrocie wyślę kuriera.

- Ja chciałbym pojechać - zaproponował cicho Connor.

Marion zauważył determinację w jego głosie. Nie miał ochoty rozstawać się znów z O'Neillem, ale czuł, że zależy mu na tym zadaniu. Widocznie z jakiegoś względu było to dla niego ważne. Dodatkowy plus stanowił fakt, że Connor był szanowany i na pewno nikt nie będzie wątpił w jego słowa.

Connor przespał resztę dnia i noc. Wcześniej nie kładł się przez ponad czterdzieści osiem godzin i był zupełnie wyczerpany. Sam nieustannie wkradała się do jego snów. Rano obudził się zmęczony i przygnębiony.

Znalazł Marionna przy niewielkim ognisku.

- Nadal chcesz jechać do generała Greene'a?

Connor skinął głową szukając jednocześnie wzrokiem Sam.

- Nauczyłem się już wszystkiego na pamięć. Jeśli mnie złapią, niczego nie znajdą.

- Poza tobą, przyjacielu, a to byłaby niepowe-



towana strata. Nie mógłbyś liczyć na łaskę - odparł Marion z uśmiechem.

- Nie ma się czego obawiać, jeśli wszędzie są tak czujni jak w Georgetown. - Potem dodał już poważniejszym tonem: - Chcę jechać, Fran. I gdyby zanosіło się na bitwę, chciałbym tam zostać... Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Mam. Wiesz, jak bardzo mi jesteś potrzebny.

- Greene będzie potrzebował ludzi, żeby zmierzyć się z Cornwallisem. Gdy będzie po wszystkim, wrócę.

Marion spojrział w zatroskane oczy Connora.

- Ale to nie jest prawdziwy powód, prawda? Co cię gnębi?

O'Neill potrząsnął jedynie głową.

- Czy chodzi o Chathama?

Connor zdziwiony uniósł głowę, jeszcze bardziej pochmurniejąc. Z zaskoczeniem stwierdził, że od paru dni ani razu nie pomyślał o Chathamie. Sam zupełnie zdominowała jego myśli.

- Chodzi więc o Sama? Martwisz się o niego?

Connor chwycił się tego jak tonący brzytwy.

- O mało nie zginął. Chyba powinienś poszukać dla niego innego miejsca.

- Gdzie? - zapytał Marion. - Nie ma żadnej rodziny. Wydawało mi się, że go lubisz.

Głos Connora nagle stwardniał.

- Po prostu nie chcę, żeby mu się coś stało - powiedział z uporem.

Marion nie ukrywał swego zdziwienia. To był zupełnie inny człowiek niż ten, którego znał. Pełen sprzeczności. Niezdecydowany.

Położył rękę na ramieniu Connora.

- *Zajmę się nim. Nie masz się czym martwić.*  
A jeśli uznasz, że Greene cię potrzebuje, to zostań. Pamiętaj jednak, że będzie nam ciebie brak i to nie tylko dlatego, że jesteś moim najlepszym zwiadowcą.

O'Neill skinął jedynie głową, ale wyraz ulgi i wdzięczności w jego oczach nie uszedł uwagi Mariona.

Connor wiedział, że następne zadanie będzie trudniejsze. Zaczął szukać Sam. Siedziała na brzegu strumienia, jakby na niego czekała.

- Sam?

Podniosła głowę, po czym szybko ją opuściła zaciskając mocno dłonie. To niemożliwe, by nie wiedział, jak bardzo go kocha.

- Sam... proszę, odezwij się.

Czuła, że chwytła ją za ramiona i potrząsa. Zmusiła się, by spojrzeć na niego. Widok bólu, jaki dostrzegła w jego oczach sprawił, że ogarnęło ją jeszcze większe przygnębienie.

- Wyjeżdżam - powiedział Connor powoli.

- Wyjeżdżasz? - zapytała oszołomiona.

- Jadę do generała Greene'a, do Północnej Karoliny. Cornwallis planuje dużą ofensywę.

- Wyjeżdżasz przeze mnie? - Pytanie pełne było udręki.

- Nie - skłamał. - Annabelle przekazała mi informacje, które trzeba jak najszybciej dostarczyć. Dość już zwlekałem.

- Wiem, że to przeze mnie - powtórzyła cicho. W jej oczach zabłyśły łzy.

- Wiesz dobrze, że jeśli masz jakieś kłopoty, chętnie ci pomogę. Jeżeli właśnie przez nie nie chcesz za mnie wyjść, to razem się z tym uporamy.

Nagle znalazła się w jego ramionach zanosząc się od płaczu, a Connor przycisnął ją do siebie.

- Nie jedź - błagała go. - Nie zostawiaj mnie.  
- W tym momencie przypomniała sobie te same słowa wypowiedziane osiemnaście miesięcy temu i ogarnęło ją straszne przeczucie.

Connor pocieszał ją, scałowując łzy. Poczwała jak narasta w niej tęsknota walcząca z chłodem, który ją przenikał.

Odsunęła się od niego i Connor ujrzał w jej oczach śmiertelne przerażenie. Dłonie miała lodowate. Była bardziej przestraszona niż kiedykolwiek przedtem

- Nie jedź, Connor - szeptała. - Proszę cię, nie jedź.

- Powiedz, że wyjdiesz za mnie.

Zamknęła oczy.

Dobry Boże, co to może znaczyć... ten przenikający ją chłód? Czy katastrofa kryje się w Północnej Karolinie, czy w małżeństwie?

- Nie mogę - zawołała.

- Wiem, że mnie pragniesz - naciskał. Jego dłonie poruszały się niczym w gorączce, zgłodniałe usta szukały smaku jej warg. Zmusił ją do przyznania, że go kocha. Odszukał przepaskę krępującą jej piersi i rozwiązał ją. Wargami odnalazł jej usta, całował je namiętnie i czule. Opór Samantha załamał się, jej ciało gwałtownie przylgnęło do Connora.

Nie zważając na bolące ramię wygięła się ku niemu, wspinając się coraz wyżej i wyżej. Chciała, by dosięgnął istoty jej duszy, bo ta chwila musiała wystarczyć jej na całe życie. Miliony gwiazd rozsypały się wokół. Po chwili leżeli oboje wyczerpani, lecz niezaspokojeni. Nadal dzielił ich strach i niepewność.

Connor ubrał się w milczeniu, po czym pomógł jej zrobić to samo.

- Nie chciałem tego - powiedział wreszcie.  
- Nie chcę kochanki, Sam. Nie zadowolę się okruciami. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam kogoś takiego jak ty... a teraz nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie. Nie chcę, by to wyglądało w taki sposób. Albo będziemy otwarcie razem na zawsze, albo się rozstaniemy.

Samantha wiedziała, że mówił poważnie. Każda cząstka jej ciała rwała się, by krzyknąć „tak”. Zaraz jednak wyobraziła sobie jego twarz wyrażającą nienawiść i nie mogła znieść tego obrazu. Lepiej rozstać się teraz i zachować dobre wspomnienia.

- Nie mogę - szepnęła.
- I nie możesz mi powiedzieć, dlaczego?
- Nie.

Skinął jedynie głową.

- Rozmawiałem z Marionem. Obiecał, że się tobą zaopiekuje.

- Nie wie...?

- Nie. Ja mu nie powiem, ale uważam, że ty powinnaś to zrobić. I to niedługo.

Sam nigdy nie dowie się, ile kosztował go ten swobodny ton.

- Musisz jechać?

Roześmiał się krótko, z goryczą.

- Tak. Muszę.

- Kiedy?

- Jak tylko osiodłam konia.

Odwrócił się i odszedł nie słysząc jej szeptu.

- Uważaj na siebie, proszę... Kocham cię.

Była Wigilia Bożego Narodzenia i las rozbrzmiewał odgłosami zabawy. Dźwięki struganych skrzypiec i fujarek przeplatały się z wybuchami śmiechu. Płomyki ognia migotały w zapadającym zmroku. Na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka. Dokoła unosił się zapach pieczonego mięsa, dziczyzny i ptactwa. Wśród ogólnej wesołości wyczuwało się nastrój pewnej melancholii i smutku. Dla niektórych mężczyzn było to już czwarte Boże Narodzenie spędzane poza domem.

Sam próbowała bawić się i śmiać z innymi. W końcu schroniła się w chacie, która była teraz jej domem. Czuła w sobie wielką pustkę i nic nie było w stanie złagodzić nieustannego bólu. Już ubiegłe Boże Narodzenie wydawało jej się nie do zniesienia, a teraz opłakiwała dwóch O'Neillów. Samotna łza spłynęła po jej policzku.

Marion znów przeniósł obóz, tym razem na plantację Williama Goddarda po drugiej stronie wyspy. Były tu prowizoryczne chaty, w których można było schronić się przed chłodem i de-

szczem, pojemniki na żywność i odpowiednio zabezpieczona stodoła, gdzie można było trzymać więźniów.

Zatopiona w swym smutku Samantha nie słyszała zbliżających się kroków, nie widziała też przyglądającego się jej Marion. Wyczuła jednak jego obecność i uniosła głowę.

- Mam coś dla ciebie - powiedział. - Mogę usiąść?

Skinęła głową w obawie, że głos może ją zdradzić.

Najpierw podał jej prezent. Była to mała skórzana czapka z białą kokardką, jaką nosili wszyscy w brygadzie Marion. Uśmiechnęła się lekko na widok takiego prezentu. Oznaczało to, że została całkowicie zaakceptowana.

Marion podał jej drugi, zapakowany podarunek.

- To od Connora - powiedział. - Prosił, żebym ci go dał.

Patrzył, jak chłopak bierze podarek do ręki, a po jego policzku spływa nowa łza, którą, żenowany, wytarł szybko. Marion wyczuł, że Sam woli otworzyć prezent w samotności. Położył rękę na jej ramieniu.

- Wszyscy czujemy się dziś samotni. Nie jesteś jedyny.

Skinęła głową, lecz smutek pozostał w jej spojrzeniu.

- Dziękuję - powiedziała. - I dziękuję za czapkę.

- Zasłużyłeś na nią jak nikt inny.

Po odejściu Mariona Samantha obracała w palcach prezent, ociągając się z jego otwarciem. Wystarczyło jej, że Connor pomyślał o niej mimo swego gniewu. Żałowała, że sama niczego mu nie dała. Przykryła się kocem i nie mogąc zasnąć leżała nieszczęśliwa w przekrzywionej na głowie czapce, przyciskając do serca paczuszkę.



Connor przybył do zachodniej Karoliny w Wigilię Bożego Narodzenia. Dwa dni wcześniej widział się z generałem Greene'em, który wysłał go dalej z wiadomością dla generała Daniela Morgana. Po trzech dniach w siodle był zupełnie wyczerpany i jeszcze bardziej przygnębiony.

Siły Cornwallisa znacznie przewyższały armię generała Greene'a pod każdym względem. Amerykanom brakowało żywności, a ich odzież i obuwie były w okropnym stanie.

Otrzymaawszy przekazaną przez Connora wiadomość, Greene zdecydował się na niekonwencjonalne posunięcie. Wiedział, że w bezpośrednim starciu z Brytyjczykami nie ma żadnych szans. Postanowił podzielić swe siły, licząc na to, że Cornwallis uczyni to samo. Istniała szansa, że stacjonujący na zachodzie Morgan pokona część armii brytyjskiej. Było w to wkalkulowane ryzyko, na które Connor w pełni przystał.

Dotarł do obozu Morgana w południe i złożył raport. Wychodząc z namiotu generała wpadł na znajomą krępą postać.

- Denney, co za miła niespodzianka!

Drugi mężczyzna odwzajemnił jego radość.



- Connor, tak się cieszę, że cię widzę. Słyszałem, że jesteś u Mariona. Jak ci się wiedzie?

- Nieźle - odparł Connor - choć jestem piekielnie zmęczony. Sam nie wiem, ile mil przejechałem w ciągu ostatnich trzech dni.

- Nie widzieliśmy się od ponad trzech lat.  
- Serdeczny głos Denneya Demeresta przycichł nieco. - Słyszałem o twoim ojcu i bracie. Cholerne mi przykro.

Connor skinął tylko głową zaciskając pięści. Przez cały dzień nie odstępowała go myśl o rodzinie. W Glen Woods Boże Narodzenie było zawsze okresem radości, uciechy i zabaw. Po raz kolejny doświadczał uczucia wielkiej straty.

Widząc spochmurniałe oczy Connora, Denney żałował, że poruszył ten temat.

- Masz jakąś kwaterę? - zapytał łapiąc Connora za ramię.

- Tak, kawałek ziemi - odparł O'Neill z przekąsem.

- Chyba mogę ci zaproponować coś lepszego. Mój stryj ma plantację o dwie mile stąd. Tam się zatrzymałem. Mają mnóstwo miejsca.

- Dzięki, Denney, ale nie mogę się narzucać.

- Pomyśl tylko. Łóżko. Prawdziwe łóżko. I gorąca kąpiel. Mają wszystkiego pod dostatkiem. Dziś wieczorem planują bal świąteczny. Wszyscy oficerowie Morgana są zaproszeni.

Connor stał się jeszcze bardziej powściągliwy.

- Chyba nie...

- Będzie też pułkownik Henry Lee. Słyszałem, że ma zostać wysłany na wschód i przyłączyć się

do waszego Lisa z Bagien, świetna okazja, żebyście się poznali.

- Nie mam się w co ubrać - powiedział Connor, próbując wykręcić się od zaproszenia.

- Pożyczę ci coś... Mam tu dość ubrań. Pewnie będą trochę za obszerne i za krótkie, ale masz wysokie buty, więc nic nie będzie widać.

- Denney, jestem piekielnie zmęczony...

- Zdasz się jeszcze przespać po południu. Musisz mi opowiedzieć o Marionie. Stał się prawie legendą.

Dziesięć minut później jechali już na plantację Demerestów.

Connor zawsze lubił Dennisa Demeresta. Poznali się w Charlestonie i razem służyli na Wyspie Sullivana w 1776. Denney przypominał Connorowi Brendana; był towarzyski, życzliwy, zawsze skory do śmiechu. O'Neill opowiedział mu o Marionie i jego spektakularnych wyczynach. Denney słuchał zafascynowany, lecz zasmucił się słuchając opisu życia na bagnach.

- Chyba zostanę z Morganem - powiedział.

- Lubię wygodę, nawet z dala od domu.

Connor roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni.

- Czy masz dość krewnych w obu Karolinach?

- Prawie. Demerestów jest tu więcej niż lisów. Korzystałem już z gościnności każdego z nich.

- Jak twojemu stryjowi udało się utrzymać plantację?

- Ma artretyzm i nie może walczyć. Nie ma

synów i choć nigdy nie krył swej sympatii dla wigów, nigdy się też czynnie nie angażował. Jest bardzo lubiany, bo zawsze chętnie spieszy wszystkim z pomocą. Bez względu na ich przekonania. Zostawili go w spokoju. Ma też ładną córkę, której nikt nie chce robić przykrości.

- Twoja kuzynka?

- Kuzynka - potwierdził Denney. - Ku mojemu wielkiemu ubolewaniu.

Słyszając poważną nutę w głosie przyjaciela, Connor odwrócił się ku niemu.

- Kuzyni często się pobierają - powiedział.

- Nie w mojej rodzinie - odparł krótko Denney i szybko zmienił temat.

Po przybyciu na plantację Denney z rozmachem otworzył drzwi wejściowe wołając stryja. Już w kilka minut później Connor znalazł się w dużym, wygodnym pokoju, gdzie stała też miedziana wanna pełna parującej wody.

Gdy Denney obudził go po paru godzinach, z dołu słychać było muzykę. Connor wypoczęty, lecz wciąż przygnębiony, żałował, że dał się tu sprowadzić. Podażył za przyjacielem do sali balowej, gdzie dziesiątki roześmianych par kręciły się w tańcu.

Denney ciągnął go za sobą od jednej grupy do drugiej, aż znaleźli pułkownika Henry'ego Lee, przystojnego dandysa w rzucającym się w oczy niebieskim ubraniu. Pułkownik i jego trzystu ludzi dzięki niezwykłej odwadze i szybkości zdobyli już sobie sławę. Przyglądając się pułkownikowi, Connor wątpił, czy zdoła się on przysto-

sować do bagien i nieortodoksyjnej taktyki Mariona.

Przywitał się z rezerwą, choć Henry Lee zachowywał się wylewnie i pytał o wszystko. Jego entuzjazm i niekłamany podziw dla Mariona były tak szczere, że wkrótce przekonał do siebie Connora i obaj zamknęli się w bibliotece, gdzie rozmawiali przez ponad godzinę.

Wychodząc Connor zauważył ładną dziewczynę, która patrzyła na niego. Gdy odwzajemnił jej spojrzenie, zarumieniła się i odwróciła ku grupie otaczających ją mężczyzn. Pozostawiony samemu sobie Connor oparł się o ścianę i zaczął obserwować uczestników balu. Żałował, że nie jest w stanie dzielić ich radości; miał wrażenie, jakby uczucia w nim umarły.

Caroline Demerest była zafascynowana nieznanym, którego kuzyn przyprowadził do domu. Connor stał pod ścianą, nie próbując przyłączyć się do innych, i obserwował tłum chłodnym i beznamiętnym wzrokiem widza, a nie uczestnika.

Przepraszając z uśmiechem emablujących ją młodych ludzi odszukała w tłumie Denneya.

- Denney... - jej miękki i melodyjny głos chwycił go za serce.

- Co mogę dla ciebie zrobić, kuzyneczko? - zapytał, nie przestając żałować, że są spokrewnieni.

- Przedstaw mnie swojemu przyjacielowi.

- Czy nie dość serc dziś złowiłaś? - żartem pokrył ból, który odczuł nagle patrząc na nią. Caroline była piękna. Wysoka i smukła; jasnobrązowe włosy połyskiwały pasemkami polerowanego

złota, a duże piwne oczy patrzyły szczerze. W tej chwili była nadspodziewanie poważna.

- Jest taki smutny.

- Ma powody, Caro - odparł Denney. - Jego brat zginął w zeszłym roku, a ojciec kilka miesięcy temu. Plantacja O'Neillów została spalona i skonfiskowana. Connor spędził kilka miesięcy w więzieniu.

Connor stał pogrążony w myślach; zastanawiał się, jak czułby się w tej oświetlonej sali mając u boku Sam. Do diabła, nie wiedział nawet, czy ona umie tańczyć. Z zamyślenia wyrwał go zabawiony głos Denneya.

- Connor?

Powoli skupił wzrok na przyjacielu i stojącej obok niego dziewczynie.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba się zamyśliłem.

- Chciałbym ci przedstawić moją kuzynkę, Caroline. Caro, to jest major Connor O'Neill.

- Serdecznie witamy pana u nas, majorze - powiedziała miękko Caroline.

Connor uśmiechnął się wreszcie.

- Pani rodzina okazała wielką życzliwość strudzonemu nieznanemu.

- Czy jadł pan coś? - zapytała. - Nie? W takim razie proszę ze mną - rozkazała. Podała mu ramię i poprowadziła do stołu. Pozwoliła, by napełnił dwa talerze i nalał dwa kieliszki wina, wreszcie wyprowadziła go na szeroki ganek.

Było zimno i pusto. Connor poczuł ulgę. Z dala od muzyki i hałasu odprężył się. Popatrzył na

swą towarzyszkę i dotarło do niego, że jest bardzo ładna. Ten typ kobiet bardzo go kiedyś pociągał. Dlaczego więc potrafił myśleć tylko o Sam?

- Majorze, jest pan o milion mil stąd. - Głos Caroline brzmiał spokojnie i łagodnie.

- Przepraszam, panno Caroline - odparł ciężko.

- Nie musi pan przeproszać. Denney mówił mi o pańskiej rodzinie. Rozumiem, jak się pan czuje. Proszę mi mówić po imieniu.

Próbował się uśmiechnąć. Caroline dotknęła lekko jego ramienia.

- Jeśli chce pan wrócić do swojego pokoju, proszę się nie obawiać, że poczytamy to jako niegrzeczność.

Connor zdumiał się słysząc te słowa. Właśnie to miał ochotę zrobić, nie chciał jednak ranić uczuć przyjaciela. Caroline Demerest rzeczywiście była wyjątkową osobą.

- A co słyszać u Denneya?

Zachwycona, że jego ponury nastrój minął, Caroline uśmiechnęła się.

- Jest moim najlepszym przyjacielem...

- To wszystko?

- Jest moim kuzynem.

- Wiem - odparł Connor cierpliwie, wyraźnie czekając, by mówiła dalej.

- Poprosił o moją rękę, ale ojciec odmówił. Powiedział, że pokrewieństwo jest zbyt bliskie. W naszej rodzinie było już małżeństwo między kuzynami i źle się skończyło.

Connor wiedział, że wtrąca się w nie swoje

sprawy, ale jego własne cierpienie sprawiło, że zapragnął pomóc Denneyowi i Caroline. Widać było, że się kochają, choć oboje starali się to ukryć.

- Moi dziadkowie byli kuzynami i bardzo się kochali.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Brat mojego ojca ożenił się z kuzynką. Mieli dwoje upośledzonych dzieci, które wcześniej zmarły. Ciotka popełniła samobójstwo. Ojciec nie chce nawet rozmawiać na temat małżeństwa z Denneyem.

Connor objął ją ramionami i w geście pocieszenia przytulił do siebie.

Przeszkodził im jeden z oficerów Morgana.

- Oops - zawołał. - Bardzo przepraszam. Odwrócił się zakłopotany i szybko odszedł.

Caroline westchnęła przygnębiona.

- To największy plotkarz w okolicy - powiedziała.

- Chyba i tak powinniśmy już wracać do środka. - Podał jej ramię i weszli do zatłoczonej sali balowej.

Connor zjadł świąteczny obiad z rodziną Demerestów. Bardzo ich polubił. Denney i Caro żartowali i śmiali się przez cały wieczór. Tego dnia stryj Denneya poprosił, by Connor pozostał u nich do końca swego pobytu w okolicy. Zaproszenie zostało przyjęte.

Podejrzewał, że zaprosili go między innymi po to, by zająć kimś Caro. Nie chcieli zamykać przed Denneyem drzwi swego domu, więc z przyje-

mnością powitali pojawienie się innego młodego człowieka.

W ciągu następnego tygodnia Connor, Denney i Caro często widywani byli razem i wkrótce zaczęły krążyć plotki, a nawet przyjmowano zakłady na ewentualne zaręczyny.

Connor i Caro nie starali się przeczyć. Bardzo się polubili. Caro stała się Connorowi bliska niczym siostra. Co więcej, mogła teraz częściej przebywać w towarzystwie Denneya.

Connor obserwował tę dwójkę z cichym rozbawieniem i troską. Byli wyraźnie zakochani i doskonale do siebie pasowali. Czuł się niezręcznie biorąc ich stronę, bo występował tym samym przeciw swemu gospodarzowi, ale własne przeżycia sprawiły, że chciał im pomóc.

W ciągu dnia obaj panowie zajęci byli szkoleniem rekrutów, wieczory spędzali z rodziną Caro. Connor niewiele miał czasu, by myśleć o Sam, która prześladowała go jednak nocami.

W pierwszym tygodniu 1781 roku ludzie Morgana uderzyli na jeden z głównych ośrodków zaopatrzenia Cornwallisa. Zginęło stu pięćdziesięciu lojalistów, a czterdziestu wzięto do niewoli.

Morgan czekał teraz na odwet. Tak jak przewidywał generał Greene, Cornwallis podzielił swe siły na trzy grupy i wysłał jedną z nich, pod dowództwem Bana Tarletona, za Morganem. Connor został zwolniony z funkcji szkoleniowych i ponownie otrzymał przydział jako zwiadowca. Szybko odnalazł obóz Tarletona i podążył za nim na słynną ze spędów bydła falistą równinę Cow-



pens. Sytuacja Amerykanów nie przedstawiała się najlepiej. Rzeka Broad uniemożliwiała odwrót, a rzadki las nie stanowił przeszkody mogącej powstrzymać dragonów Tarletona.

Powróciwszy wieczorem do obozu Connor złożył meldunek na temat sił i spodziewanej strategii wroga. Morgan rozmieścił swą milicję i strzelców na dwóch leżących obok siebie wzgórzach.

Następnego ranka O'Neill przyłączył się do ludzi z Delaware na pierwszym wzgórzu i obserwował nadjeżdżających dragonów Tarletona. Milicja zaczęła strzelać i żołnierze cofnęli się. W następnej chwili równina zaroiła się od torysów i brytyjskiej piechoty. Tymczasem dragoni uformowali szyki na obu flankach.

Milicjanci oddali po dwa strzały i zaczęli cofać się w rozsypce. Connor widział radość na twarzach Brytyjczyków obserwujących odwrót Amerykanów i pozwolił sobie na złowróźbny uśmiech. Dołączył do cofających się towarzyszy. Zauważył, że Tarleton pewny zwycięstwa rzuca wojsko całą linią do przodu. Brytyjczycy byli wszędzie, ich szeregi rozproszyły się na wszystkie strony. Gdy dotarli do szczytu wzgórza, stanęli oko w oko ze stojącymi niczym mur oddziałami z Delaware. Pułapkę zamknęła amerykańska jazda, która uderzyła na flankę i tyły Tarletona. Otoczeni torysi i Brytyjczycy rzucili broń. Sześciuset ludzi Morgana pokonało siły brytyjskie liczące ponad tysiąc trzystu żołnierzy.

Tego wieczora Connor dowiedział się, że zgi-

nęło dwunastu Amerykanów, a ponad dziewięćset Brytyjczyków straciło życie, zostało rannych bądź wziętych do niewoli. Tarletonowi udało się uciec.

Connor i Denney zabrali Caroline na przyjęcie z okazji odniesionego zwycięstwa. Płomienie olbrzymich ognisk strzelały w niebo, a Caro i Denney trzymali się za ręce. Connor zastanawiał się, co robi Sam i marzył, by mogła być w tej chwili przy nim i cieszyć się triumfem Amerykanów.

Nie potrafił myśleć o niczym innym. Wciąż widział jej twarz elfa i roztańczone niebieskie oczy. Pora podjąć jakąś decyzję. Następnego dnia Morgan wycofywał się na północ, ku głównym siłom Greene'a. Connorowi dano wolną rękę; mógł wrócić do Mariona lub zostać z Morganem. Patrząc na Denneya i Caro przypomniał sobie twarz Sam w chwili, gdy odrzucała jego oświadczenia. Czuł zbyt wielki ból. Powiedział Morganowi, że zostaje.

Posługując się zdrową ręką Samantha szczotkowała Sundance. Od wyjazdu Connora minęło dwadzieścia dziewięć dni, z których każdy ciągnął się niczym rok. Sierść Sundance lśniła już jak lustro. Co dalej? Pozostałe konie oporządziła wcześniej, zajęła się też nowym jeńcem.

Ręka Samantha prawie się już zrosła, a wszyscy w obozie zauważyli, że chłopak nie może sobie znaleźć miejsca. Kiedy dwa dni wcześniej Marion wziął do niewoli brytyjskiego generała, Sir Briana O'Marę, poprosił Sama, by zaopiekował się nim.

Mimo coraz większej niechęci do Brytyjczyków Samantha w pewnym sensie współczuła generałowi. Był upokorzony tą sytuacją. O'Marę umieszczono w stodole, a w odwecie za okrutne traktowanie więźniów amerykańskich przez stronę brytyjską, ręce i nogi generała pozostawały mocno związane nawet w czasie posiłków. Samantha musiała go karmić jak dziecko. Generał był zawsze bardzo uprzejmy wobec chłopca, a nawet okazywał mu wdzięczność.

Dodatkowe zajęcia nie przyspieszyły jednak biegu czasu. Samantha oglądała swe buty - prezent od Connora z okazji Bożego Narodzenia.

Zrobione były z miękkiej skóry i idealnie pasowały. Nie zdejmowała ich nawet w nocy.

Opuszczając zagrodę zauważyła jeźdźca, który skierował się do chaty Marion. Był to jakiś obcy. Podeszła bliżej i zaskoczona usłyszała, że rozmawiają o Connorze.

- Mam wiadomości od majora O'Neilla - mówił człowiek. - Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo na równinie Cowpens. Starliśmy na proch oddział Tarletona. Ponad dziewięciuset zabitych i rannych.

- A nasze straty?

- Tylko dwunastu, sir.

- A co z majorem O'Neillem?

- Miewa się doskonale, sir. Przesyła pozdrowienia, ale Morgan nadal go potrzebuje.

Samantha stłumiła okrzyk protestu. Jakże Connor musi jej nienawidzić, skoro tak długo nie wraca. Potykając się odeszła, nie chciała dłużej słuchać. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Zdesperowana popatrzyła w stronę stodoły. Przynajmniej komuś jest potrzebna... choćby nawet był to wróg.

Generał O'Mara nie miał złudzeń co do swej przyszłości. Oficer uprowadzony z koszar w Charlestonie pod samym nosem Cornwallisa nie mógł liczyć na utrzymanie się na stanowisku.

Francis Marion wyjaśnił mu, czego od niego oczekuje. Cornwallis uwięził w Saint Augustine wicegubernatora Południowej Karoliny, Christophera Gadsdena. Mieszkańcy Charlestonu ostro przeciw temu zaprotestowali. W rezultacie uwię-

ziono sześć osób cywilnych - w tym jednego krewnego Mariona. Generał O'Mara miał napisać do Cornwallisa list z żądaniem natychmiastowego uwolnienia osób cywilnych. W razie niespełnienia tego warunku generał O'Mara miał zostać stracony. O'Mara czuł, że Marion nie rzuca słów na wiatr, napisał więc list z pełną świadomością, że to koniec jego kariery wojskowej.

Więziono go już od trzech dni i zastanawiał się, czy Cornwallis przyjmie warunki Mariona. Niemalże czuł pętlę na szyi.

Drzwi stodoły zaskrzypiały i O'Mara zobaczył zbliżającego się młodego rebelianta, który się nim opiekował. Chłopak niósł wiadro z wodą i chochlę.

- Dziękuję - powiedział generał pociągawszy łyk wody. Fascynowało go coś w tym chłopcu. Może twarz, której rysy pozostały wrażliwe, a może niezwykle błyszczące oczy.

Wzrok Samantha padł na skrępowane nadgarstki więźnia. Zauważyła małe strumyki krwi i obtartą skórę. Pomyślała o Connorze i bliźnie, jaką miał na nodze.

Przyjrzała się uważnie brytyjskiemu generałowi. Domyślała się, że jest w średnim wieku. Twarz miał ściągniętą i zmęczoną, a kasztanowate włosy były zmierzwione. Kręcił się niespokojnie, szukając wygodniejszej pozycji. Współczuła temu człowiekowi. Nie lubiła brutalnych sposobów traktowania jeńców.

Podawała mu następny łyk wody i wyszła kierując się do kwatery Mariona.

.- Przynajmniej rozluźnijcie sznury - prosiła  
- i pozwólcie mi zabandażować jego nadgarstki.

Marion uśmiechnął się lekko.

- Weźmiesz za niego odpowiedzialność?

- Tak jest, sir.

Marion wezwał jednego z sierżantów i kazał mu towarzyszyć Samowi do stodoły. Pozwolono chłopcu zabandażować przeguby więźnia i rozwiązać liny krępujące nogi.

Kilka minut później O'Mara czuł się zdecydowanie lepiej. Nadgarstki zostały posmarowane maścią i owinięte bandażem. Sznurowanie nie wgryzały się już w ciało. Poza tym mógł stać i chodzić. Gdy Samantha zbierała się do wyjścia, zatrzymał ją głos O'Mary.

- Sam.

Odwróciła się ze zdziwieniem.

- To twoja zasługa, prawda?

- Taki był rozkaz generała Mariona - odparła.

- Dziękuję - rzekł O'Mara cicho. - Jestem ci bardzo zobowiązany.

- To z rozkazu generała - powtórzyła, nie pragnąc jego wdzięczności.

- Dlaczego? - zapytał O'Mara ignorując jej słowa.

Popatrzyła na ziemię, a potem podniosła wzrok.

- Brytyjczycy więzili mojego przyjaciela. Do końca życia zostaną mu blizny po ich łańcuchach. Nikt nie powinien tak postępować!

O'Mara słuchał zaintrygowany. Zdumiała go nagła zmiana w mowie Sama. To nie był żaden analfabeta.

Samantha świadomie porzuciła swój prostacki akcent. Ludzie Marion byli na zewnątrz, a generał nie znał Samantha Chatham. Choć przez chwilę mogła być sobą i mówić normalnie.

- Gdzie jest twoja rodzina? - zapytał wreszcie O'Mara.

- Nie żyją - odparła bezbarwnym głosem.

- Wojna?

- Częściowo - odparła ostrożnie.

O'Mara, który korzystając z nowej wolności chodził cały czas po stodole, zatrzymał się i spojrział na Samanthę.

- Czy twój pułkownik Marion naprawdę mnie powiesi, jeśli Cornwallis nie spełni jego warunków?

- Tak - odpowiedziała cichym głosem.

- Z niechęcią, ale dotrzyma słowa.

O'Mara rzucił jej gorzki uśmiech.

- To wielka pociecha. Wiedzieć, że nie sprawi mu to przyjemności.

- Chciał pan znać prawdę - powiedziała szczerze.

O'Mara usiadł i patrzył w ziemię.

- Mam dwóch synów - bliźniaków, których nawet nie widziałem - powiedział.

Samantha zaczęła tłumaczyć.

- Wasza armia wiesza naszych ludzi, pali nasze domy, więzi cywilów. Generał Marion wierzy, że odwet to jedyny sposób na ukrócenie tych praktyk. Przykro mi.

O'Mara podniósł głowę.

- Byłeś dla mnie dobry. Mam nadzieję, że kiedyś będę miał okazję ci się odwdziżyć.

Uśmiechnęła się.

- Generał Marion jest przekonany, że Cornwallis spełni jego warunki.

Samantha opiekowała się O'Marą przez kilka następnych dni. Zmieniała opatrunki i podawała mu jedzenie. Często prosił ją, by porozmawiali. Zgadzała się, czuła bowiem, że jest samotny jak ona. Po prawie tygodniu Cornwallis zgodził się na warunki Mariona. O'Mara, związany i zakneblowany, znalazł się przed głównym posterunkiem na drodze wjazdowej do Charlestonu.





Minęło pięć kolejnych dni, a każdy wydawał się dłuższy od poprzedniego. Nawet Sundance nie była w stanie poprawić nastroju Samantha, która coraz więcej czasu spędzała w samotności. Piątego dnia siedziała nad strumieniem, gdy las nagle wypełnił się hałasem, a do obozu Marion wjechały setki jeźdźców na koniach. Wiedziona ciekawością opuściła swe zacisze i znalazła się wśród postaci w pięknych mundurach.

- Popatrz tylko na tych dandysów - powiedział drwiąco jeden z ludzi Marion.

- Kto to? - zapytała spoglądając na nich z ukosa.

- Henry Lee i jego ludzie - odparł spluwając z pogardą. - Doskonale sobie radziliśmy bez ich pomocy.

- A major O'Neill - zapytała z niepokojem.  
- Czy przyjechał z nimi?

- Nie widziałem go. Nie wyobrażam go sobie wśród tych blaszanych żołnierzyków.

Dalej nie słuchała. Skierowała się do chaty Marion i patrzyła jak ten wita się z młodym eleganckim oficerem.

Marion zauważył jej ściągniętą twarz i gestem ręki przywołał do siebie.

- To jeden z naszych najmłodszych i najważniejszych ludzi - przedstawił ją z dumą.  
- Sam, to jest pułkownik Henry Lee... Zostanie z nami przez jakiś czas.

Marion zauważył żartobliwe spojrzenie, jakim Lee obrzucił Sama.

- Sam jest nie tylko doskonałym koniokradem, ale także wyśmienitym strzelcem - odezwał się ponownie Marion z rozbawieniem. - Mówił pan, pułkowniku, że spotkał pan majora O'Neilla. Było to możliwe tylko dzięki stumetrowemu strzałowi tego młodego człowieka.

Wcześniejsze wątpliwości zastąpił podziw. Henry Lee roześmiał się głośno.

- Miło mi cię poznać, Sam - powiedział.  
- Spotkałem majora O'Neilla kilka dni temu i wiele mi opowiadał o Francisie Marionie, ale nie ostrzegł mnie przed tobą. - W jego głosie nie było protekcjonalności i Samantha doszła do wniosku, że mimo wykwintnego stroju jest sympatyczny.

- Jak się miewa major O'Neill? - zapytała z wahaniem.

- Jest zakochany - odparł Lee. - Wygląda na to, że uległ czarowi pewnej młodej damy z zachodniej Karoliny. Chodzą słuchy, że są podobno zaręczeni.

- Connor? - wtrącił Marion. - Spodziewałem się już jego powrotu. Nie wierzę, by powstrzymała go kobieta.

- To nie jedyny powód, dla którego nie wraca - odpowiedział Lee. - Morgan prosił go, by

z nim został do czasu, gdy połączy się z Greene'em. Cornwallis depta im po piętach.

- Do licha - rzekł Marion. - Nie pozwolę na to. Chcę, żeby wracał i zaraz wysłę odpowiednie rozkazy. Kim jest ta kobieta?

- Nazywa się Caroline Demerest i potrafiłaby każdemu zawrócić w głowie. Prawdziwa piękność i zarazem wielka dama. Byli prawie nierozłączni do czasu, gdy Morgan ruszył na spotkanie z Greene'em.

Żaden z mężczyzn nie zauważył narastającego przygnębienia Samantha, która w końcu bąknęła coś o doglądaniu koni i uciekła.

Prawdziwa dama, powtarzała sobie w duchu. Ona natomiast już dawno przestała być damą. Ból w okolicy serca powoli ogarnął ją całą. Próbowwała oddychać, ale nie mogła złapać tchu. Schroniwszy się przed oczami ciekawskich opadła na ziemię i zaczęła cicho szlochać.

Gdy zabrakło łez, poczuła w sobie zupełną pustkę. Straciła wszystko. Nie miała domu, rodziny; nie miała też dokąd pójść. Została jej tylko Sundance, ale ona już jej nie wystarczała. Powoli rozpacz Samantha zmieniła się w gniew. Connor mówił, że ją kocha, a teraz zaledwie po kilku tygodniach afiszuje się z uczuciami dla innej kobiety. Jak głęboka była jego miłość? Niech go licha porwie. Podjęła decyzję. Pokaże mu. Może nie jest już damą, ale jest za to doskonałym żołnierzem. Obiecała mu, że pozostanie w obozie. On jednak ją opuścił i wybrał inną. Nie czuła się dłużej związana danym słowem.

Odzyskała pełną władzę w ręce i postanowiła wziąć udział w następnej akcji. Przynajmniej na lojalności Mariona mogła polegać.

Trzystu ludzi, których przyprowadził Lee, podwoiło ich siły. Teoretycznie, z racji przynależności do Armii Kontynentalnej, Lee powinien objąć dowództwo nad milicją Mariona. Jednakże obaj mężczyźni bardzo szybko się zaprzyjaźnili i wspólnie decydowali o wszystkim.

Przyjazne stosunki nie rozciągnęły się niestety na ludzi służących pod ich dowództwem. Leśna brygada Mariona gardziła eleganckimi żołnierzami pułkownika Lee i nieustannie dochodziło do bójk między nimi. Nawet Samantha dała się wciągnąć w jedną z nich, gdy znudziły jej się nieustanne żarty na temat jej wzrostu.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jest rozdrażniona i zła. Zdecydowała dowieść swej wartości. Niech tylko ktoś spróbuje stanąć jej na drodze. Nie spodobało się jej, gdy jeden z nieskazitelnie odzianych żołnierzyków w kapeluszu z piórem zaczął drwić z jej wzrostu, ubioru i umiejętności.

- Zawsze mi mówili, że Marion ma ludzi, a nie krasnoludki - powiedział głośno, wywołując gromki śmiech swych towarzyszy. - Jest za mały, żeby wsiąść na konia - kontynuował.

Samantha poczuła rosnącą wściekłość. Kątem oka widziała swych własnych przyjaciół, którzy milcząc czekali, co będzie dalej.

- Jestem dość duży, by odróżnić konia od osła, więc na ciebie na pewno nie wsiądę.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

- Już ja cię nauczę szacunku dla starszych...  
- próbował ją złapać, ale okazała się szybsza. Wymierzyła mu cios prosto w oko i wymknęła się.

W tym momencie ludzie Mariona natarli na żołnierzy Lee i zaczęła się bitwa na pięści, która trwała do czasu przybycia dowódców. Samantha nie dała sobie w kaszę dmuchać. Drapała i gryzła napastnika prawie dwukrotnie większego od siebie.

Przybycie do obozu pułkownika Lee dało jej nowe zajęcie, z czego się bardzo cieszyła. Często podawała oficerom posiłki. Była obecna, gdy podjęto decyzję o ataku na Georgetown i postanowiła porozmawiać z Marionem.

Stanąwszy przed nim zawahała się. Nie była pewna, czy jest gotowa znów zabijać. Nie mogła jednak zostać w obozie. Wyprostowała się i zacisnęła usta.

- Chcę tym razem jechać z wami - powiedziała wytrzymując spojrzenie Mariona.

Twarz Mariona wyrażała zdziwienie. Dotąd chłopak zadowalał się opieką nad końmi. Nigdy nie było o tym mowy, ale generał wyczuwał jego niechęć do zabijania.

- Connor uważał, że powinienesz zostawać w obozie.

- Nie ma go tu - odrzekł Sam zawadiacko.  
- A zresztą on się martwił o moją rękę. Jest już zdrowa.

Marion przyglądał się zdecydowanej twarzy chłopca.

- Obiecaliście, że będę mógł robić, co zechcę - przypomniała mu.

- Obiecałem - przyznał niechętnie. Obietnica była obietnicą, choć teraz żałował, że ją dał. Jeśli Connor wróci, na pewno mu się to nie spodoba.

- Poza tym - upierał się chłopak - byłem niedawno w Georgetown. Nic mnie tam nie zaskoczy - dodał bezczelnie.

Marion uśmiechnął się pobłaźliwie. Rzeczywiście najpierw złożył obietnicę Samowi, Connor był drugi.

- Dobrze, Sam - powiedział. - Możesz jechać, ale bądź ostrożny, bo major O'Neill obedrze mnie ze skóry.

Samantha z brawurą wskoczyła na siodło. Wszelkie ryzyko, jakie dotąd podejmowała, wypływało z konieczności. Nigdy przedtem niepotrzebnie nie kusiła losu. Teraz jednak potrzebowała czegoś, co wyrwałoby ją z otępienia.

Nie zdecydowała się na to, aby wziąć ze sobą Sundance. Zbyt wiele już straciła, by podejmować jeszcze i to ryzyko. Billy uśmiechnął się do niej, gdy skierowała się ku niemu. Cieszył się, że spędzi długą podróż do Georgetown w jej towarzystwie.

Dwustu ludzi pułkownika Lee miało podpłynąć do gęsto zalesionej wyspy, leżącej w pobliżu handlowej dzielnicy Georgetown. Druga grupa, składająca się częściowo z milicji Mariona, miała zaatakować miasto od strony lasów. Samantha znalazła się w tej właśnie grupie.

Wielokrotnie podczas długiej jazdy zadawała sobie pytanie, czy słusznie czyni. Wiedziała, że

będzie musiała zabijać. Rozpaczliwie potrzebowała poczucia, że jest częścią jakiejś grupy. Chciała też pokazać coś Connorowi, ale nie była pewna, co. Że go nie potrzebuje? Że nie dba o to, iż zabiega o względy innej kobiety? Prawda przedstawiała się zupełnie inaczej i ta świadomość bynajmniej nie poprawiała jej nastroju.

Bolały ją plecy i przeciągnęła się niezręcznie w siodle. Pocieszała się myślą, że inni są równie zmęczeni. Jedyne dźwięki, jakie do nich docierały, to nieregularny stukot końskich kopyt.

Niemalże zasnęła w siodle, gdy jej koń zwolnił. Słyszała, że inni zsiadają i wyciągają strzelby. Z ulgą zsunęła się na ziemię.

Dokoła panowała cisza zakłócana jedynie sapaniem koni. Noc była niezwykle cicha i czarna, na niebie nie pojawiła się ani jedna gwiazda. Wśród czekających w milczeniu ludzi wyczuwało się napięcie. Samantha drżała. Z wdzięcznością przyjmowała obecność Billy'ego.

- Zawsze tak jest - szepnęła. - Czekanie jest najgorsze.

Skinęła głową z ulgą przyjmując fakt, że inni czują to samo. Ponownie rozkazano wsiadać. Obolała wdrapała się na konia.

Wkrótce usłyszeli pierwsze dalekie strzały. Ciszę rozdarł huk. Wszyscy ruszyli naprzód i Samantha nagle znalazła się w kłębowisku setek koni galopujących ku bramom miasta. Ściskając kolanami boki wierzchowca zapomniała o kłopotach. Ogarnęło ją uczucie radości.

Niezdyscyplinowana      kawaleria      Mariona

wpadła do miasta. Słysząc było pojedyncze strzały, odgłosy padających ciał. Dochodziły też i radosne okrzyki mieszkańców, którzy wypadli ze swych domów. Samantha dogoniła Marion i Lee. Skierowali się ku leżącej w centrum miasta twierdzy Brytyjczyków.

Był to niewielki fort o dwóch wieżach, zbudowany z drewnianych bali. Posiadał liczną obsadę i zbliżając się do niego Samantha słyszała odgłosy ostrej wymiany ognia między obrońcami a przybyłymi wcześniej ludźmi pułkownika Lee.

Marion i Lee rozdzielili się. Każdy z nich poprowadził swych ludzi ku jednej z wież. Ostrzał z fortu był bardzo precyzyjny i Sam zobaczyła, jak po obu stronach padają ludzie. Szybko poszukała schronienia i wycelowała. Nie wahała się już. Brytyjczycy ranili i zabijali jej przyjaciół. Starannie wymierzyła w postać ładującą muszkiet i strzeliła. Mężczyzna upadł i znikł jej z oczu. W następnej chwili usłyszała za sobą potężną eksplozję i poczuła ostry ból w boku. Zamknęła oczy. Niemal automatycznie naładowała strzelbę i ponownie wystrzeliła. Opadła na ziemię. Zaczęła znów ładować broń. Właśnie składała się do kolejnego strzału, gdy nadszedł rozkaz odwrotu.

Ból zmniejszył się, ale czuła pulsowanie w boku i wiedziała, że ma mokrą plamę na koszuli. Spróbowała zakryć ją kurtką. Podeszła do miejsca, gdzie Marion i Lee konferowali z kilkoma oficerami.

- W ten sposób nigdy nie zdobędziemy fortu - mówił Marion. - Możemy stracić połowę ludzi.



Lee cicho zgodził się z generałem.

- Jednak nie zamierzam oddać miasta z powrotem Brytyjczykom.

- Mamy ze sobą łuki - odezwał się jakiś nowy, nieznajomy głos. - Moglibyśmy podpalić fort.

W ciągu kilku sekund ludzie Mariona obdarli korę z ozdobnych drzew gumowca i owinąwszy nią strzały podpalili je. Upłynęło zaledwie kilka minut, a bramy płonącego fortu otworzyły się i wysypały się z nich dziesiątki postaci, które szybko rozbrojono i wzięto do niewoli.

Sam przyglądała się wszystkiemu z daleka. Była zmęczona i słaba; nie zostało w niej nic z dzikiego zapału sprzed kilku minut. Widziała martwe ciała, płonące budynki, wijących się z bólu ludzi. Czerwona poświata i zapach spalenizny przywodziły na myśl piekło. Wolno, podpierając się strzelbą, wstała i odwróciła plecami. Potrzebowała pomocy. Nie mogła jednak zwrócić się do obozowego lekarza, bo tym razem nie obeszłoby się bez dokładnych oględzin.

Dom Annabelle był niedaleko. Postanowiła udać się tam. Odnalazła swego konia, z trudem wsiadła i ledwo zdając sobie sprawę z tego, co się dokoła dzieje, skierowała się ku ulicy Wiśniowej.

Annabelle i jej dziewczęta stały na ganku, obserwując, jak jaskrawoczerwony blask ognia zlewa się ze spokojnymi barwami pochmurnego poranka. Zaledwie godzinę wcześniej strzały wywoływały tu straszną panikę. Klienci wypadali z pokoi

wciągając spodnie i buty. Klęli i uciekali nie wiedząc, co się dzieje.

Annabelle wystarczyło jedno spojrzenie na jeźdźców pędzących przez ulice miasta, by domyślić się, że to ludzie Mariona. Wysłała służącego na zwiady. Zgromadzone na ganku dziewczęta rozpieszczała radość. Śmiały się i żartowały, gdy do płotu przyczłapał samotny koń, niosący na grzbiecie siedzącego w nienaturalnej pozycji jeźdźca.

Annabelle momentalnie zbiegła po schodach i złapała konia za uzdę. Podniosła głowę i zauważyła poczerwiałą twarz Samantha.

Nie tracąc ani chwili przywołała dziewczęta.

- Evie, Becky, pomóżcie mi. - Razem złapały zsuwającą się z konia Samanthę i wniosły ją do środka.

- Do mojego pokoju - zarządziła Annabelle. Poszła przodem, a tymczasem dwie dziewczyny pomagały Samancie wejść na górę. Nie było to najlepsze rozwiązanie, ale musiała ukryć dziewczynę na wypadek, gdyby ludzie Mariona się wycofali. Annabelle pomogła ułożyć Samanthę na łóżku. Wyprosiła dziewczyny z pokoju. Zdjęła kurtkę Sam i obejrzała ciętą ranę na lewym boku, która bardzo krwawiła, ale nie była poważna.

- Trzeba założyć kilka szwów - powiedziała - ale powinno się szybko zagoić. Poślę po lekarza.

Samantha potrząsnęła głową.

- Wszyscy będą teraz bardzo zajęci. Poza tym nie chcę, żeby generał Marion się dowiedział.

Annabelle przyjrzała się jej.

- Czy Connor jest z tobą?

- Nie... Jest... z Greene'em... Czy mogę tu zostać przez kilka dni?

- Czy nikt nie będzie cię szukał?

- Zamieszanie... jest tyle zamieszania... nikt nie zauważy mojego zniknięcia.

Annabelle przyjrzała się jeszcze raz zdeterminowanej dziewczynie.

- Zakładałam kiedyś szwy... Spróbuję to zrobić sama, jeśli naprawdę tego chcesz.

- Nie powiesz nikomu?

- Connorowi?

- Nikomu!

- Nie możesz się tak bez końca ukrywać. Czy Connor już wie, kim jesteś?

- Wie, że nie jestem chłopcem.

- Ale nie wie o Samancie Chatham - zgađła Annabelle. - Nie będę cię teraz o to pytać - dodała widząc nieszczęśliwą minę dziewczyny.

Ból wrócił i spotęgował się tysiącrotnie, gdy Annabelle najpierw przemyła ranę mydłem, a potem alkoholem. Miała nadzieję, że Samantha straci przytomność; tak się jednak nie stało. Zaczęła zszywać postrzępione brzegi rany. Sam zacisnęła zęby na kawałku materiału. Rękami trzymała się łóżka. Annabelle pomyślała, że nie spotkała nigdy nikogo, kto miałby więcej odwagi i determinacji. Jeszcze bardziej polubiła tę dziewczynę. Kiedy wreszcie skończyła, delikatnie zmyła z twarzy Samantha sady i czarny proch, po czym otuliła ją kołdrą.

- Śpij, małeńka - powiedziała na koniec. - Tu będziesz bezpieczna.

Francis Marion zauważył zniknięcie Sama dopiero późnym wieczorem. Po poddaniu się Brytyjczyków trzeba było wyekspediować na północ setki więźniów, a także zająć się magazynami broni i żywności. Lee i Marion nie zamierzali pozostawać w Georgetown i czekać na reakcję Brytyjczyków; wydano już rozkazy przygotowania do odwrotu.

Billy James pierwszy zauważył zniknięcie Sama. Po podpaleniu fortu i jego kapitulacji szukał swego przyjaciela najpierw wśród rannych, a potem wśród zabitych. Poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Ten i ów widział, jak Sam strzelał, lecz w ogólnym hałasie i zamieszaniu nikt nie zauważył, co się z nim dalej stało. Troska Billy'ego przerodziła się w prawdziwy niepokój i w końcu zebrał się na odwagę, by powiadomić bardzo zajętego Francisa Mariona. Stał z boku z czapką w rękę, aż Marion go zauważył.

Wzrok generała zmiekkł. Lubił tych chłopców, którzy mieli tyle odwagi... którzy przez wojnę stracili dzieciństwo, a mimo to narzekali mniej niż inni.

- O co chodzi, Billy? Chciałeś ze mną rozmawiać?

- Chodzi o Sama, sir. Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Twarz Mariona ściągnęła się. Obiecał Connowi, że zajmie się Samem.

- Ranni... zabici? - Ostatnie słowo wypowiedział ze strachem.

- Nie ma go wśród nich, sir.

- Bogu dzięki - odparł Marion. Pomyślał przez chwilę, że widział Sama niedaleko od siebie. W tej okolicy strzelano z armat. Może Sam jednak został ranny i schronił się w jednym z pobliskich domów. Generał wezwał sierżanta i kazał mu z kilkoma ludźmi przeszukać okolicę. Do licha. Nigdy by sobie nie wybaczył. Connor też by mu nie wybaczył, gdyby coś się stało temu chłopcu.

Kontynuowali poszukiwania do rana. Nie znaleźli nawet śladu Sama Taylora. Jakby zapadł się pod ziemię.

Marion i Lee przygotowywali się do opuszczenia miasta. Pierwsza euforia wywołana zwycięstwem już minęła. Zostawiali tu wielu wartościowych ludzi - zarówno zabitych jak i ciężko rannych. No i Sama... Wyprowadzili ludzi z Georgetown wywożąc proch, broń, lekarstwa i koce. Po raz pierwszy między ludźmi pułkownika Lee i Marioną zapanowała zgoda. Widzieli się nawzajem w akcji i obie strony nabrały do siebie szacunku. Wspólnie opłakiwali też zabitych towarzyszy.



Connor poprawił się w siodle i spojrzął na ciągnące się przez wiele mil szeregi kawalerii i piechoty. Maszerowali od wielu dni niewiele wyprzedzając ścigającego ich Cornwallisa. Byli zmęczeni i głodni, a krótkie chwile odpoczynku przynosiły niewielką ulgę.

Były jednak pewne oznaki świadczące o tym, że udręka ta ma się ku końcowi. Cornwallis był już znużony pościgiem, a jego schludnie umundurowane oddziały zostawały coraz bardziej z tyłu.

Connor zmiął trzymany w ręku kawałek papieru. Nie miał już powodu, by pozostawać z Greene'em. Niebezpieczeństwo minęło przynajmniej na jakiś czas. List zawierał rozkazy od Mariona. Connor miał wracać. Natychmiast.

Westchnął wiedząc, że nie ma wyboru. Milicja stanowiła luźną formację, a w jej szeregach panował ciągły ruch. Jedni przychodzili, drudzy odchodzili zależnie od pory roku, kłopotów rodzinnych czy po prostu kaprysu. Nie dotyczyło to wszakże oficerów. Marion musiał wiedzieć, że ma ludzi, na których może polegać. Connor zdawał sobie sprawę z tego, że wykorzystał łączącą ich przyjaźń. Ta świadomość nie poprawiała mu na-

stroju, podobnie jak fakt, że uciekał przed osobistym problemem. Dotychczas zawsze otwarcie stawiał czoło wszelkim trudnościom. Dlaczego Sam to zmieniała?

Nagle przestał się wahać. Postanowił wracać do Sam. Wiedział, że ją kocha i był pewien, że razem uporają się z jej problemami.

- Wyglądasz, jakbyś był zakochany... Myślałem, że tylko ja cierpię na tę przypadłość.

Connor uniósł głowę i napotkał spojrzenie Denneya Demeresta. Był trochę zły, że przerwano mu rozmyślenia, ale wyznanie przyjaciela rozbawiło go nieco.

- Nie daj jej odejść, Denney. Jeśli kochasz Caroline, walcz o nią - powiedział zdumiewając samego siebie.

Nie miał zamiaru wtrącać się w sprawy Denneya, nagle jednak stało się to dla niego bardzo ważne. Wiedział bowiem, że ta rada dotyczy też jego samego.

- Będziesz cholernym idiotą, jeśli tego nie zrobisz - powtórzył wolno - zanim nie będzie za późno.

Denney przyglądał mu się z konsternacją.

- Czyżby przemawiało przez ciebie doświadczenie?

- Może i tak - odparł Connor. - I zamierzam zrobić coś w tej sprawie. Rano wyjeżdżam; wracam do Mariona.

- Masz tam kogoś?

Twarz Connora złagodniała.

- Tak - powiedział po prostu. - I nie pozwolę

jej odejść... a ty będziesz głupcem, jeśli nie zatrzymasz Caro.

Denney przyglądał mu się ze zdziwieniem. W ciągu ostatnich kilku tygodni Connor pomagał mu spotykać się z Caro, ale nigdy nie zabierał głosu na temat łączących ich stosunków.

- Myślałem, że nie pochwalasz naszego związku.

- Nigdy w życiu - odparł Connor. - Uważałem, że musicie być pewni swych uczuć... ty i Caro. Jeśli nie macie wątpliwości, to nie pozwólcie, by cokolwiek stanęło wam na drodze.

Twarz Denneya rozpromieniła się radością.

- Na Boga, poproszę ją... Pobierzemy się w tajemnicy. I pierworodnemu synowi damy na imię Connor.

- Najpierw ją poproś, Denney. - Connor pochylił się i wyciągnął rękę. - Życzę wam wszystkiego najlepszego.

Po dużej dawce laudanum Samantha przespała całą dobę. Obudziła się oszołomiona, z zaschniętym gardłem. Za każdym razem, gdy się poruszyła, czuła, jakby ktoś uderzał ją w bok dużym kijem. Nie miała ani siły, ani ochoty na nic.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Annabelle.

- Obudziłaś się wreszcie. To dobrze. - Podeszła do stolika przy łóżku i nalała wody do szklanki. - Proszę. Wypij to. Zaraz poproszę, żeby przyniesiono trochę zupy.



- Co z generałem Marionem?

Twarz Annabelle zachmurzyła się.

- Opuścił miasto dziś rano. Chciałam posłać do niego kogoś z wiadomością, że tu jesteś, ale wymogłaś na mnie obietnicę, że tego nie zrobię. To nierozsądne. Wkrótce wrócą Brytyjczycy.

Samantha zamknęła oczy. Znała Mariona na tyle dobrze, by wiedzieć, że będzie się martwił. A Connor? Czy on też się zmartwi? Przecież jest o sto mil stąd z inną kobietą. Ta świadomość była bardziej bolesna niż rana w boku.

Annabelle zauważyła nagłe przygnębienie Samantha i westchnęła. Zadzwoiła na służbę, zamówiła talerz zupy, a potem usiadła obok swej paq'entki.

- Opowiedz mi wszystko - zażądała. - Dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa?

Samantha spojrzała na nią ze łzami w oczach.

- Connor jest zaręczony - powiedziała.

- Zaręczony? - powtórzyła Annabelle zszokowana. - Z kim?

- Z Caroline Demerest. Słyszałaś o niej?

- Demerest? Znam wielu Demerestów. Pełno ich w całym stanie. Ale znam przeważnie mężczyzn. Mówiłaś, że Connor wie, że nie jesteś chłopcem. Jak to się stało?

- To było, kiedy wyjeżdżaliśmy z Georgetown - powiedziała wolno Samantha. - Upadłam, a on mnie złapał i... no...

- I co?

- Kochał się ze mną. I ja też go kochałam. Było cudownie. Nie sądziłam, że istnieje coś tak cu-

downego. - Annabelle poczuła nagle współczucie dla dziewczyny... i dla siebie.

- I co było dalej? - zapytała cicho.

- Connor był bardzo zły, ale potem złamałam rękę i on ją złożył, i znów się kochaliśmy, i było jeszcze wspanialej niż przedtem. - Wyrzuciła to z siebie jednym tchem. - Chciał się ze mną ożenić, ale ja nie mogę... Wiesz, że nie mogę... Z moim nazwiskiem... znienawidziłby mnie, a tego bym nie zniosła... A teraz i tak mnie nienawidzi, bo myśli, że go nie chcę. A ja nie mogę żyć bez niego.

Słowa padały coraz szybciej, a towarzyszące im łzy płynęły prawdziwym strumieniem.

- Och, Annabelle - zawołała z rozpaczą Samantha. - Przeze mnie opuścił Mariona... bo nie mógł znieść mojej obecności, a teraz jest zaręczony-

- Powoli, maleńka. Powoli - uspokajała ją Annabelle. - Skąd wiesz, że jest zaręczony?

- Jeden z ludzi generała Greene'a przywiózł wiadomości dla generała Mariona. Mówił, że wszyscy o tym wiedzą.

- To pewnie plotki - odezwała się spokojnie Annabelle. - Czy Connor powiedział ci, że cię kocha?

Sam nieszczęśliwa skinęła głową.

- W takim razie - rzekła Annabelle pewnym głosem - na twoim miejscu bym się nie martwiła. Connor nie należy do mężczyzn, którzy mówią kobiecie, że ją kochają, a w miesiąc później oświadczają się innej.

Słowa te nie poprawiły samopoczucia Samantha. Z jej oczu polały się nowe łzy.

Annabelle potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co mówić, by nie pogarszać jeszcze sytuacji. Z ulgą powitała przybycie służącej, która przyniosła zupe.

Connor wracał na Snow Island zmęczony i obolały, lecz z lekkim sercem. Wiedział, że wkrótce zobaczy Sam.

Podczas długiej podróży postanowił, że nie będzie wywierał na nią nacisku. Da jej tyle czasu, ile będzie trzeba, by obdarzyła go zaufaniem. Wiedział, że nigdy już nikogo nie pokocha tak mocno. Nie miał zamiaru jej stracić.

Zbliżając się do twierdzy Mariona odniósł wrażenie, że las jest dziwnie pusty. W obozie zastał tylko kilku wartowników. Nie mógł powstrzymać fali rozczarowania, jakie go ogarnęło, gdy nie zauważył nigdzie Sam. Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona.

Zsiadł z konia i podszedł do samotnego sierżanta.

- Majorze O'Neill... Generał czekał na pana.
- Gdzie jest?
- Trzy dni temu razem z pułkownikiem Lee ruszyli na Georgetown... Zostawił mnie tu z trzydziestką ludzi.

Sierżant był wyraźnie niezadowolony z takiej decyzji.

- A Sam Taylor... Gdzie on jest?
- Chyba pojechał z generałem, majorze. Nie widziałem go od ich wyjazdu.

- Niech to wszyscy diabli - zaklął cicho Connor. Dawno nie był tak zły. Marion miał zatrzymać Sam w obozie, a ona obiecała, że zostanie.  
- Do diabła - zaklął jeszcze raz.

Sierżant przypatrywał mu się z zaciekawieniem.

- Powinni w każdej chwili wrócić - powiedział.

W pierwszym momencie Connor chciał ruszać na spotkanie Mariona. Potem jednak oprzytomniał, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie by się z nim rozminął, o ile wcześniej nie padłby z wyczerpania.

- Trochę się prześpię - powiedział. - Obudźcie mnie, jak tylko będą jakieś wiadomości. - Ułożył się pod drzewem i momentalnie zasnął.

Mimo olbrzymiego zmęczenia obudził się, usłyszawszy pierwszy sygnał zwiastujący powrót Mariona. Starał się zapanować nad niepokojem i strachem, które w nim wzbierały. Zauważył Mariona i wiedział, że ten też go dostrzegł. Wyraz twarzy przyjaciela powiedział mu, że jego obawy były uzasadnione. Mimo to rozglądał się dokoła, patrzył w każdą twarz i przyglądał się każdej postaci. Nie znalazł Sam. Wrócił spojrzeniem w stronę Mariona.

Generał powoli zsiadł z konia i z opanowaną twarzą podszedł do Connora. Chwycił go za ramię i odprowadził na bok. W milczeniu szli przez las. Connor chciał zadać pytanie, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. W końcu przełamał strach.

- Co z Samem?

- Nie wiem - odparł Marion cicho. - Po prostu znikł.

- W Georgetown?

- Widziano go, gdy atakowaliśmy fort... Potem znikł. Szukaliśmy go przez całą noc. Nie ma go wśród zabitych i rannych. Przykro mi, Connor. Nie powinienem go zabierać, ale nalegał, a ja obiecałem mu wcześniej, że będzie mógł sam o sobie decydować.

Connor milczał. Nie potrafił zdobyć się na wymówki. Wewnątrz czuł beznadziejną pustkę.

- Sam potrafi zatroszczyć się o siebie - odezwał się Marion. - Wiele razy tego dowiódł.

- Dowiodła - powiedział Connor beznamietnym głosem. - Sam jest dziewczyną i wcale nie jest taka twarda, jak się jej wydaje.

- Co ty wygadujesz? - twarz Mariona zbladła jak kreda.

- Sam Taylor to naprawdę Samara Taylor... Jest bardzo samotna i bezbronna... i niech ją Bóg ma w swej opiece, jeśli dostanie się w ręce Brytyjczyków.

- Od jak dawna Q tym wiesz? - zapytał Marion z gniewem.

- Od czasu, gdy byliśmy w Georgetown.

- I czujesz coś więcej niż braterską troskę?

- Tak - odparł Connor wojowniczym tonem.

- A ona odwzajemnia... to zainteresowanie?

- Tak mi się wydawało - przyznał ucziwie Connor.

- Do diabła - nie wytrzymał Marion. - To nie miejsce na zabawy. Znasz moje zasady i wiesz, że muszę mieć zaufanie do swoich oficerów. Narobiłeś niezłego bigosu.

Wrogość Connora znikła.

- Wiem - powiedział z takim smutkiem, że gniew Mariona też minął. - Myślałem, że tu będzie bezpieczna... Nie miała dokąd pójść. Obiecała, że zostanie w obozie.

Marion nagle zrozumiał wszystko.

- I została - powiedział - do czasu, gdy się dowiedziała, że jesteś zaręczony.

- Zaręczony? - powtórzył Connor osłupiały.

- Pułkownik Lee... mówił, że prawdopodobnie zostaniesz na północy, bo zaręczyłeś się z panną Demerest.

- O mój Boże - rzekł Connor. - To dziewczyna Denneya Demeresta... Jego kuzynka. Pamiętasz go? Był na Wyspie Sullivana. Dotrzymywałem im towarzystwa, bo rodzina sprawiała im kłopoty.

- Niestety - powiedział Marion. - Sam zrozumiała to zupełnie inaczej. To dlatego była taka nieszczęśliwa. - Spojrzał na Connora. - Co o niej wiesz?

- Niewiele więcej niż ty - odpowiedział kwaśno. - Poza tym, że jest o wiele lepiej wykształcona niż nam się wydawało.

- Gdyby coś jej się stało, jak sądzisz, dokąd by poszła?

- Nie wiem. Gdyby została ranna, na pewno nie chciałyby, żeby oglądali ją twoi lekarze. - Na-

gle jego twarz rozjaśniła się. - Annabelle! Tak jest! Musi być u niej.

- Annabelle... Twoja Annabelle?

Connor miał dość przyzwoitości, by się zaczerwienić.

- Zatrzymaliśmy się tam w grudniu... zanim jeszcze poznałem prawdę.

Mimo niepokoju Marion uśmiechną się.

- Musiało to być interesujące.

- Było. I coś mi się wydaje, że Sam zaprzyjaźniła się z Annabelle. Annabelle musiała się zorientować w sytuacji, ale nie pisnęła ani słowa.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że Sam musiała pójść do Annabelle.

- Jadę tam - oświadczył krótko.

- Nie zgadzam się na to. W Georgetown teraz roi się od Brytyjczyków, którzy cię zbyt dobrze znają. Poślę kogoś innego.

- Pojadę nawet bez twego pozwolenia.

- Mógłbym cię aresztować - zagroził Marion z błyskiem gniewu w oczach.

- Mógłbyś - odparł Connor z równą determinacją. - Ale długo byś mnie nie utrzymał. Fran - zaczął prosić - znam Georgetown jak własną kieszeń... Pojadę w przebraniu. Jestem za nią odpowiedzialny... Przeze mnie pojechała z tobą. Muszę ją odnaleźć.

Marion wiedział, że sprzeciw nic nie pomoże.

- Weźmiesz kogoś z sobą? - zapytał wreszcie, przyznając, że przegrał ten spór.

- Wezmę Pata O'Leary.

Marion skinieniem głowy wyraził zgodę. Pat

miął sześćdziesiąt lat, a wyglądał na siedemdziesiąt. Trudno jednak było nawet wśród dwudziestolatków o kogoś równie wytrzymałego. Poza tym O'Leary potrafił znakomicie wtapiać się w tłum. Świetnie udawał zdziecinniałego staruszka. Marion często wysyłał go do opanowanych przez Brytyjczyków miast po informacje.

- Wyruszysz dopiero po zmierzchu - rozkazał generał. - Na drogach jest teraz pełno angielskiego wojska.

Connorowi niezbyt się to spodobało, ale zgodził się. Wiedział, że i tak Marion ułatwił mu zadanie.





W czasie pobytu u Annabelle, Samantha bardzo polubiła starszą od siebie kobietę. Podczas pierwszej wizyty w grudniu odkryła, że Annabelle też kocha Connora. Hojność i współczucie, z jakim pomagała jej - swojej rywalce - były dla Samantha jak lekcja pokory. Nie potrafiłaby się zdobyć na taką miłość i poświęcenie. Najchętniej wydrapałaby oczy Caroline Demerest.

Samantha spędzała czas na jedzeniu, spaniu i rozmowach z Annabelle. Opowiadała jej o swym dzieciństwie, o ojcu, który jej nie kochał, o Connorze, Brenie i wreszcie o wydarzeniach ostatnich tygodni.

Annabelle była doskonałą słuchaczką. Nie zmuszała jej do wyznań, nie osądzała jej, rzadko się odzywała. W głębi duszy była coraz bardziej przekonana, że Connor i Samantha są stworzeni dla siebie.

Tylko raz Annabelle dała się wytrącić z równowagi. Było to wtedy, gdy Samantha zadała pytanie, które od dawna wisiało w powietrzu.

- Dlaczego mi pomagasz? Przecież też go kochasz, prawda?

Było to uczciwie postawione pytanie i wyma-

gało też uczciwej odpowiedzi. Niemniej jednak Annabelle starannie dobierała słowa.

- Opowiedziałas mi o swoim dzieciństwie; teraz ja ci opowiem o moim. Nie wiem, kim byli moi rodzice. Wychowałam się w sierocińcu. Nienawidziłam tego miejsca. Byłam ciągle głodna, a za najmniejsze przewinienia karano mnie biciem. Pewnego dnia jakaś para przyszła po dziecko i wybrali mnie. Byłam taka szczęśliwa. Miałam dziesięć lat i rozpaczliwie chciałam do kogoś należeć.

Jej głos wypełnił się goryczą.

- Ona nie chciała dziecka, to on mnie wybrał. Wykorzystywał mnie od czasu, gdy skończyłam trzynaście lat i zaczęłam stawiać opór. Wtedy zaczął mnie bić. W końcu uciekłam i trafiłam tutaj.

Oczy Annabelle wypełniał bezbrzeżny smutek.

- Miałam dziewiętnaście lat, gdy poznałam Connora. Próbowałam naśladować ludzi szlachetnie urodzonych. Nauczyłam się czytać, pisać i liczyć. Connor miał dopiero piętnaście lat, ale już wtedy był wyjątkowo atrakcyjny i poważny. Kiedyś zauważył u mnie książkę i zaczęliśmy rozmawiać. Potem przynosił mi inne książki i dyskutowaliśmy o nich. Stał się dla mnie kimś w rodzaju nauczyciela. Był... jest... jedyną osobą, która... szanuje we mnie człowieka. Pomógł mi kupić ten dom i powierzył mi swe pieniądze. Dzięki niemu czuję, że jestem coś warta. Zrobię dla niego wszystko.

Tym razem Samantha wystąpiła w roli pocieszycielki. Ścisnęła dłoń Annabelle.

- Jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam.  
Annabelle uśmiechnęła się.

- Mimo łączącej nas przyjaźni i zaufania Connor nigdy mnie nie kochał. A ja nie potrafiłabym go kochać... tak jak ty. Zbyt wiele przeszłam. Jemu potrzebny jest twój śmiech i optymizm.

Uciszyła protesty Samantha.

- Może w tej chwili trudno ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Connor potrafi być bardzo niebezpieczny, gdy walczy za swoją sprawę, ale jest z natury człowiekiem łagodnym. Pragnie pokoju i rodziny. Ty możesz mu to dać.

Samantha zamknęła oczy.

- Jak możesz tak mówić? On uważa, że zabiłam jego brata...

- Myśli tak, bo nikt nie powiedział mu prawdy.

- Ale Caroline Demerest...

- Bzdury! - odparła Annabelle. - Prędzej Tarletonowi wyrosną skrzydła niż w to uwierzę. Jeśli zależy ci na Connorze, musisz o niego walczyć.

Samantha spojrzała na Annabelle i uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że zawsze będziesz moją przyjaciółką... bez względu na to co się stanie.

Annabelle wyszła z pokoju, a słowa Samantha zawisły w powietrzu bez odpowiedzi.

Samantha zjadła smaczny obiad, a później Annabelle obejrzała ranę. Goiła się ładnie i nie było żadnych śladów infekcji. Sam postanowiła wyruszyć następnego ranka, zaraz po godzinie policyjnej. Wiedziała, że Marion niepokoi się o nią.

Tuż przed świtem wstała i zjadła obfite śniadanie. Potem ubrała się w nowe rzeczy dostarczone przez Annabelle. Spojrzała w lustro. Zaczesała włosy do tyłu i związała je kawałkiem rzemyka. Następnie włożyła zniszczoną czapkę farmerską i ubrudziła całą twarz.

Annabelle odprowadziła ją do tylnego wyjścia, gdzie czekała żałośnie wyglądająca, nie osiodłana szkapa.

Gdy Samantha odjeżdżała wąską uliczką z tylnej strony domu, Connor O'Neill i Pat O'Leary wjechali w ulicę Wiśniową. Od wczesnego ranka czekali na otwarcie bram Georgetown. Próbowali trochę się zdrzemnąć w lesie, ale Connor nie mógł zmrużyć oka. Modlił się, by Sam była u Annabelle.

W końcu przyłączyli się do tłumu czekającego na wejście do miasta. Na szczęście przemęczeni wartownicy nie zwrócili uwagi na jednookiego kalekę ze zgrzybiałym staruszkiem.

Zatrzymawszy się przed domem Annabelle, Connor wolno wspiął się na schody. Postanowił w razie czego udawać ojca szukającego córki, która zeszła na złą drogę.

Dom na szczęście był pusty. Zachowując ostrożność wszedł po schodach na górę. W odpowiedzi na jego pukanie drzwi otworzyły się i w progu stanęła zaszokowana Annabelle.

Przecisnął się obok niej do środka i rozejrzał po wnętrzu.

- Czy była tu Sam?

Widząc wyraz jego oczu Annabelle skinęła głową. Z dziwnym zadowoleniem obserwowała jego niepokój i przygnębienie.

- Gdzie ona jest?

- Nie powinieneś się tu pokazywać - powiedziała wreszcie. - Tarleton jest w mieście i jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był tak wścibki.

- Gdzie ona jest, Annabelle?

- Wyjechała niedawno... Wraca do Mariona.

- Dlaczego tu była? - To pytanie było zupełnie nie w stylu Connora, którego znała.

- Została ranna tej nocy, gdy Marion zajął miasto.

- Czy to coś poważnego?

- Powierzchnowa rana cięta... z boku. Straciła trochę krwi, ale przede wszystkim była wyczerpana.

Connor odetchnął z ulgą, w duchu dziękując Bogu za ocalenie Sam.

- Myślałam, że jesteś z Greene'em - Annabelle przerwała tok jego myśli. - Sam mówiła, że się zaręczyłeś.

- To dlatego zachciało jej się bawić w bohatera? - zapytał ze złością.

- Jesteś zaręczony?

- Nie! - krzyknął i Annabelle odczuła ulgę.

- W takim razie odzyskaj ją i wyjaśnij wszystko.

Connor popatrzył na nią, potem odwrócił się na pięcie i zapominając, że miał udawać kulawego, zbiegł po schodach. Sam pewnie dojeżdżała

teraz do głównej bramy... tej samej, którą oni wjechali około pół godziny wcześniej.

- Jest tam? - O'Leary nie wiedział jeszcze, że Sam nie jest chłopcem.

- Wyjechał niecałe pół godziny temu. Powinien dojeżdżać do głównej bramy. Dogonimy go za miastem.

Podniecenie Connora nie uszło uwagi O'Leary'ego. Wydało mu się nieco dziwne, bo choć on sam też lubił chłopca, zachowanie majora zakrawało na przesadę.

Samantha starała się nie rzucać w oczy. Skuliła ramiona, ale i tak wydawało jej się, że wszyscy na nią patrzą.

Koń człapał główną ulicą, na której roiło się od wojska. Bała się jak nigdy dotąd. Wiedziała, że jest zdana wyłącznie na siebie. Jechała ze spuszczoną głową, gdy nagle koń zatrzymał się. Podniosła wzrok i zobaczyła najpierw pięknego ogiera, ubrane w czerwone spodnie nogi, sztywną sylwetkę i wreszcie aż nadto znajomą twarz.

- Sam, prawda? - zapytał na wpół rozbawiony, na wpół groźny głos generała O'Mary.

Samantha spuściła wzrok z powrotem na ziemię. Zabrakło jej słów. Dała się złapać i nic nie mogła na to poradzić.

- Jaką masz sprawę w Georgetown? - czyżby wyczuła nutę współczucia?

- Tato mnie przysłali po lekarstwo - odpowiedziała cicho.

- Nie mieszka przypadkiem na bagnach?  
- głos O'Mary brzmiał teraz ostro, rozbawienie znikło. W przyszłym tygodniu wracał do Anglii. Jego kariera była zrujnowana.

Samantha popatrzyła na niego żałośnie i wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co innego może zrobić.

O'Mara spojrzał na swe nadgarstki. Nadal nosiły ślady po sznurach. Przypomniawszy sobie, jak Sam wstawił się za nim i jak troskliwie się nim opiekował.

Zjechał na bok.

- Ruszaj do domu, chłopcze - powiedział. Po-tem uśmiechnął się łagodnie, ze smutkiem. - Niedługo zobaczę moich synów... Mam nadzieję, że nigdy nie będą musieli tak daleko jechać po lekarstwo dla mnie. - Odjechał przekonany, że jest bezpieczna, ale nie zauważył innego oficera, który bacznie im się przyglądał.

William Foxworth był kompletnie sfrustrowany. Jego kariera utknęła w martwym punkcie, a Samantha Chatham jakby się zapadła pod ziemię. Był pewien, że nawet jej ojciec nie zna miejsca pobytu dziewczyny. Jego nadzieje na fortunę Chathama spełzły na niczym.

Doprowadzało go to do wściekłości. Nade wszystko drażnił go fakt, że jakaś kobieta ośmieliła się odrzucić jego względy i propozycję małżeństwa. Przeklęta dziwka! Oprócz tego dręczyło go dziwne przeczucie dotyczące chłopca na złotym koniu. To niemożliwe, myślał, żadna kobieta

nie poszłyby na wojnę, nie przystałyby do bandy Mariona... Zwłaszcza kobieta z takim wychowaniem jak Samantha.

Oczywiście słyszał plotki o niej i chłopaku O'Neillów. Nie miało to jednak większego znaczenia. Zależało mu głównie na majątku, choć w skrytości ducha pragnął też Samantha, jej ciemnych włosów i sarkastycznych niebieskich oczu. Chciał ją poskromić; pokazać jej, kto jest panem. Sama myśl o niej sprawiała, że wrzała w nim krew.

Foxworth został wysłany na inspekcję wart, co uważał za zadanie poniżej swej godności. Myśl o Samancie też nie poprawiała mu nastroju.

Wjeżdżając na główną ulicę zobaczył, jak O'Mara zatrzymuje jakiegoś chłopaka na koniu. Wiedział, że generał jest w niełasce i ma zostać odesłany do domu. Jakieś przeczucie kazało mu ich obserwować. Na twarzy generała malował się dziwny wyraz. Foxworth bliżej przyjrzał się chłopcu i nagle tknęło go przeczucie. Nawet z miejsca, w którym stał, widział zaskakująco niebieskie oczy chłopca przesłonięte zsuniętą na czoło czapką. Ruszył naprzód, ale po chwili postanowił zaczekać i zobaczyć, co będzie dalej. Gdy O'Mara znikł z pola widzenia, Foxworth pojechał za chłopcem do głównego posterunku przy wyjeździe z miasta. Wolno zbliżył się, słuchając wymiany zdań z wartownikiem.

Uwaga chłopca skupiona była na wartowniku, któremu opowiadał coś o chorym ojcu i lekarstwie. Potem jego oczy napotkały wzrok Foxwortha i rozszerzyły się mimowolnie. Głos



zamarł na chwilę i w tym momencie Foxworth wiedział, że wszystkie jego podejrzenia były uzasadnione.

- Ja się tym zajmę - zwrócił się do wartownika.

Oczy miał zimne niczym lód, a usta okrutnie zaciśnięte.

- Zsiadaj - rzucił krótko. Gdy Samantha się zawahała, ściągnął ją z konia na ziemię, a potem zaczął ciągnąć za sobą do swej kwatery.

Connor i O'Leary przybyli w samą porę, by zobaczyć, jak Foxworth wlecze za sobą Samanthę. Connor natychmiast go rozpoznał i doszedł do wniosku, że Anglik musiał poznać chłopca, który pamiętnego dnia na plantacji oddał tak celny strzał. Mimo przebrania Foxworth mógł rozpoznać także i jego.

- Co robimy, majorze? - zapytał O'Leary.

- Jedziemy za nimi. Zobaczymy, co się stanie.

Foxworth zabrał Samanthę do domu należącego niegdyś do wigów. Bez słowa, nie zważając na spojrzenia mieszkających z nim kolegów, powłókł ją na górę do dużego pokoju. Zamknął drzwi i odwrócił się w stronę przestraszonej dziewczyny.

Uśmiechnął się drwiąco, studiując dokładnie rysy jej twarzy. Zdjął jej czapkę i pieszczotliwie dotknął krótkich włosów.

- Taka szkoda, Samantho. Nie powinnaś była tego robić.

- Nie wiem, o czym mówicie - nie dawała za wygraną, choć nogi uginały się pod nią ze strachu.

Foxworth zaczął rozpinąć jej kurtkę, a potem koszulę. Jego wzrok zatrzymał się na opasce przewiązującej piersi Samantha.

- Nie wiesz, co? - zadrwił. - A co powiesz na to? - rozwiązał supeł i wyciągnął rękę do oswobodzonych nagle piersi.

Próbowała się wyrwać, ale złapał ją. Mokra warga Foxworth dotknęła jej własnych. Udała, że mu ulega i otworzyła usta. Gdy tylko poczuła między zębami jego język, zacisnęła je i z satysfakcją poczuła smak krwi.

- Niech cię diabli - warknął odsuwając się od niej. Uniósł rękę i uderzył ją w twarz z taką siłą, że aż poleciała na drugi koniec pokoju.

Tym razem czuła, jak jej własna krew kapie z rozciętej wargi.

- Pożałujesz tego, diabolic - powiedział szukając chusteczki do nosa.

Samantha popatrzyła na niego z nienawiścią i pogardą.

Mimo brudu i farby na twarzy, prostego ubrania i krótkich włosów nadal była fascynująca. Foxworth poczuł przypływ podziwu i pożądania.

Samantha cofnęła się.

- To pech, że nie udało ci się zmienić oczu - kontynuował. - Poznałbym je wszędzie... Nawet tamtego dnia na plantacji Garrisona. Gdzie nauczyłaś się tak strzelać? - mówił niemalże konwersacyjnym tonem, ale Samantha nie dała się zwieść pozorom. Wiedziała, że Foxworth został wtedy upokorzony, a teraz szuka zemsty.

Znów zbliżył się do Samantha, rozkoszując się strachem, jaki widział w jej oczach. Wyciągnął rękę i zaczął gładzić jej twarz, ale w jego dotyku nie było delikatności. Wzdrygnęła się, co wywołało u niego nową falę złości.

- Czy dobrze się bawiłaś z tymi ciemnymi zbirami z lasu? Wolisz ich łóżko od mojego?

Odzyskała nagle odwagę.

- Tak - odparła. - Zdecydowanie... Dlatego właśnie uciekłam.

Drugi cios był znacznie silniejszy od pierwszego. Upadła na podłogę, ale nadal patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach.

Foxworth starał się opanować. Nigdy wcześniej nie uderzył kobiety, a teraz zrobił to aż dwukrotnie. Dziewczyna zamiast strachu, nienawiści czy uległości okazywała mu zimną pogardę.

Odwrócił się usiłując pozbierać myśli. Planował ponownie jej się oświadczyć, ale teraz było to niemożliwe. Z drugiej strony nie mógł pozwolić, by uszło jej to na sucho. Znów powrócił myślami do plantacji Garrisona i tego wyjątkowego strzału. Bez wątplenia uratowała życie temu majorowi. Może jednak do czegoś się przyda. Nagroda za Connora O'Neilla była prawie tak wysoka, jak za Mariona. Przy odrobinie szczęścia złapie ich obu razem. Samantha będzie atrakcyjną przynętą. Gdyby udało mu się schwytać Lisa z Bagien, nie mogliby mu odmówić awansu. Musi jednak dokonać tego sam, jedynie z grupką oddanych mu ludzi.

Samancie nie podobał się wyraz twarzy Foxwortha. Najpierw był wściekły, potem wydawało się, że się nad czymś zastanawia i wreszcie przybrał maskę złośliwej satysfakcji. Widząc, że zmierza w jej kierunku, cofnęła się pod ścianę. On jednak zatrzymał się przy łóżku i podarł prześcieradło na pasy. Potem podszedł do niej. Związał jej ręce i zakneblował usta. Mimo protestów Samantha ponownie przewiązał jej piersi; nie miał zamiaru narażać się na niewygodne pytania. Na koniec wcisnął jej na głowę czapkę i otworzywszy drzwi wyprowadził dziewczynę na schody. Pytające spojrzenia napotkanych po drodze oficerów skwitował żartem:

- Jeden z maruderów Mariona o niewyparzonej gębie... Nie mogłem już tego słuchać.

Na dole polecił jednemu z żołnierzy odszukać sierżanta i pięciu innych ludzi, których nazwiska wymienił. Kazał też osiodłać osiem koni. Gdy wszyscy się zjawili, wsadził Samanthę na konia i sam też dosiadł swego wierzchowca. Mała grupa doskonale uzbrojonych żołnierzy bezzwłocznie ruszyła ku bramie prowadzącej poza miasto.

Connor i Patrick obserwowali ich odjazd ukryci za kołmi po przeciwnej stronie ulicy. Tylko przelotnie widzieli Sam, ale Connor zauważył jej zakrwawioną twarz. Wprawiło go to we wściekłość. Bezradnie zacisnął pięści. W mieście pełnym wojska nie było żadnej możliwości, aby przyjść jej z pomocą.

Nie rozumiał tylko, dlaczego Sam - nawet jeśli

ją zdemaskowano - nie została oddana odpowiednim władzom i dlatego wyjeżdża z miasta otoczona taką eskortą.

Ośmiu jeźdźców minęło strażę i skierowało się na zachód. Connor kolejny raz w ciągu ostatniej godziny zacisnął popręg i dosiadł konia. O'Leary poszedł za jego przykładem. Obaj ponownie wcielili się w swe role i dołączyli do tłumu opuszczającego miasto.

Connor dziękował Bogu za to, że na drodze panował duży ruch i bez trudu mogli obserwować jadących nieco z przodu żołnierzy. Nadal nie pojmował zamiarów Foxwortha. To dziwne, że zainteresował się tak drobną zdobyczą, nawet jeśli zorientował się co do płci Sam. A może o to właśnie chodziło? Może chciał ją wykorzystać? Na tę myśl Connorowi zrobiło się niedobrze. Ale po co w takim razie brałby ze sobą tylu żołnierzy? Pytania kołatały się w jego głowie. Na żadne z nich nie umiał znaleźć odpowiedzi.

W końcu O'Leary domyślił się celu ich podróży. Ruch na drodze zelżał i musieli trzymać się coraz bardziej z tyłu. Bystre oczy O'Leary'ego dojrzały fragment czerwonego munduru znikający między drzewami. Kiedy dojechali do tego miejsca na drodze, zobaczyli niemalże niewidoczną ścieżkę prowadzącą przez nieprzebyte las.

- Jadą na wyspę Beakersów - powiedział Pat O'Leary z wyraźnym wstrętem.

Connor jęknął wiedząc, że O'Leary ma rację. Przed wojną Beakersowie byli rzezimieszkami, którzy terroryzowali okolicę, ukrywając się na małej

wysepcie otoczonej wodą i bagnami. Budzili powszechny strach i nawet przedstawiciele prawa zostawiali ich w spokoju. Wojna nadała im nowy status. Jako torysi znaleźli się pod ochroną Brytyjczyków bezkarnie paląc, grabiąc i mordując.

Niewielu nieproszonych gości powróciło z terytorium Beakersów. Największy problem stanowiły lotne piaski, znajdujące się prawie na całym obszarze i tylko Beakersowie znali jedyną bezpieczną ścieżkę prowadzącą na wyspę.

- Przynajmniej wiemy, gdzie zabierają naszego chłopaczka - zauważył O'Leary.

- Ale nie wiemy, dlaczego - odparł Connor. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem było to, że zakładali na kogoś pułapkę. Tylko na kogo? Poza tym, jaką wartość mógł mieć dla nich zwykły chłopak?

Usłyszeli tętent kopyt i cicho cofnęli się w głąb lasu. Na ścieżce pojawiła się postać w czerwonym mundurze i galopem oddaliła się od nich.

- To znaczy, że zostało ich tylko sześciu - odezwał się O'Leary.

- Tak, ale nie wiemy, ilu jest tam Beakersów.

- Connor nie tracił czasu na zastanawianie się.

- Jedź za nim, Pat i przyciśnij go. Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Potem jedź do Mariona i powiedz mu, jak się sprawy mają.

Stary Irlandczyk przyjrzał się Connorowi.

- Strasznie dużo zachodu, jak dla chłopaka, którego pewnie i tak puszcza.

- To nie chłopak, Pat - odparł wolno Connor.

- To dziewczyna... i nie podoba mi się, że jest tam w towarzystwie Beakersów.

O'Leary wpatrywał się w niego z twarzą coraz bardziej czerwoną z gniewu.

- Niech mnie diabli - wyrzucił z siebie. - I mnie się to nie podoba. Ten czerwony kubrak może już robić rachunek sumienia. - Spiął konia i po chwili już go nie było.

Connor skierował swego wierzchowca w gęsty las. Posuwali się naprzód do czasu, gdy zatrzymały ich nieprzebyte zarośla. Connor zsiadł i zrobił niewielką zagrodę dla konia. Potem zdjął kurtkę i pościął ją na cieniutkie paseczki. Przeciskając się przez zarośla zostawiał za sobą kawałeczki brązowego materiału, które stapały się z ziemią i były niewidoczne dla kogoś, kto nie wiedział, że tam leżą.

Po kilku godzinach wiedział, że uszedł mniej niż pół mili. Dotarł jednak do wody i postanowił odpocząć przy niewielkim rowie. Od wyspy dzieliła go szeroka wstęga rzeki. Robiła wrażenie spokojnej i czystej, ale pozory mogły okazać się złudne. Te wody były równie zdradliwe jak rozlewska otaczające Snow Island.

Connor zauważył ruch na wyspie i domyślił się, że Brytyjczycy rozstawiają strażę w strategicznych punktach terenu. Po jego stronie nie było żadnego wartownika; rzeka stanowiła wystarczające zabezpieczenie. W tym miejscu rozlewała się najszerzej, a woda była lodowata. Bezdenne lotne piaski nie pozwoliłyby żadnemu koniowi przedostać się na drugą stronę.

Bezradny Connor musiał czekać. Marion powinien przybyć przed zapadnięciem zmierzchu. Tymczasem O'Neill zaczął opracowywać plan działania.



Samantha cierpiała okropne katusze. Jazda trwała i wydawało się, że nie ma końca. Dziewczyna wciąż miała zakneblowane usta i dusiła się od kurzu wzbijanego przez kopyta koni. Związane z tyłu ręce zupełnie zdrętwiały z bólu. Bolały ją także nogi, bo strzemiona nie były przystosowane do jej wzrostu i chcąc utrzymać się w siodle musiała ścisnąć konia udami i kolanami. Do tego wszystkiego dochodził ból w boku, gdzie niedawna rana została podrażniona przez Foxwortha.

Samantha nie miała pojęcia, dlaczego Foxworth wywoził ją z Georgetown zamiast oddać władzom lub ojcu. Nie wróżyło to nic dobrego.

Próbowała myśleć o lepszych czasach, tak jak to robił Connor w więzieniu. Skierowała wszystkie myśli ku niemu, przypominając sobie jego uśmiech. Kochała go bardziej niż wydawało jej się to możliwe. Mimo początkowej rezygnacji postanowiła nie poddawać się. Bez względu na to, co z nią zrobią, przechytrzy Foxwortha i ucieknie.

Poruszali się teraz wolniej. Gdy wjechali do lasu, tortury, jakie przeżywała, zwielokrotniły się jeszcze. Próbowała unikać kolczastych krzewów i gałęzi, uderzających w nieosłonięte ciało



i twarz, ale niewiele to pomogło. Wreszcie wyjechali z lasu i zobaczyli przed sobą szerokie pasmo wody. Foxworth zatrzymał się i czekał. Minuty dłużyły się niesamowicie. Samantha zauważyła, że z lasu na drugim brzegu wyszedł brudny, obdarty człowiek i wskazał jakiś odcinek rzeki. Potem znikł i po kilku minutach pojawił się ponownie - tym razem na koniu. Ostrożnie skierował się ku miejscu, które wcześniej pokazywał, i wjechał do wody. Rzeka nie miała tam więcej niż metr głębokości.

Gdy zbliżył się do Foxwortha, rzucił mu szorstko:

- Nie pamiętam, że bym was zapraszał.

Foxworth popatrzył na niego ze wstrętem. Brzydził się tym robactwem, ale w tym momencie nie miał wyboru. Łączył ich wspólny cel - chęć złapania Lisa z Bagien.

- Chcecie Mariona i O'Neilla czy nie?

Oczy mężczyzny zabłyśły nienawiścią. Milicja Mariona pod dowództwem O'Neilla zabiła dwa miesiące wcześniej jego brata.

- Mów dalej - powiedział.

- Myślę, że O'Neill przyjedzie po niego. - Gestem wskazał Samanthę. - A może i Marion się zjawi.

- Po tego szczeniaka? - odparł mężczyzna z pogardą. - Chyba zwariowałaś.

- Ten szczeniak uratował O'Neillowi życie - wyjaśnił. - Sam to widziałem. Dość o nim słyszałem, żeby wiedzieć, że nie pozwoli mu zawisnąć.

Mężczyzna zaczął przyglądać się chłopcu z nowym zainteresowaniem.

- Może masz rację - powiedział.

- Jeśli zjawi się O'Neill, to może przybyć też Marion - kontynuował Foxworth. - Ilu ludzi możesz zorganizować do rana?

- Wystarczającą liczbę.

- Dobrze. Wysłałem już wiadomość do Mariana, proponując wymianę chłopca na O'Neilla. Dałem im czas do rana i wyznaczyłem miejsce o milę stąd.

Twarz mężczyzny zapłonęła gniewem.

- Bez mojej zgody?

- Wiedziałem, że nie zechcesz sprawić zawodu królowi - odparł gładko Foxworth - ani zrezygnować z zemsty. Nie zapominaj, że twoje ułaskawienie zależy od niekwestionowanej lojalności.

Mężczyzna opanował się z widocznym wysiłkiem. Nienawidził aroganckich Brytyjczyków prawie tak samo jak Mariona.

- Chodźcie - powiedział ostro - i uważajcie, żeby nie zboczyć ze ścieżki. Po obu stronach są lotne piaski.

Foxworth skinął głową i zwrócił się do Samanthy z fałszywym uśmiechem.

- Bądź ostrożna, kochanie - powiedział cicho. - Nie chciałbym, żeby coś ci się przytrafiło, zanim powieszę tych przyjaciół.

Wstrzymywała oddech przez cały czas, gdy przepawali się przez rzekę. Pocieszała ją tylko jedna myśl. Foxworth nie wiedział o Samie Tay-

lorze. Był przekonany, że Marion i O'Neill wiedzą, kim ona jest. Biedny Foxworth. Nie przyszło mu nawet do głowy, że nikt, a zwłaszcza Connor, nie kiwnie palcem, by coś zrobić dla Samantha Chatham. Pewnie jeszcze ucieszyłby się z jej śmierci. Poza tym jest w tej chwili daleko. Miała chęć wyśmiać aroganckiego pułkownika. Powstrzymywał ją tylko knebel.

Gdy wreszcie dotarli do prymitywnej chaty, Foxworth ściągnął ją z konia i wepchnął do środka. We wnętrzu zastała niewyobrażalny brud, a unoszący się w powietrzu odór przyprawiał ją o mdłości. Foxworth pchnął ją na brudne legowisko i wyciągnął nóż ze skórzanej pochwy. Skuliła się przy ścianie słysząc jego drwiący śmiech.

- Nic ci nie zrobię... Jeszcze nie teraz. Ale jeśli twoi przyjaciele nie zjawią się do rana, oddam cię Beakersom. Należy im się jakaś nagroda. Najpierw oczywiście sam skorzystam z twych wdzięków. - Zauważył wstręt w jej oczach i znów ogarnęła go wściekłość. - Skoro mogłaś być dziwką Marion, możesz też zabawiać Beakersów.

Przeciął nożem szmaty kneblujące jej usta. Odetchnęła z ulgą, ale zaschnięte gardło paliło ją żywym ogniem i oddałaby wszystko za łyk wody.

- Nie chce ci się pić, Samantha? - zapytał Foxworth obserwując, jak zwilża językiem wargi. - Jeśli poprosisz, to dam ci wody.

Uniosła w górę podbródek, ale nagle pragnienie okazało się silniejsze od niej.

- Proszę...

- Nie dość szczerze, panno Samantho. Chyba należy mi się też pocałunek.

- Nigdy. - Zaciśnięta usta.

Roześmiał się, czerpiąc satysfakcję z jej upokorzenia.

- Jeszcze zmienisz zdanie - zagroził i wyszedł z chaty, zostawiając ją spragnioną i obolałą.

O'Leary nie potrzebował wiele czasu, by dogonić i rozbroić brytyjskiego żołnierza. Niešťczesny szeregowiec poddał się szybko, szczęśliwy, że nie będzie musiał fatygować się na Snow Island i stawać przed obliczem straszliwego Lisa z Bagien.

Jego radość nie trwała jednak długo, bo O'Leary znalazł przy nim złożoną kartkę papieru z jakimś tekstem.

- Co tu jest napisane? - zapytał Irlandczyk, przeklinając fakt, że nie umie czytać.

- To do Lisa z Bagien - wymamrotał więzień z przerażeniem.\*- Nie wiem, o co tam chodzi.

- W takim razie będziemy musieli zawieźć list do adresata, prawda? - rzekł O'Leary jowialnym tonem, obserwując, jak krew odpływa z twarzy Brytyjczyka.

Gdy dotarli do Pee Dee, zawiązał więźniowi oczy i krętymi ścieżkami poprowadził go do obozu Mariona. Na miejscu szybko odszukał dowódcę.

- Co z Connorem? - zapytał Fran Marion.

- Jest na wyspie Beakersów. Złapali Sama Taylora i pojechaliśmy tam za nimi... Ten wytworny

dżentelmen jechał do ciebie. Mówi, że ma wiadomość.

Marion wziął do ręki kawałek papieru, ale nim zabrał się do czytania, dobiegło go pytanie zgnębionego Pata O'Leary.

- Connor mówi, że Sam Taylor to nie chłopak... Czy to możliwe?

Marion spojrzał mu w oczy.

- Obawiam się, że to prawda.

- Musimy tam jechać. Ci Beakersowie są jak jadowite węże... a ten angielski oficer jest jeszcze gorszy. Była cała zakrwawiona... Biedna dziewczyna.

Twarz Mariona stężała, a w oczach pojawił się gniew. Spojrzał na list.

*Do Lisa z Bagien...*

*Złapaliśmy zdrajczynię, Samantha Chatham, i powiesimy ją jutro, o ile nie dostaniemy w zamian innego zdrajcy o równej lub większej wartości, jedyne osoby nadające się do wymiany to samozwańczy generał Francis Marion lub major Connor O'Neill.*

*O ile jeden z wyżej wymienionych rebeliantów nie pojawi się jutro o świcie - sam - w oznaczonym na mapie miejscu, Samantha Chatham umrze. Wszelkie próby uwolnienia dziewczyny spowodują jej natychmiastową śmierć.*

List był podpisany przez pułkownika Williama Foxwortha.

Podpisanie listu to drugi błąd Foxwortha, zdecydował Marion. Pierwszym było porwanie

dziewczyny. Fran wiedział, że Anglik działa na własną rękę. Dowództwo brytyjskie nigdy nie zaaprobowałoby powieszenia kobiety. Wywołałoby to zamieszki w całej okolicy.

Raz jeszcze spojrzął na list i nazwisko. Samantha Chatham. A więc Sam Taylor, czyli Samara Taylor, była naprawdę córką największego wroga Connora. To wiele wyjaśniało, zwłaszcza przynębenie dziewczyny. Ona i Connor wpakowali się w niezłe tarapaty.

Kazał zamknąć angielskiego szeregowca w stodole, a następnie polecił pięćdziesięciu ludziom wsiadać na koń.

- Znajdziesz Connora? - zapytał Pata O'Leary, który tylko skinął potakująco głową.

Connor nie zmarnował popołudnia. Po długich poszukiwaniach znalazł zwalone przez burzę drzewo, które nie całkiem jeszcze spróchniało. Dolny fragment pnia doskonale nadawał się do jego celów. Connor usiadł obok, wyjął nóż i wziął się do roboty.

Zapadał już zmierzch, gdy jego praca przyniosła jakiś efekt. Ręce i ramiona omdlewały mu z wysiłku. Usłyszał ciche kroki i natychmiast otoczyli go ludzie Mariona.

Connor wdał się w rozmowę z Franem, podczas gdy inni zastąpili go przy kłodzie drewna, pracując nad rozpoczętą dłubanką. Marion powiedział mu o liście, opuszczając informację o tożsamości Samantha. Connor z kolei zapoznał go ze swym planem. Chciał wykonać prowizoryczny prom z lin i kłody drewna i przeprowadzić

około dziesięciu ludzi na drugą stronę. Zajęliby chatę Beakersów i uwolnili Sam, a tymczasem reszta przygotowałaby zasadzkę na Brytyjczyków czekających na Mariona lub Connora.

Przed północą dłubanka była gotowa i została spuszczone na wodę. Zawiazane wokół kłody liny miały działać na zasadzie prowizorycznego bloku. Leżący w środku pasażer nie mógł wykonywać żadnych ruchów; kłoda musiała przypominać kawałek dryfującego drewna.

Connor pożyczył od towarzyszy zapasowe ubranie i włożył je do dłubanki. Potem wszedł do lodowatej wody i nie wypuszczając z rąk kłody zaczął płynąć popychając ją przed sobą.

Nigdy w życiu nie było mu tak zimno. Gdy dotarł na drugi brzeg, był zbyt wyczerpany i skostniały, by odczuwać jakąkolwiek radość z dokonanego wyczynu. Wolno wyczołgał się na brzeg, dopiero po pewnym czasie odzyskując pełną władzę w rękach i nogach.

Przebrał się w suchą odzież i szybko zabrał się do mocowania lin. Huknął cicho niczym sowa i poczuł szarpnięcie liny. Kłoda wróciła na drugi brzeg. Po godzinie dziesięciu ochotników było już na wyspie. Mieli zaatakować chatę tuż przed świtem, gdy większość Brytyjczyków będzie czekała na swą ofiarę w innym miejscu.

Powoli nadchodził świt. Ludzie Connora zbliżyli się do chaty, ale pozostali w ukryciu. Na zewnątrz było dwóch wartowników.

Connor dał znak dwóm ludziom, by zajęli się jednym wartownikiem, a sam bezszelestnie zbli-

żył się *do* drugiego. *Przyłożył* mu nóż do gardła i zapytał szeptem:

- Kto jest w środku?  
- Tylko więzień. - Głos żołnierza drżał ze strachu.

- Jeśli kłamiesz, nie odejdziesz stąd żywy.  
- Przysięgam... nikogo innego tam nie ma. Cały trząśł się z przerażenia.

Connor wreszcie mu uwierzył. Uderzył mężczyzną pistoletem w głowę. Ten upadł na ziemię nieprzytomny. Connor otworzył drzwi chaty.

Serce ścisnęło mu się z bólu. Sam siedziała na brudnym legowisku. Oczy miała na wpół przymknięte na skutek licznych uderzeń, ukąszeń i wyczerpania. Policzek był posiniaczony i pocięty, a usta obrzmiałe. Jej odzież pokrywała zakrzepła krew. Kiedy jednak go zobaczyła, obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem, jaki w życiu widziała.

Szybko przeciął sznury krępujące ręce i otoczył ją ramionami.

- Dzięki Bogu - szepnął. - Dzięki Bogu, że żyjesz.

Samancie wydawało się, że śni. Connor był przecież daleko stąd. To pewnie majaki.

- Connor?

Delikatnie uniósł palcem jej podbródek.

- Tak, kochanie... to ja.

Nagle odzyskała trzeźwość umysłu.

- Connor... Musisz uciekać... To pułapka.

- Uspokój się, maleńka - powiedział. - Wiemy o tym. Ale to Foxworth zostanie złapany. - Je-



go głos stwardniał. - Zabiję go. Na Boga, jeśli Marion tego nie zrobi, to ja się tym zajmę.

- Generał Marion?

- Tak. W tej chwili powinni już ich mieć.

- Znow skupił swą uwagę na niej. - Nie zrobili ci krzywdy?

- Nie... Foxworth powiedział, że nie chce sobie plamić rąk resztkami po Marionie. Ale chciał mnie oddać Beakersom.

Usta Connora dotknęły jej czoła z czułością. Przechyliła głowę i sięgnęła wargami jego ust.

Zaczęła się w niej budzić nadzieja. Wiedziała, że w liście do Mariona wymieniono nazwisko Samantha Chatham. Czy Connor o tym wie? Nie chciała pytać. Nie chciała, by czar prysł. Wtuliła się głębiej w jego ramiona.

Connor tulił ją w objęciach, czując, że bardzo tego potrzebuje. Była cała poraniona i posiniaczona. Siedzieli tak razem, gdy do chaty weszło kilku mężczyzn, którzy następnie szybko cofnęli się zakłopotani. W końcu wszedł sierżant z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Wszystko zabezpieczone, majorze - powiedział. - Więźniowie są związani, a przy brodzie na rzece rozstawiłem warty. - Następnie zwrócił się do Samantha. - Bardzo się cieszę, że panienkę widzę.

Samantha uśmiechnęła się lekko.

- Nadal mam na imię Sam - powiedziała. - I chyba to ja bardziej się ucieszyłam na wasz widok.

Sierżant pochylił głowę. W towarzystwie Sama czuł się swobodnie, ale nie bardzo wiedział,

jak ma się zachować wobec dziewczyny, którą Sam się okazał. Wymknął się na zewnątrz.

Connor zajął jej w oczy.

- Dlaczego, u diabła, pojechałaś do Georgetown? Chyba mi obiecałaś...

To nagłe pytanie sprowadziło ją na ziemię. Nie wspomniał nic o Samancie Chatham. Czyżby nadal nie wiedział?

- Myślałam - zaczęła się bronić - że nie wrócisz... że nie obchodzi cię, co robię, że jesteś...

- Zaręczony - dokończył ze znużeniem. - Nie byłem i nie jestem zaręczony.

- Ale...

- Chodziło o mego przyjaciela. Był zakochany w kuzynce, a rodzina tego nie pochwałała. Pomagałem im się spotykać.

- Nie jesteś zaręczony? - jej głos był cichy, pełen niewiary. Tyle udręki bez powodu.

- Jakże bym mógł - odparł łagodnie - skoro kocham cię?

- Bez względu na wszystko? - zapytała ostrożnie.

- Nawet wtedy, gdy uciekasz i pakujesz się w tarapaty - odpowiedział z czułością.

Nawet jeśli noszę nazwisko Chatham? - zapytała w duchu.

- Czy widziałeś list od pułkownika Foxwortha?

- Nie. Jechałem za wami z Georgetown. Kiedy się okazało, że nie wróciłaś z Franem, pojechałem cię szukać. Rozminęliśmy się, a potem zauważyłem, jak Foxworth cię zatrzymał.

Westchnęła rozczarowana. A więc nie wiedział.

Nie przebaczył jej. Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Nic - poza tym, że potrzebowała go jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Oparła głowę na jego piersi i w milczeniu czekali.

Godzinę później jeden z ludzi przybiegł po Connora.

- Jeźdźcy, sir - powiedział. - To chyba generał.

Connor delikatnie ułożył Sam na posłaniu i szybko wyszedł. Wsiadł na konia i pogalopował w kierunku brodu. On jeden znał miejsce bezpiecznej przeprawy. Idąc za wskazówkami Connora, Marion wkrótce znalazł się na wyspie.

- Co z Foxworthem? - zapytał O'Neill krótko.

- Nie żyje. Tak samo Beakersowie. A co z Sam?

- Jest posiniaczona i obolała, ale poza tym wszystko w porządku - odparł Connor. - Foxworth obiecał ją Beakersom.

- Nikt nie będzie za nimi płakał - rzekł Marion. - Za tym pułkownikiem również. Jestem pewien, że działał na własną rękę. Ciekaw jestem, dlaczego. Sam nic ci nie mówiła?

- Mówiła bardzo mało.

Czoło Mariona nagle się zachmurzyło.

- Może jechać konno?

Nagle u boku Connora pojawiła się Samantha. Kiwnęła głową, po czym bacznie wpatrzyła się w Mariona.

- Dziękuję - powiedziała cicho, a generał wiedział, że nie chodziło tylko o wydostanie jej z niewoli.

- Później porozmawiamy - powiedział ostrzegawczym tonem.



Nigdy wcześniej Samantha nie była tak rozpieszczana. Marion oddał jej do dyspozycji swoją chatę i zapewnił stałą opiekę lekarską. Oprócz tego bez przerwy ktoś ją odwiedzał, a wielu gości przynosiło drobne upominki. Ludzie z brygady Mariona lubili i szanowali Sama Taylora, ale gdy okazało się, że jest kobietą, ich podziw i ciekawość nie miały granic.

Któregoś dnia odwiedził ją Billy James. Na jego twarzy malowały się duma i zakłopotanie. Sam był jego przyjacielem i stanowiło to powód do dumy. Ale z drugiej strony fakt, że dzielili razem namiot, stał się teraz bardzo niewygodny. Wszyscy z niego kpili, że nie potrafi odróżnić kobiety od mężczyzny.

Billy uśmiechnął się lekko.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział po prostu i Samantha wiedziała, że mówił szczerze.

- Niezbyt się popisałam - przyznała Sam kwaśno. - Po pierwsze, nie powinnam była w ogóle jechać, a potem niepotrzebnie się od ciebie oddaliłam. Gdybym została z tobą, na pewno nic by mi się nie stało - dodała łagodnym głosem.

Twarz Billy'ego rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Będiesz dalej moim przyjacielem?

- Zawsze - odparła również uśmiechając się.  
- Opiekowałem się twoim koniem.  
- Wiem. Major O'Neill mi mówił. Powiedział też, że świetnie sobie radzisz. Dziękuję.

Billy spowaźniał.

- Twój koń już zna mnie, ale tęskni za tobą...  
Ciagle cię szuka.

- Spróbuję ją dziś odwiedzić - odpowiedziała Samantha.

- Nic z tego - odezwał się jakiś głos od strony drzwi. Oboje zdziwieni odwrócili głowy.

Na widok Francisa Mariona, Billy wstał z szacunkiem.

- Zostaniesz tutaj - powiedział generał - dopóki lekarz nie pozwoli ci wychodzić.

Sam ogarnęło przerażenie. Była tu od dwóch dni i dopiero teraz Marion przyszedł ją odwiedzić. Nadszedł czas rozrachunku.

Instykt jej nie zawiódł. Marion zwrócił się do Billy'ego:

- Chcę zamienić z Sam kilka słów na osobności.

Billy szybko wyszedł zamykając za sobą drzwi.

- Nazywasz się Samantha Chatham - rzekł Marion.

Skinęła głową ze smutkiem.

- Znałaś wcześniej Foxwortha?

- Tak - odparła cicho. - Ojciec chciał, żebym za niego wyszła. Dlatego uciekłam.

- Ale dlaczego do nas? Dlaczego nie schroniłaś się u przyjaciół? - pytał Marion.

- Nie miałam przyjaciół - odpowiedziała.

- Nie miałam dokąd pójść. Po śmierci Brendana wszyscy się ode mnie odwrócili. Nienawidziłam ojca za to, co zrobił - mówiła dalej twardym głosem - nie tylko z Brenem, ale z pozostałymi O'Neillami i innymi sąsiadami. Chciałam coś zrobić. Wiedziałam, że Hector panu pomaga, więc zaczęłam zbierać dla niego informacje. Dlatego wszyscy myśleli, że poślubię Foxwortha... Kiedy ojciec zaczął nalegać, musiałam opuścić dom. Nienawidziłam Foxwortha.

Powiedziała to z taką gwałtownością, że Marion aż drgnął. Coraz więcej zaczynał rozumieć, a jego współczucie rosło.

- Czy ktoś wie, kim jesteś lub gdzie jesteś?

- Tylko Hector... i Foxworth, ale on chyba nikomu nie powiedział. Chciał mnie wykorzystać do własnych celów. Do zemsty.

- Domyśliłem się tego - rzekł Marion. - I co dalej? Nie możesz tego wiecznie utrzymywać w tajemnicy.

- Wiem - odparła z desperacją. - Nie chciałam, by tak się ułożyło z Connorem. Ale znalazłam go w jaskini i zakochałam się. Próbowałam się trzymać od niego z daleka, ale nie potrafiłam.

- Wzrokiem błagała go o zrozumienie. Marion czuł jej ból we własnym sercu.

- On też cię kocha. To zupełnie oczywiste. Nie możesz mu teraz powiedzieć?

- Próbowałam - odparła - ale za każdym razem coś przypominało mu o Robercie Chathamie i znów pojawiała się nienawiść. Nie tracę nadziei, że z czasem osłabnie.

- Chyba niewłaściwie oceniasz Connora - powiedział Marion. - Gdyby wiedział o wszystkim...

- Nie - odrzekła tym razem stanowczo. - Zniosę wszystko oprócz jego nienawiści. Może z czasem...

Marion westchnął. Ten problem nie miał łatwego rozwiązania. Generał stał zarówno po stronie Connora, jak i Samantha. W czasie tej rozmowy jeszcze bardziej ją polubił. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety równie zdecydowanej, równie gotowej do poświęceń.

- Nie powie mu pan? Chciałabym sama to zrobić, gdy nadejdzie odpowiednia pora - prosiła go.

- Nie wiem - odparł uczciwie. - Connor jest moim przyjacielem. Ma prawo wiedzieć, nim sprawy zajdą za daleko.

- Miesiąc - powiedziała. - Proszę dać mi miesiąc. Potem znajdę jakiś sposób.

Spojrzał w oczy Sam i nie potrafił jej odmówić. Ona i Connor byli lojalni, inteligentni i odważni. Nie wątpił w ich miłość. Byłaby z nich doskonała para. Gdyby tylko potrafili pokonać tę dzielącą ich barierę.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Jeden miesiąc.

- Czy mogę tu zostać? - zapytała cicho.  
Uśmiechnął się.

- Nie lubię łamać własnych zasad, ale w twoim przypadku chyba zaryzykuję. Trochę za późno na stwierdzenie, że się nie nadajesz. Ale pamiętaj,

tak jak inni, będziesz miała obowiązki. W obozie. To była twoja ostatnia akcja. Zrozumiano?

W ciągu tygodni, jakie nadeszły, Samantha była szczęśliwa jak nigdy przedtem.

Oddział pułkownika Lee wrócił do generała Greene'a, a w obozie Mariona wszystko toczyło się po staremu. Wiosna przyszła wcześniej. Słońce znów delikatnie całowało ziemię obsypując las mgiełką jasnej zieleni. Ptaki śpiewały coraz radośniej. Wszędzie widać było nowe życie.

Po raz pierwszy od kilku lat pojawiła się też nadzieja na rychłe zakończenie wojny. Samantha cieszyła się tym, ale najwięcej radości dawały jej chwile spędzane z Connorem.

Connor pamiętał o swym postanowieniu, by nie naciskać Sam, a jej ostatnia przygoda uświadomiła mu jeszcze dobitniej, jak bardzo ją kocha. Teraz, po trzech tygodniach od powrotu do obozu, Samantha niezbyt przypominała chłopaka, który pięć miesięcy wcześniej chciał przyłączyć się do oddziału Marion. Jej włosy urosły i okalały teraz drobną czarującą twarz. Przybrała też na wadze. Ciemnoniebieskie oczy migotały setkami drobnych iskerek, a policzki zaróżowiły się częściowo od słońca, a częściowo ze szczęścia. Miała w sobie więcej życia niż ktokolwiek inny. Dzięki niej Connor też czuł, że żyje. Po raz pierwszy w życiu śmiał się bez powodu i cieszył każdą minutą.

Gdy Sam wróciła do zdrowia, chodzili na długie spacery lub siedzieli i godzinami rozmawiali.



Teraz, kiedy wszyscy wiedzieli, że Sam jest dziewczyną, podziwiali ją i szanowali. Znali surowe zasady moralne generała i nie chcieli nadużywać jego zaufania.

Co za udręka, myślała Samantha. Cała płonęła za każdym razem, gdy Connor ją dotykał. Uwielbiała jego wysmukłe, twarde ciało. Kryła się w nim subtelna, niemalże nieświadoma gwałtowność, biorąca się z lat spędzonych na wojnie. Ale poznała też spokojną, łagodną stronę jego natury, a kombinacja tych dwóch cech była urzekająca.

Siedzieli nad rzeką i Connor odsunął się od Samanthy, czując narastające podniecenie. Jeszcze chwila i nie potrafiłby się opanować. Chciał się z nią ożenić, ale nic nie wskazywało, że zmieniła zdanie, a on bał się naciskać. Już raz o mało jej przez to nie stracił. Poczeka. Uśmiechnął się na myśl o wspólnym życiu z Sam.

Samantha zauważyła jego uśmiech. Wydał jej się tak smutny, że miała chęć płakać. Tylko że wypłakała już wszystkie łzy. Został jej jeszcze tydzień na podjęcie decyzji. Mogła mu powiedzieć i zaryzykować wszystko. Albo nic nie mówić i zrezygnować ze wszystkiego. Kiepski wybór.

Poza tym musiała też wziąć pod uwagę pewien nowy aspekt sprawy. Czuła się dziwnie, jakby jej ciało na zawsze się zmieniło. Od jakiegoś czasu nie miała miesiączki, ale początkowo się tym nie przejmowała. Od czasu śmierci Brena, gdy niemalże się zagłodziła, miesiączkowała bardzo nieregularnie.

Teraz jednak przerwa była zbyt długa. Myśl

o dziecku Connora przerażała ją i uszczęśliwiała zarazem. Przynajmniej będzie miała małą wersję Connora, którą będzie mogła kochać bez żadnych obaw. Jeśli Connor ją odepchnie, jakoś sobie poradzi. Jest silna i wykształcona; znajdzie jakiś sposób. Nikt nie odbierze jej dziecka, pomyślała z zawziętością.

Connor obserwował grę uczuć na jej twarzy. Niektóre rozpoznawał; inne były mu obce. Tak bardzo pragnął poznać jej myśli. Nagle wyciągnął rękę, a ona nieświadomie chwyciła ją.

Po oczach Connora poznała, że jego panowanie nad sobą dobiegło kresu. Potykając się szli głębiej w las, jak najdalej od obozu. Wreszcie znaleźli miejsce, jakiego szukali - prawie niewidoczny staw ukryty wśród porośniętych mchem dębów i gęstych zarośli. Connor oczyścił kawałek ziemi nad stawem, gdzie pierwsze wiosenne kwiaty wodne wychylały się do słońca.

Tym razem ich połączenie było niepodobne do poprzednich. W ciągu ubiegłego miesiąca myśleli, że utracili siebie na zawsze. Nadal nie mogli uwierzyć w to, że znów są razem. Dotykali się niezwykle delikatnie i czule rozkoszując się wzajemną bliskością. Każdy dotyk stawał się zmysłowy, poruszający i czarowny ponad wszelkie obrażenie.

Connor nie wiedział, ile czasu minęło. Usiadł i popatrzył na nią, upajając się każdym szczegółem ukochanych rysów... każdą okągłością jej ciała. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na brzuchu Samantha, a dłoń odkryła jego nową krą-

głość. Na twarzy Connora pojawiło się pytanie, lecz nie doczekawszy się odpowiedzi odsunął je od siebie. To niemożliwe, przecież powiedziałyby mu o tym. Po prostu wraca do zdrowia.

Powoli ubrali się i znów usiedli. Oboje obawiali się odezwać, by nie zniszczyć zadowolenia, jakie przez chwilę dzielili.

Wreszcie Samantha przerwała ciszę.

- Jak myślisz - zapytała z wahaniem - czy po wojnie znów będziemy mogli żyć razem... to znaczy: torysi i wigowie.

- Francis jest przekonany, że tak - odparł Connor.

- A ty? Czy potrafisz zapomnieć o wszystkim? Przebaczyć?

Twarz Connora zmieniła się w twardą maskę.

- Niektórym - tak, innym - nie. Nie spocznę, dopóki Chatham nie zapłaci za krzywdy wyrządzone mojej rodzinie. Ślubowałam to ojcu. On i jego rodzina nie ujdą sprawiedliwości.

Miała swą odpowiedź. Uświadomiła sobie, że Connor nigdy nie zrezygnuje z zemsty na jej ojcu... i na niej. Zostało jej tylko jedno wyjście: musi odejść.

Wielkim wysiłkiem woli zdobyła się na lekki ton.

- Będą nas szukać - powiedziała.

- Chciałbym tu zostać na zawsze - odpowiedział Connor rozleniwionym tonem. Złapał jej rękę i podniósł do ust.

- Kocham cię, Sam. Chcę spędzić z tobą resztę życia.

Śmiało przyjęła jego spojrzenie.

- Ja też cię kocham.

Samantha wiedziała, że nic nie będzie mogła zrobić do czasu następnej akcji. Marion i Connor nieustannie ją obserwowali. Czas mijał, a potrzeba ucieczki stawała się coraz bardziej nagląca. Był ostatni dzień terminu wyznaczonego przez Mariona.

Musiała opuścić te strony. Była tu zbyt dobrze znana. Jedynym rozwiązaniem był wyjazd na północ, na przykład do Bostonu. Mogłaby tam udawać wdowę i dostać posadę guwernantki lub nauczycielki. Najpierw jednak musiała zdobyć pieniądze na podróż i wiedziała, że jest na to tylko jeden sposób. Musi sprzedać Sundance.

Sama myśl sprawiała jej ból, ale tyle już przecierpiała, że wiedziała, iż zniesie i to. Postanowiła raz jeszcze udać się do Annabelle. Nie przyjęłaby od niej pieniędzy, ale mogła sprzedać jej konia.

Plan Samantha był gotowy i czekała tylko na stosowną okazję. Doglądała koni unikając Connora, który i tak był zajęty. W wolnych chwilach jeździła po lesie, jakby żegnając się z Sundance.

Nie była pewna, czy los jej sprzyja, gdy Marion ogłosił przygotowania do akcji.

Żegnając się z Connorem była nienaturalnie spokojna. Connor przypisał to faktowi, że prawdopodobnie chciała jechać z nimi. Pochylił się i pocałował ją, nieświadom rozbawionych i zazdrosnych spojrzeń towarzyszy.

- Wrócę jutro, około południa - powiedział. -

Chyba powinniśmy porozmawiać. - Próbował to zrobić w ciągu ostatnich dwóch dni, ale ciągle mu umykała. Nie otrzymał odpowiedzi. Na twarzy Samantha nie było uśmiechu i nagle tknęło go złe przeczucie. Próbował znaleźć jakieś wytłumaczenie w jej oczach, ale bez powodzenia. Chyba coś mu się wydawało...

- Majorze O'Neill!

Głos Mariona był kategoryczny i Connor niechętnie odwrócił się od Samantha. Nadal czuł, że coś jest nie w porządku.

Tylko garstka ludzi została w obozie. Billy pojechał z Marionem, z czego Samantha bardzo się cieszyła, bo chłopak ciągle się przy niej kręcił.

Pokręciła się trochę przy koniach, a potem zjadła kolację. Na niebie świecił księżyc w pełni, co uznała za dobry znak. Mógł oświetlić jej drogę przez bagna. Zresztą znała je już na tyle dobrze, by nie mieć żadnych kłopotów. Jedyne problemy mogli stanowić wartownicy, ale przywykli już do jej samotnych wypraw i wiedzieli, że jest dobrym jeźdźcem.

Osiadła wolno Sundance i po raz ostatni spojrzała na obóz, gdzie zaznała tyle radości, bólu i przyjaźni. Gdzie po raz pierwszy od wielu lat czuła się komuś potrzebna. Dosiadła konia i pożegnała się w duchu ze Snow Island.



Drogę ze Snow Island do Georgetown znała już prawie na pamięć. Była to jej trzecia podróż w tamtą stronę w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Trzecia i najtrudniejsza.

Z niechęcią myślała o kolejnych odwiedzinach u Annabelle i wykorzystywaniu jej przyjaźni. Nie miała jednak wyjścia. Musiała zapewnić Sundance bezpieczne schronienie. Poza tym nie miała pieniędzy.

Zbliżając się do Georgetown zatrzymała się i jeszcze raz przyjrzała się sobie. Włosy były zbyt długie, ale ukryła je pod obszerną czapką. Płaszcz dokładnie okrywał całe ciało i doskonale maskował płęć. W jednej z kieszeni miała przygotowaną wcześniej kartkę podpisaną przez Roberta Chathama. Stwierdzała ona, że posiadający ją chłopak ma dostarczyć konia nowemu właścicielowi.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wjechała na ruchliwą drogę do miasta. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, a wartownik przy bramie leniwym gestem kazał jej jechać dalej. Teraz czekało ją najtrudniejsze zadanie. Rozmowa z Annabelle.

Samantha podjechała do stajni na tyłach domu

Annabelle i oddała Sundance pod opiekę stajennego. Potem tylnym wejściem wśliznęła się do środka.

Przywołana przez służącą Annabelle patrzyła na nią zdumiona.

- Samantha? - powiedziała wreszcie pytającym tonem. - Jesteś sama?

Skinęła głową.

- O co chodzi? Czy coś się stało Connorowi?

- Nie - odpowiedziała cicho. - Nie zabawię długo. Mam konia, którego może zechcesz kupić.

- Konia?

- Sundance - wyjaśniła łamiącym się głosem.

- To najpiękniejsza klacz na świecie.

- Ale dlaczego? - zapytała Annabelle.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparła już mocniejszym głosem. - Potrzebuję pieniędzy, a Sundance jest warta swej ceny. Czy zajmiesz się nią?

- Jeżeli czegoś ci potrzeba...

- Nie - odpowiedziała i Annabelle zrozumiała, że nie zmieni zdania. - Jeśli jej nie chcesz, znajdę kogoś innego. Przyszłam najpierw do ciebie, bo wiem, że traktowałabyś ją dobrze, ale zamierzam ją sprzedać... - jej głos brzmiał twardo i nieustępliwie.

- Dobrze - zgodziła się Annabelle. - Obejrzą ją. Zostań tutaj i zjedz coś. I, na miłość boską, zdejmij ten okropny płaszcz.

Sundance zachwyciła Annabelle, która nigdy nie widziała równie pięknej i doskonale utrzymanej klaczy.

- Chodź do mojego gabinetu - zwróciła się do

Samanthy. - Może mi powiesz, o co tu chodzi?  
- zapytała, gdy usiadły.

- Znużyło mnie mieszkanie w lesie - powiedziała Samantha. - Dość mam towarzystwa żołnierzy i chodzenia w łachmanach. W Nowym Jorku mam przyjaciół i postanowiłam ich odwiedzić.

- A co z Connorem?

Samantha spuściła wzrok.

- On nigdy nie zapomni o tym, co stało się z Brendanem. Lepiej dla nas obojga, że się rozstajemy.

- Więc on o tym wie... że wyjeżdżasz?

- Oczywiście - skłamała.

Annabelle nie wierzyła w ani jedno słowo, choć Samantha wyglądała jak uosobienie niewinności.

Otworzyła sejf i odliczyła dużą kwotę w monetach, które podała Samancie.

- Wystarczy? - zapytała.

Oczy Sam rozszerzyły się na widok tak wielkiej sumy. Zaczęła protestować, ale szybko się rozmyśliła. Skinęła głową.

- Zjesz ze mną śniadanie?

Chciała odmówić, ale stwierdziła, że jest głodna. Poza tym dyliżans do Bostonu odjeżdżał dopiero po południu; wałęsanie się po ulicach nie miało sensu.

- Zaraz wracam - powiedziała Annabelle i poszła do stajni. - Zack - zwróciła się do stajennego - przyprowadź swojego przyjaciela... Johna, czy jak mu tam... powiedz, że mam dla



niego zajęcie. Chcę, żeby śledził chłopca, który przyproceedził konia. Chcę wiedzieć, dokąd pójdzie. Zrozumiałaś? Pośpiesz się - dodała. - Chyba uda mi się go tu zatrzymać przez godzinę.

Annabelle wróciła do Sam. Dziewczyna nadal siedziała w okropnym płaszczu, ale Annabelle nie miała zamiaru sprzeczać się z nią o to. Zamówiła posiłek i usiadła.

- Wybierasz się do Nowego Jorku w tym stroju? - zapytała uśmiechając się.

Samantha zaczerwieniła się. Aż za dobrze wiedziała, jak wygląda.

- Planowałam kupić sukienkę w Georgetown i przebrać się gdzieś po drodze.

- Connor nadal nie wie, kim jesteś?

- Nie - przyznała uczciwie. - Ale rozmawiałam z nim kilka dni temu... o tym, co będzie po wojnie... czy potrafi zapomnieć... Powiedział, że nie... że nigdy nie przebaczy Chathamom. Lepiej będzie, jeśli wyjadę.

Annabelle milczała. Zastanawiała się, czy Samantha nie ma racji. Doskonale znała Connora i jego obsesję na punkcie Roberta Chathama.

Nie było łatwego wyjścia z tej sytuacji, ale przynajmniej będzie wiedziała, dokąd dziewczyna się uda. Zatrzymała ją tak długo, jak to było możliwe, w końcu jednak musiała pozwolić jej odejść. Z zadowoleniem zauważyła cień wysuwający się ze stajni i podążający za Samantha. Gdyby poczekała jeszcze chwilę, zauważyłaby jeszcze dwie inne postacie idące za nim.

Samantha najpierw udała się do biura dyliżan-

su, gdzie kupiła bilet do Bostonu. Poinformowano ją, że dyliżans odjeżdża o piątej, ale często bywa opóźniony ze względu na ciągłe postoje i kontrole.

Następnie skierowała się do sklepu z sukienkami. Jej przybycie nie wzbudziło entuzjazmu. Dopiero gdy wyjęła portmonetkę, właścicielka zaczęła traktować ją z fałszywą uprzejmością. Samantha wybrała prostą bawełnianą sukienkę, która powinna mniej więcej na nią pasować. Robiło się późno i znów była głodna. Kupiła kilka ciastek w pobliskiej herbaciarni i wróciła na stację dyliżansów.

Connor O'Neill był wściekły. Wrócił na Snow Island wcześniej, gnany potrzebą rozmowy z Sam i dowiedział się o jej ucieczce. Wartownicy jej nie zatrzymywali, bo nie mieli takiego rozkazu. Obawiający się o jej bezpieczeństwo sierżant posłał za nią człowieka, ale ten jeszcze nie wrócił. Udała się w stronę Georgetown.

Connor szybko wcielił się znów w postać jednookiego weterana, zmienił konia i zostawiwszy krótką wiadomość dla Marion, ponownie ruszył w drogę. Niech ją licho porwie, myślał, ją i tę całą zagadkę. Sam była niczym żywe srebro. Im bardziej starał się ją zatrzymać, tym częściej mu się wymykała. Bezskutecznie szukał powodów, choć prześladowała go pewna myśl. Ciało Samantha tak bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Podobnie jak wtedy w lesie zastanawiał się, czy to tylko efekt dobrego odżywiania się.

Kilka mil przed Georgetown nagle wyskoczył na niego jakiś koń. Wierzchowiec Connora wspiął się na tylne nogi i trzeba było trochę czasu, by się uspokoił. Connor natychmiast rozpoznał wartownika od Mariona - tego, który pojechał za Sam.

- Pojechałeś za nią?

- Tak... Najpierw poszła do panny Annabelle, a potem na stację dyliżansów. Kupiła bilet do Bostonu.

- I zostawiłeś ją tam! - głos Connora brzmiał oskarży cielsko.

Człowiek westchnął. Zrobił wszystko, co było w jego mocy.

- Majorze - powiedział - mam brata w Georgetown, który jest teraz tam, gdzie ona. Obiecał mieć ją na oku.

- O której odjeżdża dyliżans?

- Mówią, że o piątej... ale zawsze jest opóźniony. Brat zostanie tam do odjazdu... - Connor nie słuchał dalej. Galopem ruszył w stronę Georgetown.

Samantha przechadzała się z niecierpliwością. Każda minuta była niebezpieczna. Wokół stacji kręciło się wielu żołnierzy brytyjskich. Kiedy kolejny raz zapytała o godzinę odjazdu dyliżansu, odpowiedzią było wzruszenie ramion. Opadła na krzesło i siedziała, niepocieszona, z brodą opartą na kołnierzu coraz bardziej niewygodnego płaszcza.

W takiej pozycji zastał ją Connor.

Oczy miała zamknięte, lecz wyczuła jego obecność.

Nie miała czasu, by się zastanowić. Connor złapał ją szorstko za rękę i zaczął ciągnąć za sobą. Zwolnił kroku dopiero, gdy oboje usłyszeli krótkie wezwanie:

- Stać!

Samantha zatrzęsa się cała, gdy Connor nagle stanął w miejscu. Usłyszała jego głos. Był zupełnie niepodobny do tego, który znała. Wysoki, płaczący i służalczy.

- Sir - zawodził - proszę o wybaczenie, sir...

- Co robisz z tym chłopcem? - zapytał chłodny głos.

- To zbiegły służący, sir... Ledwo go złapałem. A dałem za niego niezły grosz.

Rzuciła szybkie spojrzenie w górę. Stał przed nią angielski oficer.

- Czy to prawda, chłopcze? - zapytał.

Wolno skinęła głową.

- W takim razie ruszajcie dalej - powiedział i znów poczuła gwałtowne szarpnięcie. Musiała biec, by dotrzymać kroku Connorowi.

Wreszcie przybyli do jakiegoś domu. Potulnie weszła za Connorem po schodach na ganek i czekała w milczeniu, gdy tymczasem on dzwonił do drzwi. Otworzył im czarny służący, któremu Connor podał jakiś list i oboje zostali wpuszczeni do środka. Dopiero wtedy ją puścił. Zaczęła rozglądać się dokoła, ale po chwili Connor znów pociągnął ją za sobą, tym razem do salonu, i posadził na krześle.

Unikała jego wzroku, ale złapał jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Był wściekły i nie próbował tego kryć.

- Boston - odezwał się wreszcie. - Dlaczego Boston?

- Skąd...?

- Czy naprawdę sądziłaś, że Fran pozwoli ci tak po prostu odejść? Za dużo wiesz, by mógł pozwolić sobie na taką lekkomyślność.

Tego nie wzięła pod uwagę.

- Nie zdradziłabym go - powiedziała cicho.

- A mnie byś zdradziła? - zapytał z goryczą.

- Nie - zawołała. - Nigdy.

- Co w takim razie wyrabiasz? Znikasz bez słowa nie zostawiwszy nawet listu. - Mówił zimnym tonem, a lewe oko obejmowało ją jeszcze zimniejszym spojrzeniem. Opaska nadal przesłaniała prawe oko, co nadawało mu groźny wygląd.

Samantha jedynie złożyła dłonie i spuściła głowę, jeszcze bardziej wyprowadzając go z równowagi.

- Zdejmij ten przeklęty płaszcz - powiedział.

Wiedząc, że nie ma wyjścia, posłusznie wykonała polecenie. Connor zdjął opaskę z oka i zaczął jej się dokładnie przyglądać, zatrzymując w końcu wzrok na jej pogrubiałej talii.

- Czy spodziewasz się dziecka? - jego głos złagodniał.

Spojrzała na niego i nie potrzebował już dodatkowej odpowiedzi. Rozpacz w jej oczach sprawiła, że opuściła go cała złość.

- Dlaczego nie mogłaś mi o tym powiedzieć?

Czy nie wiesz, jak bardzo się z tego cieszę? Jak bardzo chcę cię poślubić?

Nie mogła znieść jego błyszczących oczu, pełnego zadowolenia uśmiechu.

- Czas jest nieodpowiedni - zawołała. - Wszystko jest nie tak.

Uciszył ją kładąc palec na jej ustach.

- Nie - powiedział. - Wszystko jest w porządku. Rano weźmiemy ślub. On - Connor uśmiechnął się szeroko - lub ona musi mieć nazwisko.

- Jeśli tego chcesz - odparła niemal bezbarwnym tonem.

Uradowany jej odpowiedzią Connor nie zauważył pełnej smutku rezygnacji, jaka kryła się w głosie Samantha. Pochylił się i pocałował ją z czułością. Opanowała go euforia i roześmiał się szczęśliwy, że wreszcie Sam będzie z nim na zawsze.

- Zjemy dziś wykwintną kolację - powiedział - ale - znów się roześmiał - najpierw musimy się wykapać.

Potem wyszedł i słyszała, jak głośnym, uszczęśliwionym głosem wydaje polecenia. Zadrżała, wiedząc, że wpadła we własne sidła. Connor nie pozwoli jej odejść, chyba że powie mu kim jest, a na to nie potrafiła się zdobyć. Małżeństwo i tak nie będzie ważne, bo nie użyje swego nazwiska. W ten sposób Connor pozostanie wolny i nie będzie do końca życia związany z Chathamami. A dziś wieczorem będą szczęśliwi. Myśl o ramionach Connora wydała jej się nagle nieodparta.

Kiedy wrócił, nastrój Samantha był prawie tak radosny jak jego własny. Porwał ją w górę i okręcił dokoła, a potem zaniósł na piętro, gdzie przygotowywano już kąpiel. Posadził ją na olbrzymim łożu, a ona rozejrzała się szybko po pokoju.

- Należy do przyjaciela - wyjaśnił. - Denneya Demeresta... Zaprosił mnie, bym się tu zatrzymywał, kiedy będę w mieście.

- Ale Brytyjczycy...

- Dom jest zapisany na nazwisko kuzyna... spokojnego człowieka - powiedział. - Denney ma mnóstwo kuzynów i kuzynek - dodał z błyskiem w oku - łącznie z pewną Caroline, w której jest bardzo zakochany.

- Twoją Caroline?

- To było tylko pobożne życzenie jej rodziców - roześmiał się Connor. - Nie chcą, żeby wyszła za Denneya.

- Ale dlaczego, skoro się kochają?

- Bo są kuzynami i choć ja uważam, że nie stanowi to problemu, ich rodziny są odmiennego zdania.

- Uważam, że jeśli się kochają, to powinni się pobrać - powiedziała zdecydowanym tonem. Znała wiele przypadków małżeństw między kuzynami.

Connor uniósł brew i przyglądał jej się, zdumiony.

- Zaczynałem już nabierać przekonania, że masz coś przeciwko małżeństwu... Długo musiałem starać się o twoją rękę.

Z ulgą powitała nadejście dwojga służących,

którzy przynieśli wielkie wiadra parującej wody. Napełnili nią miedzianą wannę.

- Kąpiel - przypomniała mu, a Connor zabrał się do rozpinania jej koszuli. Wolno rozbierał Samanthę, pochłaniając ją oczami, aż wreszcie jej piękne ciało wyłoniło się z okrywającego je brzydkiego kokonu. Dotyk dłoni Connora przesuwających się z czułością po jej skórze rozniecił w żyłach Sam ogień, który sprawił, że zapomniała zupełnie o kąpeli. Sięgnęła po odzież Connora z niecierpliwością szarpiąc guziki. Wreszcie uwolniła go i oboje upadli na łóżko śmiejąc się i szepcząc, aż porwał ich prąd o niezmierną głębi. Nie liczyło się już nic poza pragnieniem wzajemnej bliskości i szaloną euforią ich połączenia...

Później baraszkowali niczym dzieci w letniej już wodzie. Do rzeczywistości przywołało ich pukanie do drzwi.

- Nie zdążyłam cię jeszcze umyć - szepnęła Samantha z szelmowskim błyskiem w oku.

Connor przypomniał sobie, jak ostatnio mocno tarła mu skórę i przestraszony szybko wyskoczył z wanny.

Nieśmiałe pukanie powtórzyło się i Connor odezwał się:

- Tak?

- Kolacja gotowa, proszę pana.

- Zaraz zejdziemy - obiecał Connor.

Nagle poczuli, jak bardzo są głodni i nie tracąc czasu zaczęli się ubierać. Samantha włożyła kucypioną niedawno sukienkę; po raz pierwszy Con-



nor widział ją w stroju innym niż noszone przez nią dotąd bezkształtne łąchmany. Patrzył zafascynowany na prostą niebieską sukienkę opinającą pełne piersi i wciąż cienką talię dziewczyny. Nie musiał nic mówić; Samancie wystarczył wyraz jego oczu.

Kolacja była wspaniała. Służba postarała się o świeżego kurczaka; były też kluski i gorący sos, a na deser jeszcze ciepła szarlotka. Zjedli wszystko, ciesząc się faktem, że po raz pierwszy spożywali cywilizowany posiłek siedząc razem przy stole. Gdy wreszcie zaspokoili głód, siedzieli przy świetle świec rozkoszując się swym towarzystwem. Potem Connor wstał i bez słowa podszedł do jej krzesła. Trzymając się za ręce poszli do sypialni; tym razem rozbierali się bez pośpiechu. Samantha wtuliła się w objęcia Connora i oboje zasnęli.

Obudziwszy się następnego ranka znów się kochali... wolno, niemalże leniwie. Potem Connor usiadł i tonem nie znoszącym sprzeciwu oświadczył, że tego dnia się pobiorą.

- Ale zapowiedzi... - zaprotestowała.

Uciszył ją pocałunkiem.

- Znam kogoś - powiedział. - Często nam pomagał, a ja dawałem mu pieniądze dla potrzebujących. Zrozumie i nie będzie się upierał przy formalnościach.

- Ale...

- Żadnego ale - powiedział. - Potem będziesz mogła tutaj zostać. Skontaktuję się z Denneyem. - Gestem uciszył jej protesty. - Tu będzie-

cie bardziej bezpieczni... ty i dziecko. Zostawię ci dość pieniędzy, ale gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, możesz skontaktować się z Annabelle.

- Chcę...

- Wiem, ale to wykluczone. Snow Island, długie godziny w siodle i przypadkowi lekarze - to nie dla ciebie. - Przestał się uśmiechać. - Jeśli nie myślisz o sobie, to pomyśl o dziecku. Wiem, że będzie ci ciężko, ale postaram się odwiedzać cię jak najczęściej.

- Chcę być z tobą!

- Nie dalej jak wczoraj uciekałaś ode mnie - przypomniał jej uśmiechając się niewyraźnie.

- To było wczoraj.

Connor był nieugięty.

- Masz mi obiecać, Sam, że zostaniesz tutaj i nie będziesz podejmować żadnego ryzyka. Pozwolisz Cecilowi robić zakupy, a jeśli będziesz potrzebowała towarzystwa, pošlesz po Annabelle. Obiecuj, Sam.

- Będę się tu czuła jak w więzieniu - zaprotestowała.

- To już nie potrwa długo. Wkrótce zajmiemy Georgetown, ale chcę, żebyś do tego czasu była bezpieczna.

Samantha milczała i w końcu uznał brak dalszych protestów za zgodę. Poprosił ją, by włożyła sukienkę, ponieważ wkrótce wróci z pastorem.

- A ty? - zapytała. - Nie jestem pewna, czy mam ochotę wychodzić za jednookiego, nie ogolonego tyrana ze sztywną nogą.

- Trochę za późno na wytykanie moich wad - roześmiał się. - Żałuję, że nie mogę zaprezentować się korzystniej, ale wolę ten strój od szubienicy.

Samantha zamilkła, uświadamiając sobie nagle wielkość ryzyka, jakie dla niej ponosił. Dotknęła szczeciny na jego twarzy.

- Przynajmniej, kiedy pastor zapyta, czy chcę cię poślubić na dobre i na złe, będę wiedziała, co to znaczy - powiedziała nie mogąc powstrzymać się od żartów.

- Ach, Sam - odparł. - Jesteś dla mnie nieustającą pociechą. Umiesz dać mężczyźnie do zrozumienia, że jest podziwiany. - Złożył drapiący pocałunek na jej policzku. - Wkrótce wracam. Bądź gotowa.

Zgodnie z obietnicą zjawił się niebawem w towarzystwie wielebnego Thomasa Smitha i jego żony, Molly, która miała być świadkiem.

Sama ceremonia była krótka i Samantha niewiele z niej zapamiętała. Nie chciała pamiętać. Nie o takim ślubie zawsze marzyła, a świadomość, że oszukuje Connora, nie poprawiała jej nastroju. Głos O'Neilla brzmiał głośno i pewnie, gdy tymczasem ona mamrotała pod nosem słowa przysięgi małżeńskiej pragnąc zapaść się pod ziemię. Szczęśliwy nastrój poranka rozwiął się, a zastąpiło go przekonanie, że postępuje nikczemnie wobec jedynej osoby na świecie, którą kocha. Gdy Connor pochylił się, by ją pocałować, jej usta były lodowato zimne. Zignorowała jego pytające spojrzenie.

Wypili po kieliszku wina w towarzystwie Smithów, którzy następnie życzyli im wszelkiej pomysłowości i dyplomatycznie wyszli.

Samantha i Connor niemal w milczeniu spożyli lunch. Connor powiedział jej, że musi wyjechać jeszcze tego popołudnia. Na Snow Island lada moment spodziewano się przybycia Henry'ego Lee, a Marion planował dużą kampanię.

- I tak okazał mi wyjątkowo dużo tolerancji. Nie mogę nadużywać jego dobrej woli.

Skinęła głową. Chciała, by został, a jednocześnie pragnęła być sama. Przytłaczało ją pogłębiające się poczucie winy. Każda chwila spędzona z Connorem była udręką; każdy moment z dala od niego - jeszcze większym piekłem.

Connor zauważył zmianę jej nastroju, lecz przypisał to swemu wyjazdowi. Po lunchu wziął ją raz jeszcze w ramiona.

- Niedługo cię odwiedzę. Obiecuję.

Pocałowała go z tak głęboką desperacją, że czuł się wstrząśnięty. Kolejny raz żałował, że tak mało o niej wie. Prześladowający Samanthę koszmar zaczynał dręczyć także i jego.

Nie mógł jednak dłużej zwlekać i delikatnie odsunął ją od siebie. Jeszcze raz szybko ją pocałował i wyszedł.



Gdy Connor dotarł na Snow Island, wszędzie roiło się od zielonych mundurów żołnierzy pułkownika Lee. Szybko skierowano go do głównego budynku, gdzie odbywała się odprawa oficerów. Marion, Lee i ich oficerowie zgromadzili się wokół stołu, na którym rozłożono mapę.

Marion uniósł głowę.

- Jak to miło, majorze O'Neill, że zechciał się pan do nas przyłączyć - powiedział z przekąsem. - Bardzo proszę o pozostanie po odprawie. - Jego wzrok znów padł na mapę, ale Connor wiedział, że rozmowa nie będzie przyjemna.

Ledwie słyszał resztę dyskusji. Mieli zaatakować Fort Watson, a następnie Fort Motte. Kiedy pozostali oficerowie wyszli, Marion kazał mu czekać. Sam wolno zwijał mapę. W końcu spojrzał na niego.

- Czy tym razem masz zamiar z nami pozostać?  
- zapytał niezwykle, jak na niego, ostrym tonem.

Connor czuł się niezręcznie. Wiedział, że źle postąpił jadąc do Georgetown bez pozwolenia czy nawet zawiadomienia Mariona. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że generał nie może skutecznie działać, jeśli jego oficerowie będą znikać bez uprzedzenia.

- Przepraszam - powiedział wreszcie. - To się już nie powtórzy.

- Rozumiem, że odnalazłeś Sam - rzekł Marion. Connor po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Wzięliśmy dziś rano ślub - powiedział.

- Została w Georgetown, w domu Demerestów.

Marion zorientował się, że jego przyjaciel nadal nie wie, kim jest Samantha. Poczł lekkie rozczarowanie. Spodziewał się czegoś więcej po tej dziewczynie.

- Nie pogratulujesz mi? - Connor był zaskoczony. Wiedział, że Fran lubi i szanuje Sam.

- To niezbyt fortunna pora - odparł generał.

- Czy powiedziała, dlaczego zdecydowała się wyjechać?

- Nie - odpowiedział. - Niezupełnie.

Nie był jeszcze gotów, by powiedzieć Franowi o dziecku.

Marion milczał przez chwilę, po czym wyciągnął rękę i mocno ścisnął dłoń Connora.

- Życzę wam szczęścia i powodzenia - powiedział wreszcie.

- Anglicy zajęli Snow Island - powiedziała Annabelle do Samantha.

Siedziały w małym saloniku domu Demerestów. Annabelle miała na sobie skromną brązową suknię, wielką pelerynę i kapelusz zakrywający jej charakterystyczne włosy.

Oczy dziewczyny rozblęły niepokojem, ale Annabelle szybko ją pocieszyła.

- Nikogo tam nie było oprócz kilku wartow-

ników, którym udało się uciec. Ale Marion stracił swe zapasy i chyba to go najbardziej boli.

- Dokąd..,

- Pewnie siedzi gdzieś na tych okropnych bagnach. Podobno ma tam wiele kryjówek, zresztą wiesz o tym lepiej ode mnie.

Sama myśl o tym była przygnębiająca. Żałowała, że nie może wrócić na bagna. Czuła się strasznie samotna i rozpaczliwie tęskniła za Connorem. Od jego wyjazdu minęło sześć tygodni, które ciągnęły się niczym lata. Nie wychodziła na ulicę w obawie, by ktoś jej nie rozpoznał, a poza Annabelle i służbą nie widywała nikogo. Upały panujące w mieście też nie poprawiały jej samopoczucia.

Annabelle przyglądała się jej z wyrozumiałością. Początkowo, gdy dowiedziała się o ich małżeństwie, rozgniewała się. Connor wpadł do niej na chwilę, prosząc o opiekę nad swą świeżo poślubioną żoną. Był tak szczęśliwy, że nie miała serca pytać go o cokolwiek. Natychmiast po jego wyjeździe poszła jednak odwiedzić Samanthę, którą zastała we łzach. W końcu dziewczyna opowiedziała jej wszystko o dziecku i fałszywym małżeństwie.

- Są jeszcze jakieś wiadomości? - zapytała Samantha. - Wiesz coś o Connorze?

Annabelle z uśmiechem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła list.

- Pomyślałam, że będziesz chciała przeczytać go w samotności.

Samantha nie zauważyła nawet, kiedy Annabelle wyszła. Ściskając kopertę prawie pofrunęła

po schodach do sypialni, gdzie najsilniej odczuwała nieobecność Connora. Stała przez chwilę i trzymając list myślała o tym, że kilka godzin temu znajdował się w rękach jej męża.

*Kochana...*

*Pewnie już wiesz, że Brytyjczycy odnaleźli nasz obóz na Snow Island. Straciliśmy tylko zapasy, z czego się bardzo cieszę. Szybko posuwamy się naprzód i wydaje się, że wreszcie los nam sprzyja.*

*Zdobyliśmy Fort Watson, choć oblężenie było długie i ciężkie. Odnieśliśmy zwycięstwo dzięki bardzo sprytnemu żołnierzowi. Zaprojektował wieżę, z której nasi strzelcy mogli mierzyć prosto w głąb fortu. Dowódca fortu poddał się prawie natychmiast, gdy stracił osłonę ścian. Dla Brytyjczyków była to poważna strata, a nas bardzo podniosła na duchu.*

*Chyba się wkrótce zobaczymy... F. się niecierpliwi i kierujemy się w Wasze strony.*

*Uważajcie na siebie... Ty i dziecko. Kocham Was i ciągle o Was myślę.*

C.

Sam czytała list tyle razy, że wkrótce znała go już na pamięć. Wtedy wzięła zapałkę i podpaliła papier patrząc jak zamienia się w popiół.

Samara... Samara... Samara. Connor powtarzał to imię, ale jakoś nigdy nie wydawało mu się prawdziwe. Kochał Sam. Po prostu Sam. Intrygującą, denerwującą, czarującą Sam.

Jakaś kula ze świstem przeleciała mu koło ucha



i zaryła się w ziemię niedaleko miejsca, w którym leżał. Pośpiesznie wycofał się poza zasięg ognia brytyjskich strzelców. Celność ich strzałów znacznie się poprawiła od czasu, gdy Marion i Lee przystąpili trzy dni wcześniej do oblężenia Fortu Motte.

Do licha, trzeba przestać myśleć o Sam. Nie potrafił się przez nią skoncentrować.

Fachowym okiem obrzucił roztaczającą się przed nim scenę. Kierując się impulsem Marion przekazał dowództwo akcji pułkownikowi Lee, który zdecydował się wziąć fort szturmem. Od kilku dni kopali rowy, zbliżając się wolno do silnie ufortyfikowanej twierdzy, gdy tymczasem coraz więcej ludzi padało od brytyjskich kól.

Fort Motte został wzniesiony wokół przestronnego domu należącego do Rebeki Motte. Inżynierowie brytyjscy dodali fosę, szance i silne palisady, a fort-dom okazał się nadspodziewanie trwały. Brytyjski dowódca, porucznik Donald McPherson miał tylko stu czterdziestu żołnierzy i najemników z Hesji. Marion i Lee dysponowali czterystoma ludźmi. Liczby jednak niewiele znaczyły, kiedy Brytyjczyków chroniły ściany fortu, a Amerykanie nie mieli żadnej osłony.

Connor był coraz bardziej sfrustrowany. Wiedział, że Marion niecierpliwi się, bo chce zaatakować Georgetown. Fran miał tam siostrę i sam spędził większą część dzieciństwa w tym mieście. Bardzo zależało mu na tym, by stać się jego wyzwolicielem. Connor czekał na to z równą niecierpliwością, aczkolwiek z nieco innych względów. Jediną przeszkodę stanowił Fort Motte.

Marion był w ponurym nastroju. Jego zwia-  
dowcy natrafili na duże zgrupowanie sił brytyj-  
skich o dwa dni drogi od fortu. Teraz rozumiał,  
dlaczego McPherson tak wytrwale się broni; spo-  
dziewał się posiłków.

Connor słuchał, jak Marion naradza się z puł-  
kownikiem Lee. Jeśli natychmiast nie zdobędą  
fortu, będą zmuszeni się wycofać. Obaj dowódcy  
pamiętali Georgetown i zapalone strzały, które  
zapewniły im zwycięstwo. Tu jednak mieli do  
czynienia z domem prywatnej osoby, a właścici-  
cielka, pani Motte, była lojalną patriotką. Wyrzu-  
cono ją z własnego domu do chaty z drewnia-  
nych bali, w której obecnie mieszkała. Ani Lee,  
ani Marion nie chcieli spalić jej posiadłości.

W końcu udali się po radę do pani Motte.  
Wszyscy trzej z podziwem i zdumieniem patrzy-  
li na wdowę, która wyrzucała im, że nie pomy-  
śleli o tym wcześniej.

Marion kazał przygotować strzały, ale najpierw  
ostrzegł McPhersona, dając mu możliwość pod-  
dania się. McPherson odmówił i w ciągu kilku  
minut dach stanął w płomieniach. Brytyjcy żoł-  
nierze, którzy starali się gasić ogień, zostali na-  
tychmiast wzięci na cel przez strzelców wybor-  
owych Mariona. W ciągu następnych kilku minut  
McPherson się poddał, a złączeni wreszcie  
wspólnym celem Amerykanie i Brytyjczycy za-  
brali się do gaszenia pożaru.

Connor dotarł na dach jako jeden z pierwszych  
i razem z brytyjskim szeregowcem sięgnęli po  
podawane z dołu wiadra z wodą. Pracowali

wspólnie w milczeniu nie zważając na wysoką temperaturę, zdecydowani zapobiec dalszym zniszczeniom.

Gdy było po wszystkim, dom nadal stał, choć perfekcję jego fasady zakłócały otwory wybite przez kule oraz wielka dziura w dachu. Pani Motte ze łzami w oczach patrzyła, jak żołnierze obu armii zabierają się do naprawy zniszczonego dachu.

Marion i Lee zajęci byli rozbieraniem jeńców, gdy podeszła do nich pani Motte.

- Za panów pozwoleniem - powiedziała - chciałabym zaprosić wszystkich oficerów na kolację.

- Będzie nam bardzo miło - odparł Marion z uśmiechem. - Od wielu tygodni nie jedliśmy nic poza soloną wołowiną.

- Miałam na myśli wszystkich oficerów, generale. Także i brytyjskich.

Marion zwrócił się do Lee z błyskiem w oku.

- Co pan na to, pułkowniku?

- Uważam, że pani Motte jest najbardziej wspaniałomyślną damą, jaką miałem przyjemność spotkać w życiu - odparł wytwornie Lee.

- Może ich pani zaprosić.

Francis Marion wkroczył do Georgetown dwudziestego siódmego maja. Lord Rawdon opuścił miasto pozostawiając tylko niewielki garnizon. Na wieść o zbliżaniu się Mariona pozostali Brytyjczycy uciekli na statki, a dwa dni później Amerykanie zajęli miasto.

Wielkie tłumy wyległy na ulice, by powitać

Mariona. W całym Georgetown rozdzwoniły się dzwony, a mieszkańcy i członkowie milicji wiatowali i wznosili okrzyki. Marion skierował się prosto do domu swej siostry, Henrietty.

Connor jadąc na gniadym ogierze przeszukiwał wzrokiem tłum. Wiedział, że w tak doniosłej chwili Sam na pewno nie zostanie w domu. W końcu zauważył ją. Z uśmiechniętą twarzą i błyszczącymi oczami wpatrywała się w niego niczym w obraz. Ostrożnie precyzyjnie przesunął się przez tłum i nie zsiadając z konia z przyjemnością patrzył na nią.

- Pani, robisz się coraz grubsza - powiedział z widoczną dumą i satysfakcją.

- To twoja zasługa - odparła szybko.

Pochylił się i nie zważając na gapiów pocałował ją.

- Widzę, że będę musiał pomyśleć o odszkodowaniu - powiedział ze śmiechem i wyraźnym błyskiem pożądania w oku.

- Będzie bardzo wysokie - odcięła się z podobnym wyrazem twarzy.

Podziwiała, jak się przystojnie prezentował na koniu, z twarzą zbrązowiałą od słońca i szarymi oczami iskrzącymi się ciepłem i śmiechem. Nie mogła już dłużej czekać.

- Jeśli mnie natychmiast nie zabierzesz do domu - powiedziała - to mogę narobić ci wstydu...

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a jego jasne włosy błysnęły w słońcu. Pochylił się i ostrożnie uniósłszy ją w górę, posadził na koniu przed sobą. Jednym ramieniem otoczył jej talię,

a drugą ręką mocno trzymał wodze kierując konia do domu Denneya.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, rzucili się sobie w objęcia.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła. Staneła na palcach i skubała wargami jego usta nie pozwalając mu na odpowiedź.

Connor oparł policzek na jej głowie i otoczywszy ją ciasno ramionami trzymał niczym bezcenny kryształ. Tak bardzo ją kochał!

Samantha wtuliła się w jego ciało na ile tylko pozwalało jej dziecko. Po raz pierwszy czuła się naprawdę bezpieczna. W ciągu minionych tygodni odsunęła na bok swe problemy martwiąc się o bezpieczeństwo Connora. Teraz wiedziała, że wszystko się ułoży. Gdy dziecko się urodzi, powie mu prawdę. Na pewno zrozumie. Teraz jednak przez chwilę czuli się, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

Później, na górze, Samantha położyła jego dłonie na swym brzuchu i Connor po raz pierwszy poczuł ruchy dziecka. Wreszcie uwierzył, że ono naprawdę istnieje. Zalała go fala niezwykłej czułości. Moje dziecko, myślał, moja żona. Tak wielkie szczęście było dla niego czymś zupełnie nowym.

Brygada Francisca Mariona pozostała w Georgetown przez kilka tygodni. Ludzie byli wyczerpani po miesiącach nieprzerwanych walk i potrzebowali czasu, by odpocząć i zebrać siły na czekającą ich długą i ciężką kampanię letnią. Mimo iż po przerwaniu linii zaopatrzeniowych Brytyjczycy wyco-

fali się, między Charlestonem a Orangeburgiem nadal stacjonowały liczne jednostki, które bynajmniej nie miały zamiaru się poddawać.

Dla Sam i Connora był to okres niezwykle szczęśliwy. Każdy dzień stanowił nową przygodę. Connor miał pewne obowiązki i codziennie znikał na kilka godzin, lecz każdy jego powrót był powodem do świętowania.

W połowie trzeciego tygodnia obwieścił, że za dwa dni wyjeżdża. Francis planował nową kampanię. Brytyjczycy nadal utrzymywali się w Charlestonie i Orangeburgu robiąc krótkie wypady w celu zdobycia żywności. Marion miał zamiar położyć kres tym rajdom, do czasu gdy Greene uzupełni swą armię i zaatakuje oba miasta.

Jedli późną kolację wiedząc, że niedługo przyjdzie im się rozstać. Nagle usłyszeli zatrzymujący się przed wejściem frontowym powóz, a w chwilę później zamieszanie przy drzwiach.

Connor natychmiast zerwał się z miejsca i ruszył do drzwi, które otworzyły się z rozmachem.

- O'Neill! - zagrział męski głos, a na progu stanął nienagannie ubrany oficer Armii Kontynentalnej z ładną dziewczyną u boku.

Connor przez chwilę patrzył oszołomiony, potem uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że wreszcie skorzystałeś z mojej rady - serdecznie uściskał Denneya Demeresta.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Jestem ci za nią bardzo wdzięczna. - Stała na palcach i pocałowała Connora.

Gdy oboje odwrócili się, zauważyli uśmiechającą się niepewnie Samanthę.

Connor otoczył ją ramieniem.

- To jest Sam - przedstawił ją z dumą.

Denney uniósł jedną brew.

- Nie przypomina żadnego z Samów, jakich znam.

Connor roześmiał się.

- Wierz mi, że nie przypomina nikogo ze znanych ci osób. Sam, to jest Denney Demerest, z którego gościnności korzystamy, a to Caroline.

Denney stuknął obcasami i ukłonił się.

- Miło mi panią poznać. Kiedy usłyszałem, że Connor się ożenił, wiedziałem, że musi to być ktoś szczególny. Widzę, że się nie pomyliłem.

Samantha zarumieniła się z zadowolenia. Z miejsca polubiła Denneya. Chciała też poznać Caroline, której przez pewien okres zawzięcie nie nawidziła.

- Pobraliście się?

- Trzy tygodnie temu - odparł Denney. - Ale teraz muszę wracać do Greene'a i myślałem... miałem nadzieję, że Caroline będzie mogła tu zostać.

- Oczywiście - odparł Connor. - Jutro rozejrzemy się za jakimś domem.

- Nie o to mi chodziło - rzekł Denney. - Mnie długo nie będzie, a Caroline jest zupełnie sama. Jej rodzina, tak samo jak i moja, jeszcze nie pogodziła się z naszym małżeństwem. Liczyłem na to, że będzie mogła zostać tu z tobą i Sam. Będą sobie dotrzymywać towarzystwa, gdy nas nie będzie.

Samantha uważała, że to świetny pomysł. Podeszła do Caroline i wzięła ją za rękę.

- To wspaniały pomysł. Tak bardzo chciałabym mieć kogoś, z kim mogłabym rozmawiać, gdy Connor wyjedzie. Proszę, powiedz, że się zgadzasz.

- W takim razie wszystko załatwione - powiedział Denney.

Cała czwórka w wesołym nastroju zjadła razem kolację. Samantha przyznała się do tego, że na początku roku szczerze nie cierpiała nieznannej Caroline.

- Gdyby nie Denney - uśmiechnęła się Caroline - być może próbowałabym dać ci powód, choć wątpię, czy by mi się powiodło. Uważam, że jeżeli idzie o mężów, obie mamy doskonały gust.

Śmiech znikł, gdy Denney i Connor rozmawiali o wojnie. Żaden z nich nie oczekiwał jej szybkiego końca, choć szala zwycięstwa zaczynała powoli przechylać się na stronę Amerykanów. W posępnym nastroju rozeszli się do swoich pokoi.

Samantha milczała, zasmucona rozmową o wojnie. Connor znów miał znaleźć się w niebezpieczeństwie, a ona musiała pozostać tutaj.

Dwa dni później obaj mężczyźni wyjechali, a Samantha i Caroline zaczęły czekać. Ich przyjaźń pogłębiała się z dnia na dzień, choć Caroline wyczuła, że coś jest nie tak, jak powinno i zastanawiała się, dlaczego Samantha nie chce mówić o rodzinie i przyjaciółach. Nie chciała jednak wsadzać nosa w nieswoje sprawy i wspierała Sam, jak mogła. Obie szyły ubranka dla dziecka, czytały, rozmawiały i czekały.



Robert Chatham wiedział, że przegrał.

Od wiosny brytyjskie forty padały jeden za drugim. Obecnie Brytyjczycy zostali zepchnięci do Charlestonu. Prawie całą okolicę kontrolowała milicja Południowej Karoliny. Reszta była już tylko kwestią czasu. Nie miał wątpliwości co do tego, że straci plantację i majątki po rebeliantach.

Niektórzy zatwardziali torysi nie chcieli zaakceptować tego, co Chatham uważał za nieuniknione. Powoływali się ciągle na silną armię Cornwallisa w Virginii oraz obecność Henry'ego Clintona w Nowym Jorku.

Chatham wiedział jednak, że to koniec. Armia francuska maszerowała na Virginie, a duża flota płynęła na pomoc Waszyngtonowi. Atakowana ze wszystkich stron Anglia nie miała ani ludzi, ani pieniędzy na dalsze umacnianie swych sił w Ameryce.

Chatham zwołał zebranie okolicznych torysów. Było głośne, pełne gorczy i sporów. Jedni obstawali przy przekonaniu, że Anglia nigdy nie da się pokonać. Inni, między innymi Chatham, wiedzieli, że koniec jest blisko. Niektórzy planowali przenieść się do Kanady lub posiadłości brytyjskich na Karaibach. Duża grupa zdecydowała się

na przyjęcie warunków Amerykanów i pozostanie. Trzecia grupa, do której zaliczał się Chatham, postanowiła walczyć do końca.

Chatham chodził po swoim gabinecie. Ludzie, którzy pozostali przy nim, mieli niewiele do stracenia. Wszyscy byli poszukiwani przez milicję Marion; przez ostatnie trzy lata zabijali, palili i grabili. Po wojnie nie mogli się spodziewać za to nagrody.

Zwłaszcza Chatham wiedział, że nie ma dla niego przyszłości w Karolinach. Przyjdzie czas, że Marion zwróci swą uwagę na torysów z Williamsburga. A Connor O'Neill będzie u jego boku.

Sama myśl o O'Neillach doprowadzała go do wściekłości. To oni byli wszystkiemu winni. Przez nich umarła Elizabeth, a on został upokorzony. Wiedział też, że zniknięcie jego córki było spowodowane śmiercią Brendana. Stracił wszystko. Wszystko. A winni temu byli O'Neillowie.

Chatham nie chciał żyć z hołotą, która będzie po wojnie rządzić tym krajem. Nie miał też ani siły, ani ochoty, by zaczynać wszystko od nowa. Umrze tutaj, w Karolinach... Umrze za króla i to z radością, o ile tylko będzie mógł zabrać ze sobą Connora O'Neilla.

Usiadł za biurkiem i powoli przedstawił swój plan pozostałym...

Francis Marion, zmierzając do szybszego zakończenia bezsensownej wojny, nakłonił gubernatora Południowej Karoliny, Rutledge'a, do wydania proklamacji ułaskawiającej torysów.

Proklamacja stwierdzała, że wszyscy torysi,

poza tymi, którzy podpisali listy gratulacyjne do Clintona i Cornwallisa oraz pracowali dla rządu angielskiego, mogą otrzymać „prawo łaski” pod warunkiem, że stawią się w sztabie amerykańskim lub przed dowódcą dowolnego pułku i wyrażą gotowość służenia krajowi przez sześć miesięcy w szeregach milicji. Niektórzy z torysów pragnący pozostać w Karolinach już to uczynili.

Tę właśnie proklamację zamierzał Chatham wykorzystać jako przynętę.

Connor był przygnębiony i obolały ze zmęczenia. Nie widział Sam od końca lipca, a była już połowa sierpnia. Marion powierzył mu obowiązki łącznika między sobą, Greene'em i generałem Sumterem, niezależnym przywódcą partyzanckim, działającym podobnie jak Fran, jednak bez jego surowych zasad etycznych.

Connor zameldował się właśnie w obozie Mariona koło Monck's Corners, kiedy otrzymał wiadomość. Marion wyjechał na spotkanie z generałem Greene'em, a major John James w milczeniu podał Connorowi list i przyglądał mu się z ciekawością. List nosił pieczęć Roberta Chathama.

Z kamienną twarzą Connor przeczytał krótki tekst. Bez słowa podał go Jamesowi.

- Wierzysz mu? - zapytał ten ostatni.

- Oczywiście, że nie - powiedział Connor.  
- Chatham miałby się poddać? I to właśnie mnie? W imię zakończenia „tej bezsensownej wojny”? Chyba oszalał.

- Ale jeśli to poważna oferta - rozważał James

- przyczyniłaby się do uspokojenia torysów w Williamsburgu. Chatham jest ich przywódcą.

- Robert Chatham nigdy nie zaakceptuje tej proklamacji - powiedział Connor. - On chce tylko mnie samego. I to właśnie dostanie.

John spojrział na przyjaciela. Twarz Connora była twardsza niż kiedykolwiek, oczy zimne, a usta zaciśnięte z determinacją.

- To może być pułapka. Zaczekaj, aż wróci Fran, albo weź z sobą kilku ludzi.

- Nie - odparł Connor. - Za długo na to czekałem. To sprawa między mną a Chathamem.

- Franowi się to nie spodoba.

Connor roześmiał się nieprzyjemnie.

- To nie ma znaczenia - powiedział. - I tak nikt mnie nie powstrzyma. Powiedz Franowi, że postaram się wrócić jak najszybciej.

Connor osiodłał szybko innego konia i w ciągu kilku minut wyjechał z obozu.

Gdy w niecałą godzinę później wrócił Marion, James nerwowo chodził tam i z powrotem. Generał natychmiast kazał siodłać nowe konie i zabrał ze sobą sześciu ludzi. Jego twarz miała bardziej surowy niż zwykle wyraz. W duchu czynił sobie wyrzuty. Prawie na pewno chodziło o pułapkę; jeśli nie, mogło się to skończyć tragedią dla Connora i Sam. Przeklinał się za to, że nie powiedział O'Neillowi, kim jest Sam.

Chatham czekał od dwóch dni. Czterech jego przyjaciół zajęło pozycje w różnych częściach domu i stajni. Piąty obserwował drogę.

On sam robił się coraz bardziej niecierpliwy. Wiedział, że jeśli O'Neill otrzymał wiadomość, to na pewno przybędzie. Przy odrobinie szczęścia może być z nim Marion. W każdym wypadku wyeliminowany byłby poważny wróg korony.

Chatham chodził po pokojach podziwiając ich klasyczną elegancję. Zbudował ten dom trzydzieści lat temu, a obecnie był on jeszcze piękniejszy niż dawniej. Boazeria pociemniała nabierając głębokiej barwy, a importowane z Anglii żyrandole iskrzyły się w słońcu.

Dom był jednak pusty. Pozostały jedynie bolesne wspomnienia o Elizabeth. Elizabeth, która była weselsza i piękniejsza niż jakikolwiek promień słońca.

I Samantha. Dziwił się temu, jak bardzo za nią tęskni. Nigdy nie zwracał na córkę uwagi, ale kiedy znikła, zdał sobie z tego sprawę.

Z bólem zamknął oczy, dostrzegając pustkę swego życia. Nie żał mu było umierać. Zwłaszcza jeśli O'Neill pójdzie za nim. Ta nienawiść trzymała go przy życiu; bez niej byłby zgubiony.

Wrócił na ganek. Stał tam, gdy wreszcie zobaczył zbliżającego się wartownika na spienionym koniu. W chwilę potem wszyscy byli już na ustalonych pozycjach. Jeden człowiek na strychu stodoły, dwóch w sypialniach na górze, dwóch między drzewami.

Chatham wszedł do środka i wyjął pistolet z kasy. Tym samym pistoletem zabił Brendana O'Neilla. Był doskonałym strzelcem.

Włożył pistolet za pas i wyszedł na ganek. Connor O'Neill zbliżał się do domu. Był sam,

Connor poruszał się ostrożnie. Niewiele miał powodów, by szanować honor Chathama. Szybko zlustrował cały teren i zauważył ruch firanek na drugim piętrze. Szósty zmysł ostrzegł go, że dookoła kryli się także i inni. Był głupcem przyjeżdżając tu sam. Zbyt długo jednak odkładał to spotkanie. Przynajmniej, pomyślał, będę miał Chathama. Zsiadł z konia i wziął strzelbę. Za pasem miał zatknięty pistolet.

- Podobno chcesz uzyskać ułaskawienie, Chatham - powiedział zimnym tonem.

- Tak myślisz? - roześmiał się Chatham.

- Nie - odparł spokojnie Connor. - Ale chcę dostać ciebie.

Kątem oka dostrzegł twarz w innym oknie i zaszydził ze starszego mężczyzny.

- Potrzebujesz pomocników, kiedy nie walczysz z dziećmi?

Chatham zacisnął usta, ale nie dał się sprowokować. Choć sam doskonale strzelał, podejrzewał, że Connor może być jeszcze lepszy. Nie zamierzał zmarnować swej szansy pozbycia się O'Neillów.

Jego uśmiech był prawie przyjemny.

- Chcę się tylko upewnić, że dokończę to, co zacząłem dwa lata temu. Myślałem, że więzienie na statku mnie w tym wyręczy. Jak tam było, Connorze? - prowokował go. Dał swym ludziom rozkaz strzelania, gdy Connor podniesie broń. - Czy myślałeś tam o mnie? Czy myślałeś o mnie, kiedy umierał twój ojciec?

- Ty draniu - odparł Connor podnosząc strzelbę. Chatham nadal nie wyciągnął pistoletu i Connor wiedział, że największe niebezpieczeństwo czyha na niego z góry. Oddał strzał i z okna wypadła jakaś postać. Padł na ziemię odrzucając strzelbę na bok i sięgnął po pistolet. Obok niego kula zaryła się w ziemię, posyłając w górę chmurę kurzu. Potem zobaczył kolejną postać upadającą na stryszku stodoły i usłyszał więcej strzałów. W końcu wydawało się, że zostali tylko on i Chatham. Patrzył jak Chatham z wykrzywioną nienawiścią twarzą sięga po pistolet i zrobił to samo. Chatham zaczął mierzyć do niego, gdy nagle na jego piersi zaczęła rosnać coraz większa czerwona plama. Wolno upadł na ziemię.

Connor odwrócił się z wściekłością. Chatham należał do niego!

Fran podjechał bliżej z ciągle dymiącą strzelbą mając za sobą pięciu ludzi. Na ziemi leżały dwa ciała. Fran wskazał na nie.

- To była głupota. Nie powinieneś jechać tutaj sam.

Connor patrzył na niego ze złością.

- On był mój. Wiedziałeś o tym. Ja miałem prawo go zabić.

- A ja straciłbym majora. Wybacz, ale uważałem, że twoja duma nie jest tyle warta.

Connor jednak przestał rozsądnie rozumować.

- Nie miałeś prawa się wtrącać.

Fran zsiadł z konia i podszedł do Connora. Nadeszła pora, by się dowiedział. Przez swą nieświadomość o mało nie zginął.

Wolno spojrzął Connorowi w oczy.

- Zabiłbyś dziadka swojego dziecka, albo Chatham zabiłby ojca swego wnuka. Wątpię, czy którykolwiek z was chciałby żyć z taką świadomością.

Connor patrzył na niego pustym wzrokiem, aż wreszcie słowa Marion dotarły do niego. Cofnął się.

- Nie - szepnął. - Nie.

- Connor...

- Nie - powtórzył, tym razem krzyżąc. Marion tylko spojrzął na niego i Connor zobaczył prawdę w jego oczach. Twarz Connora skurczyła się. - Nie Sam... - ale kiedy tylko usłyszał to imię, uświadomił sobie co mówi.

- Ona cię kocha, Connor. Zrezygnowała dla ciebie ze wszystkiego - mówił Marion.

Lecz twarz Connora zamieniła się w kamienną maskę. Wolno podszedł do konia i dosiadł go. Raz jeszcze spojrzął na martwe ciało Chathama i spiął rumaka do galopu.

- Czy ktoś nie powinien z nim jechać? - zapytał jeden z sierżantów.

- Wydaje mi się, że chce teraz być sam. Wracajmy.





Samantha czytała w salonie, gdy przez otwarte okno usłyszała stukot kopyt. Wstała niezręcznie, czując ciężar dziecka, które kopało i poruszało się w niej. Uśmiechnęła się. Wszyscy ostrzegali ją, że te ostatnie tygodnie będą najgorsze, wcale jednak tak nie było. Mimo iż czuła się groteskowo gruba i niezdarna, rozkoszowała się każdą minutą. Złe samopoczucie przypominało jej nieustannie o dziecku, które nosiła pod sercem i kochała wielką miłością zrodzoną z samotnego dzieciństwa.

Usłyszała na ganku tupot stóp i natychmiast wiedziała, że to Connor. Uśmiechnęła się z radością i skierowała do drzwi. Uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła twarz Connora.

Był blady jak ściana, a jego oczy przypominały kryształki lodu.

- Connor... - zrobiła krok w jego stronę.

- Samantha, prawda? - powiedział tak cicho, że ledwo go słyszała.

W tej chwili jej świat zawalił się. Pustka na twarzy Connora i jego nienaturalny spokój były gorsze od największego gniewu. Cofnęła się i wsparła dłońią o stół.

- A więc to prawda - powiedział równie cicho. - Miałem nadzieję, że Francis się mylił, ale

on przecież zawsze ma rację, prawda? - mówił niemal uprzejmym tonem. - Sam... Samara... Samantha... powiedz mi, czy choć czasem mówisz prawdę? Za jakiego głupca musisz mnie uważać? I słusznie. Bo jestem największym głupcem na świecie.

Stała zahipnotyzowana nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy.

- O co ci chodziło, Samantha? Brendan ci nie wystarczył? A może chciałaś zniszczyć nas obu swoim pięknym uśmiechem i dziecięcą niewinnością? Czy spodziewałaś się, że skończę jak Brendan?

Gdy zaczęła się cofać, złapał ją za nadgarstek.

- O nie, Samantha. Nie uciekniesz. Nie tym razem. Najpierw powiesz mi, dlaczego. Dlaczego kłamałaś i kłamałaś bez końca.

Ona jednak nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Wpatrywała się w niego z rosnącym przerażeniem. Poradziłyby sobie z jego gniewem, bólem, a nawet wściekłością. Była jednak zupełnie bezsilna wobec zimnej pogardy tego okrutnego, obcego człowieka, który starannie dobierał słowa, by ją jak najdotkliwiej zranić.

- Żadnych wyjaśnień, Samantha? Nigdy dotąd nie brakowało ci słów. Świetnie potrafiłaś wybrnąć z każdej sytuacji.

Przyjrzał się jej krytycznym wzrokiem.

- Niezbyt dobrze wyglądasz, Samantha - zauważył, czyniąc z jej imienia obelgę. - Może powinnaś usiąść.

Siłą wcisnął ją w krzesło, na którym siedziała kilka minut wcześniej.

- Chyba powinnaś usłyszeć nowiny na siedząco. Twój ojciec nie żyje, Samantha. On, nie ja. Niezupełnie tak to zaplanowałaś, co?

Connor nie czuł spodziewanej satysfakcji. Sam na krótko zamknęła oczy, ale zaraz znów je otworzyła, a on był zaskoczony siłą, jaką w nich dojrzał, smutną akceptacją faktu, który przeczuwała.

- Ty? - zapytała wreszcie.

- Nie, choć próbowałem. Fran odebrał mi tę przyjemność.

Connor był rozmyślnie okrutny, ale do niej już nic nie trafiało. Była zupełnie odrętwiała i czuła jedynie ogromną, ziejącą pustkę.

Dziecko, być może wyczuwając jej zmartwienie, kopnęło ją nadspodziewanie mocno i Samantha mimowolnym gestem otoczyła brzuch ramionami.

Connor mylnie zinterpretował jej zachowanie, a jego słowa bolały bardziej niż uderzenie.

- Nie uderzę cię - powiedział. - Nie chcę cię więcej dotykać. Ani widzieć. Ani ciebie, ani tego - jego wzrok zatrzymał się na brzuchu Sam.

Odwrócił się do wyjścia.

- Zapewnię ci utrzymanie, ale nie chcę mieć więcej do czynienia z żadnym Chathamem... ani z tobą, ani z dzieckiem. Gdybyś czegoś potrzebowała, skontaktuj się z Annabelle.

Znalazłszy się za drzwiami Connor miał chęć wyć jak zranione zwierzę. Chciał walczyć, zadawać ból, atakować, robić cokolwiek, by uciec od ciemnoniebieskich oczu, które, jak wiedział, prześladować go będą do końca życia.

Skupił swą wściekłość na Francisie. On znał prawdę. Wiedział i nic mu nie powiedział. Był jego przyjacielem i zdradził tę przyjaźń. Connor miał zamiar dowiedzieć się, dlaczego.

Gdy Caroline zeszła na dół, zastała Sam siedzącą sztywno na krześle. Jej twarz i oczy były pozbawione wyrazu. Nie zareagowała na wejście przyjaciółki. Siedziała nieruchomo, jakby zamieniła się w kamień.

- Sam? - Caroline zapytała z niepokojem.  
Żadnej odpowiedzi.

- Sam... kto tu był? Czy to Connor?

Caroline wezwała służbę, niczego się jednak nie dowiedziała. Ukłękła obok Sam i zajrzała jej w oczy.

- Co się stało? Czy coś z Connorem?

Sam nadal siedziała bez ruchu. To niemożliwe, by mogła tak cierpieć. Nic nie jest w stanie wywołać tak wielkiego cierpienia. Czuła się, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi.

Caroline przestraszyła się nie na żarty.

- Cecil, wezwij lekarza - poleciła. - Mary, pomóż mi zaprowadzić ją na górę.

Sam nie stawiała oporu. Dała się rozebrać i położyć do łóżka.

Mary stała nad nią potrząsając głową.

- To zupełnie niepodobne do pani O'Neill.

- Wiem - odparła Caroline. - Chciałabym wiedzieć, co się stało... Może lekarz coś nam powie.

Lekarz jednak był tak samo zaskoczony jak inni.

- Przeżyła jakiś szok, to pewne. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Zachowuje się, jakby przestało zależeć jej na życiu.

- Sam... Sam... - zawołała Caroline. - Pomyśl o dziecku.

Dopiero wtedy Samantha zdobyła się na jakąś reakcję, a lekarz pomyślał, że nigdy nie widział podobnej udręki.

- Pani O'Neill - powiedział - musi pani uważać na dziecko. Bez względu na to, co się stało musi pani chronić dziecko.

Skinęła głową, ale jej twarz nadal była bez wyrazu.

Lekarz dał Caroline znak, by wyszła z nim na korytarz.

- Proszę spróbować dowiedzieć się, co się stało... Nawiązać kontakt z jej mężem. I proszę koniecznie dopilnować, żeby jadła. Do porodu zostało około tygodnia i potrzebne jej będą siły.

Caroline próbowała skontaktować się z Connorem, ale Marion przeniósł obóz w inne miejsce i posłaniec wrócił z niczym. Wysłała następnego.

Opiekowała się Samantha jak małym dzieckiem. Sam leżała posłusznie w łóżku i na nic nie reagowała. Jadła tylko wtedy, gdy Caroline przypominała jej o dziecku.

Czwartego dnia, zbliżając się do drzwi pokoju Samantha, Caroline usłyszała dochodzące ze środka odgłosy jakiegoś ruchu. Uradowana, zapukała i weszła. Sam apatycznie chodziła po pokoju i pakowała się. Jej twarz nadal pozostawała bez wyrazu, a ruchy były nienormalnie powolne.

- Sam - zawołała Caroline. - Co ty wyrobiasz?

Sam uniosła głowę, a jej głos był równie pusty jak jej twarz.

- Wyjeżdżam. Connor chce, żebym wyjechała.

- To nieprawda - zawołała Caroline. - On cię kocha... bardziej niż kogokolwiek innego na świecie.

Sam uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie - odparła krótko. - Muszę odejść, zanim wróci.

- Ale dokąd? A dziecko? Lada dzień się urodzi.

- Zajmę się dzieckiem - powiedziała Samantha. - Tylko ono mi pozostało. - Wróciła do pakowania.

Caroline z przerażeniem patrzyła na przyjaciółkę. Wiedziała, że Sam nie da się powstrzymać. Nie wiedziała, co robić. Nagle pomyślała o Annabelle. Nie miała okazji jej poznać, ale słyszała od Samantha o łączącej je przyjaźni. Opowieści Sam początkowo wywołały jej przerażenie, ale potem zafascynowała ją ta niezwykła osoba.

Napisała szybko krótki list do Annabelle, prosząc ją o przybycie.

Annabelle zjawiła się w ciągu godziny. Wysłuchała Caroline, potem udała się na górę.

- Sam - odezwała się Annabelle.

Samantha chodziła po pokoju nieświadoma zupełnie tego, że ktoś wszedł do środka. Słyszając głos przyjaciółki odwróciła się. Annabelle dozna-

ła szoku na widok kompletnej pustki, jaka malowała się na jej twarzy.

- Co się stało? - zapytała otoczywszy Sam ramieniem. - Czy chodzi o Connora? Dowiedział się?

Samantha spojrzała na nią pustym wzrokiem.

- Wyjeżdżam. Connor nie chce mnie więcej widzieć.

Spokój Sam przeraził Annabelle.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie wiem. To nie ma znaczenia. Wszystko mi jedno.

O Boże, pomyślała Annabelle. Było gorzej niż się spodziewała. Wierzyła w Connora, jego rozsądek i uczciwość.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało - poleciła Samancie.

- Powiedział, że nie chce mieć nic wspólnego z żadnym Chathamem... ani ze mną, ani z dzieckiem. Ze nie chce mnie więcej dotykać, ani widzieć. I powiedział o naszym dziecku: „to”, jakby było jakimś obrzydliwym przedmiotem.

- Och, Sam - westchnęła ciężko Annabelle. Przytuliła dziewczynę do siebie. - Wypłacz się, Sam, to ci pomoże.

- Nie mogę. To za bardzo boli. Łzy są do drobnych rzeczy. Poza tym nie mam czasu. Muszę jechać.

- Nigdzie nie pojedziesz w tym stanie - powiedziała kategorycznie Annabelle. - Kiedy ma się urodzić dziecko? Za tydzień, dwa? Jeśli nie dbasz o siebie, to pomyśl przynajmniej o nim.

- Connor nie może mnie tu zastać. Nie zniosę jego widoku.

Annabelle szybko podjęła decyzję. Samantha jej potrzebowała. Connor był piekielnym głupcem. W tym momencie nie potrafiła myśleć o nim z szacunkiem.

- Pójdiesz ze mną - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nie powiemy nikomu, dokąd się udajesz. Powiemy, że odprowadzam cię na stację dyliżansów. Zostaniesz u mnie, a po urodzeniu dziecka będziesz mogła pojechać, dokąd zechcesz. Pomogę ci.

- Ale Connor... przecież zatrzymuje się u ciebie...

- O to się nie martw. Zajmę się tym.

- Dziękuję - powiedziała wolno Sam, a Annabelle z radością dostrzegła pierwsze oznaki ożywienia na jej twarzy.

- Powiem twojej przyjaciółce, że nie potrafiłam cię zatrzymać. - Ruszając do drzwi dodała: - Może powinnaś napisać kilka słów do Conнора?

Samantha skinęła głową. Connor musi zrozumieć, że nie zrobiła tego rozmyślnie. Że naprawdę go kocha. Że tak naprawdę nie są małżeństwem i że nic go z nią nie wiąże.

Connor tymczasem brał udział w jednej z najbardziej zaciętych bitew podczas wojny w Karolinie Południowej.

Po opuszczeniu Sam pojechał do obozu Mariona, ale dowiedział się, że generał ruszył na



spotkanie z Greene'em. Greene zaskoczył i wziął do niewoli stu brytyjskich furazerów w leżącej przy drodze do Charlestonu miejscowości zwanej Eutaw Springs. Akcja ta w dalszej konsekwencji wprowadziła do walki główne siły brytyjskie i zanosilo się na poważną bitwę.

Connor wiedział, że to nie pora na problemy osobiste. Objął dowództwo swego oddziału i stanął się z nim u boku regularnej armii Greene'a.

W gorący, parny wrześnieowy dzień dwa tysiące żołnierzy króla, w tym wielu lojalistów, starły się z siłami amerykańskimi liczącymi dwa tysiące czterystu ludzi. Po trzech godzinach zaciętej walki Greene wycofał się. Connor wyszedł z bitwy bez zadraśnięcia, choć w ciągu dnia wiele razy ocierał się o śmierć.

Wieczorem dowiedział się, że choć Amerykanie ponieśli klęskę taktyczną, prawdopodobnie zniszczyli resztki armii brytyjskiej w obu Karolinach. Brytyjczycy stracili prawie połowę wojska i wolno wycofywali się do Charlestonu.

Dopiero dwa dni później Connor miał okazję porozmawiać z Marionem. Czas nie ostudził jego gniewu. Przeciwnie, podsycił go jeszcze bardziej.

Nim Connor zdążył się odezwać, Marion uciszył go wzrokiem.

- Jak się czuje Sam? - zapytał.

Connor zignorował to.

- Do licha, Fran, dlaczego mi nie powiedziałaś? To oczywiste, że wiedziałaś... od jak dawna? Dlaczego?

- Jak się czuje Sam? - powtórzył Marion.

- Nie wiem - rzucił Connor z goryczą. - I nie chcę wiedzieć.

- Jesteś kompletnym osłem, jeśli ją skrzywdziłeś. Nigdy nie widziałem, by ktoś kogoś kochał bardziej niż ona ciebie.

Connor patrzył na niego wytrącony z równowagi.

- Podobno jesteś moim przyjacielem...

- Taką mam nadzieję. Ale to nie zmienia faktu, że jesteś skończonym głupcem.

- Powinieneś mi powiedzieć!

- Masz rację. Powinienem. Ale sam dowiedziałem się prawdy dopiero, gdy Foxworth porwał Samantha, a ona obiecała, że ci o wszystkim powie. Potem zniknęła, a ty wróciłeś żonaty. Wiele razy próbowała ci powiedzieć, ale ty za każdym razem musiałeś zrobić jakąś głupią uwagę o Chathamie.

- Jest winna śmierci Brendana - upierał się Connor.

- Co za bzdury. Pytałeś ją o to?

- Jej ojciec mówił...

- A ty bezkrytycznie wierzysz w każde słowo Chathama?

Connor nie potrafił na to odpowiedzieć. Gniew ustępował powoli miejsca oszołomieniu.

- Czy wiesz, że Sam szpiegowała dla nas na długo przed znalezieniem ciebie w jaskini? Czy wiesz, że tego dnia, gdy zginął twój brat, ona i Brendan mieli zamiar uciec i pobrać się w tajemnicy?

- Pobrać się w tajemnicy? Ale Bren nic mi nie mówił.

- Spodziewam się - rzekł Marion sucho. -

O to właśnie chodziło. Żeby nikt się o tym nie dowiedział. Ale Chatham się dowiedział. To właśnie był powód pojedynku. Słyszałem, jak Sam mówiła o Brendanie. Nie ma wątpliwości, że go kochała. Podobnie jak kocha ciebie. Ze wszystkiego dla ciebie zrezygnowała. Żyła w ciągłym strachu, że odwrócisz się od niej. Powinienem nalegać, by mimo wszystko ci powiedziała. Ale ona była pewna, że czas wszystko rozwiąże...

Spokojnie, cicho mówił dalej.

- Czy zapomniałeś, że dwa razy uratowała ci życie? Że była odważna i lojalna jak mało kto? Connor, nie pozwól, by twoja duma czy gniew zniszczyły was oboje. Żałuję, że ja nie znalazłem kogoś takiego jak Sam. Masz niewiarygodne szczęście.

Connor stał i słuchał. Pozbywszy się gniewu mógł wreszcie logicznie myśleć. Zbladł jak ściana, gdy przypomniał sobie ostatnie słowa, które powiedział Sam... i jej twarz. Nigdy nie zapomni wyrazu jej oczu. Ukrył twarz w dłoniach i dręczył się każdym wypowiedzianym wtedy słowem.

- Jedź do niej - powiedział cicho Marion

- Nie mogę - jęknął. - Ona nigdy mi nie wybaczysz... po tym, co powiedziałem.

- Ona cię kocha. Choć w tej chwili nie bardzo rozumiem, dlaczego. Jedź.

Connor uniósł głowę, a na jego twarzy pojawiła się nadzieja. Z nowym zapałem pobiegł szukać nowego konia.

Caroline otworzyła drzwi i zmierzyła go wrogim spojrzeniem.

- Gdzie jest Sam? - wykrztusił.
- Wyjechała - odparła Caroline zimno. - Nie wiem, dokąd. - Zniknęła i po chwili wróciła z kartką papieru. - Zostawiła to dla ciebie.
- Mogę wejść?
- Jak chcesz - powiedziała z rezerwą. - Nie wiem, co jej zrobiłeś lub powiedziałeś, ale o mało jej nie zabiłeś - trzasnęła drzwiami i wyszła zostawiając Connora samego z listem. Obracał go w palcach obawiając się tego, co w nim było napisane. W końcu rozłożył papier.

*Connor...*

*Przepraszam za wszystko. Za cierpienia, jakich ci przysporzyłam, za kłamstwa i za to, że wprowadziłam Cię w błąd. Wiem, że nie możesz mi przebaczyć, ale chcę, żebyś wiedział, że zrobiłam to z miłości do Ciebie. Byłeś wszystkim, co miałam i nie mogłam znieść myśli o tym, że Cię utracę. To moje jedyne usprawiedliwienie.*

*Zostawiam Ci twoją wolność. Nie jesteśmy prawnie małżeństwem, ponieważ posłużyłam się fałszywym nazwiskiem. Mam szczerą nadzieję, że znajdziesz kogoś, z kim będziesz szczęśliwy.*

*Nie chcę od Ciebie żadnych pieniędzy. To, co mam, wystarczy na moje potrzeby.*

*Wiem, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Spełniam Twoje życzenie. Wyjeżdżam z Georgetown i nigdy tu nie wrócę.*

*Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz i pomyślisz o mnie z życzliwością. Zawsze będę Cię kochała.*

*Sam*

Connor zmiął list w dłoni. Każde zdanie oskarżało go. Sztywny styl, tak niepodobny do Samantha, aż nadto wyraźnie świadczył o jej cierpieniu. Musi ją odnaleźć.

- Caroline?

- Co? - żona Denneya pojawiła się w drzwiach.

- Naprawdę nie wiesz, dokąd pojechała? Musiała przecież coś powiedzieć.

- Nie mówiła, a nawet gdyby tak było, to ja bym ci nie powiedziała. Gdyby chciała, żebyś wiedział, to napisałaby o tym w liście - jej głos był lodowaty.

- Caroline? - błagał ją.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Connor kiwnął głową, pokonany. Są jeszcze inne miejsca... Może pojechała do Chatham Oaks?

Przez następne dni niestrudzenie jeździł po okolicy. W Chatham Oaks nie zastał nikogo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi pojechał na Snow Island. A tam zastał tylko ruiny.

Wolno zawrócił do Georgetown, wspominając ich pierwszą wspólną podróż... kiedy pojechali do Annabelle.

Nagle wiedział. Sam była u Annabelle! Pode-rwał zmęczonego konia cło galopu.



Connor wbiegł na schody prowadzące do domu Annabelle, przeskakując po kilka stopni naraz. Zaklął ze zdziwieniem, gdy zastał zamknięte drzwi. Annabelle nigdy ich nie zamykała. Zaczął walić w nie pięściami.

Otworzyły się tak nagle, że omal nie upadł. Aż drgnął na widok twarzy Annabelle. Widział w niej rozczarowanie i niechęć. Po raz pierwszy, jak długo sięgał pamięcią, nie witała go uśmiechem.

- Czy jest tutaj Sam? - Nuta szczerości w jego głosie sprawiła, że Annabelle popatrzyła na niego nieco łaskawiej.

- Długo to trwało - powiedziała wreszcie.

- Czy jest tutaj? - powtórzył pytanie. - Do licha, Annabelle, szukałem już wszędzie.

- Myślałam, że nie chcesz jej więcej widzieć - przypomniała mu.

Connor zamknął oczy.

- Annabelle... - prosił ją. - Gdzie ona jest?

- Na górze. Właśnie rodzi twoje dziecko.

Gdy dotarł do drzwi, zastał je na wpół otwarte, a ze środka dobiegały odgłosy krzątania. Wziął głęboki oddech i otworzył je.

Sam leżała w łóżku wsparta na stercie podu-

szek. Jej twarz robiła wrażenie jeszcze drobniejszej niż zwykle, a olbrzymie oczy kontrastowały z bladą cerą. Słyszając hałas odwróciła się w stronę drzwi i aż drgnęła na jego widok. Zraniło go to bardziej niż jakiegokolwiek słowa. W oczach Sam nie było krytyki ani potępienia; widział w nich tylko bezdenny ból. Nienawidził siebie jak nigdy w życiu. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego oczy robią się wilgotne. Nigdy przedtem nie płakał.

Spojrzał na Darlene i drugą dziewczynę.

- Zostawcie nas, proszę - powiedział spokojnie.

Dziewczyny zawahały się, a potem pytająco spojrzały na Sam. Widocznie uważały, że jest zdolny ponownie ją skrzywdzić.

Samantha skinęła głową i obie szybko wyszły. Sam i Connor wpatrywali się w siebie ze strachem i niepewnością. Przez kilka minut znajdowali się w świecie, w którym poza nimi nie było nikogo. Potem grymas bólu wykrzywił twarz Sam i Connor natychmiast znalazł się u jej boku. Gładził jej twarz zupełnie nieświadom łez spływających po jego policzkach. W chwilę potem klęczał przy łóżku z twarzą pełną udręki.

- Sam... Samantho... o Boże, kocham cię. Czy będziesz mogła mi wybaczyć?

W tym momencie złapał ją silny ból i nie rozumiała słów Connora. Zobaczyła tylko łzy. Wyciągnęła rękę i starła jedną z nich. Nie wolno mu płakać... nie wolno...

Opacznie zrozumiał jej milczenie.

- Francis powiedział mi wszystko... o tobie i o Brenie... o tym jak zbierałaś dla niego informacje... jak próbowałaś mi powiedzieć...

- Kochałam Brena - powiedziała cicho. - Naprawdę go kochałam. Chciałam umrzeć razem z nim. Ale nie mogłam - jej oczy wypełniły się łzami. - Gdybym mogła umrzeć za niego, to bym to zrobiła...

- Wiem - próbował ją pocieszyć. Zamknął oczy przypomniawszy sobie chwile, gdy oskarżał ją o zabicie brata. A najgorszy był dzień, w którym powiedział jej o śmierci ojca. Czuł się, jakby coś mu rozrywało wnętrze; ledwo mógł oddychać.

- A potem znalazłam cię w jaskini i coś się ze mną stało. Nie chciałam cię kochać... Wiedziałam, że mnie znienawidzisz. Ale nic nie mogłam na to poradzić. Tak bardzo cię kochałam.

„Kochałam”? O Boże, nie pozwól, by było za późno. Connor gotów był krzyczeć z bólu.

- Przepraszam - mówiła dalej Sam. - Przepraszam, że sprawiłam ci taki ból.

Connor nie mógł tego dłużej znieść. Ostatnie słowa Sam zabolały go najbardziej. Ona go przeprasza!

- Wyjeżdżam - szepnęła. - Będziesz mógł o wszystkim zapomnieć. Poradzimy sobie...

- Czy naprawdę tego chcesz? - zapytał wreszcie. Nie mógł jej zatrzymać, nie miał prawa nawet próbować.

Nadszedł kolejny ból i Sam drgnęła. Connor złapał ją za rękę, a gdy na niego spojrzała, wiedział, że nigdy nie pozwoli jej odejść.



- Sam - prosił ją. - Nie odchodź. Proszę, zostań ze mną. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham. Byłem takim głupcem. Wybacz mi, proszę.

Tym razem zrozumiała go i promyk nadziei rozjaśnił jej twarz.

- Chcesz, żebym została? - zapytała tak potulnie, że niemal się roześmiał.

- Niczego bardziej nie pragnę. Na niczym nie zależy mi tak bardzo jak na was: na tobie i na „nim” lub na „niej” - powiedział patrząc na jej brzuch.

- Naprawdę? - nadal nie mogła tego zrozumieć. - Ale ja...

- Kocham cię i wszystko mi jedno, jak się nazywasz. Pytanie tylko, czy potrafisz mi przebaczyć?

Nigdy nie widział czegoś równie pięknego jak jej twarz w tym momencie. W oczach Sam zabłyśły setki gwiazd, a jej usta wygięły się w znajomym, czarującym uśmiechu.

- Jak możesz o to pytać? Zawsze będę cię kochała. Zawsze.

Złapał jej dłonie i ucałował. Potem musnął wargami jej oczy, a następnie usta. Dotknął dłonią policzka Sam i zajrzał jej głęboko w oczy. Znalazł w nich nadzieję i miłość równą tej, jaką sam odczuwał. Ogarnęła go nagle tak ogromna radość, że odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się ze szczęścia. Okazało się to tak zaraźliwe, że wkrótce oboje śmiali się jak szaleni.

Widząc kolejny skurcz bólu na twarzy Sam Connor natychmiast odczuł skruchę.

- Czy to już niedługo?

- Annabelle twierdzi, że jest taki jak ty... Uparty. Każe na siebie czekać. Podobno jeszcze za wcześniej, by wzywać lekarza.

- On? - zapytał Connor z uśmiechem.

- Na pewno. Za mocno kopie jak na dziewczynkę - odparła z szerokim uśmiechem.

Connor przypomniał sobie list i zawarte w nim słowa. Ścisnął rękę Sam.

- Samantha Chatham... czy wyjdiesz za mnie?

- Tak - szepnęła szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Teraz? W tej chwili?

Skinęła głową podekscytowana.

- Ale jak...

Connora już jednak nie było. Uśmiechnęła się lekko, gdy nagle złapał ją następny ból.

- Annabelle - zawołała. - Chyba czas wezwać lekarza.

Connor biegł przez całą drogę do kościoła.

- Pastorze - zwrócił się podekscytowany do duchownego - proszę natychmiast ze mną iść. Musi mi pan udzielić ślubu.

Wielebny Smith patrzył na niego w osłupieniu.

- Znowu?

- Proszę szybko ze mną pójść — mówił Connor prawie ciągnąc go za rękę.

- Ależ... pan jest już żonaty. - Pastor patrzył na Connora, jakby ten postradał zmysły.

- Nie - odparł Connor zniecierpliwiony.

- Nie mogę teraz panu wyjaśnić... nie mamy czasu... ale to bardzo ważne.

Na twarzy pastora pojawił się wyraz zatroskania.

- Pańska żona... ta ładna młoda kobieta... zmarła?

- Właśnie z nią chcę się ożenić.

- Ależ, czy nie pamięta pan...? - spróbował jeszcze raz wielebny Smith.

Zupełnie zdesperowany Connor zaczął ciągnąć pastora przez cały kościół.

- Użyła fałszywego nazwiska... Małżeństwo było nieważne.

- Dokąd idziemy? - zapytał pastor, gdy Connor zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu.

Connor zawahał się.

- Niedaleko - powiedział wymijająco. - Kilka kroków stąd.

Gdy Connor zaczął wchodzić na schody, zorientował się, że pastor nie podąża już za nim. Odwrócił się i zobaczył, jak wielebny Smith z dezaprobatą patrzy na dom Annabelle.

Connor jednak nie miał zamiaru rezygnować. Cofnął się i delikatnie, lecz stanowczo złapał pastora za rękę i poprowadził na górę.

- Właśnie przyszedł lekarz - poinformowała ich Annabelle. - Nie macie wiele czasu.

Wielebny Smith zmówił w duchu krótką modlitwę błagając o przebaczenie i wszedł do środka.

- Proszę się pośpieszyć, pastorze - powiedziała Annabelle z uśmiechem. - Lekarz mówi, że dziecko urodzi się lada chwila.

Pokój był pełen ludzi, których przybyło jeszcze więcej, gdy dziewczęta Annabelle dowiedziały się

o ślubie. Lekarz westchnął tylko i uniósł brwi na widok wielbego Smitha, który ścisnął Biblię niczym ostatnią deskę ratunku. Pastor obrzucił wzrokiem skapo ubranych świadków ceremonii; w końcu jednak poczucie humoru wzięło w nim górę i z błyskiem w poważnych *zwykle* oczach zaczął mówić:

- Zebraliśmy się tutaj...

Gdy Annabelle rozejrzała się dokoła, zauważyła, że wszyscy mają łzy w oczach. Też nie była wyjątkiem.

- Co Bóg złączył, niech człowiek nie waży się rozłączać - kończył wielbny Smith, gdy ciało Sam wyprężyło się nagle.

- Na miłość boską! - zawołał lekarz - człowieku, pośpiesz się!

Niemal gorączkowo wielbny dokończył:

- Ogłaszam was mężem i żoną. - Opuszczając pokój dorzucił jeszcze: - Może pan teraz pocałować pannę młodą - co Connor szybko uczynił, zanim i on został wyproszony na zewnątrz.

- Pastorze Smith - zapytała Annabelle, gdy znaleźli się w salonie na dole - czy wypije pan z nami kieliszek szampana?

Chciał odmówić, ale zmienił zdanie. Cała ta historia wprawiła go w stan całkowitego oszołomienia. Miał wielką chęć zostać i zobaczyć, co będzie dalej. Co na to powie pani Smith? Zabrnął już tak daleko, że jeszcze parę minut nie zrobi żadnej różnicy.

- Dziękuję - odparł ostatecznie. - Z przyjemnością.

Przypominając sobie, jak pastor wzdragał się przed wejściem do domu Annabelle, Connor niemal zakrztusił się szampanem.

Annabelle wróciła na górę, a Connor rozmawiał przez kilka minut z pastorem. Potem udał się na górę, gdzie chodził tam i z powrotem przed drzwiami i nasłuchiwał. Minuty ciągnęły się bez końca, ale w końcu usłyszał głośny płacz dziecka.

- Masz syna - powiedziała Annabelle pojawiając się w drzwiach. - Pięknego, silnego i zdrowego syna. - W odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie dodała szybko: - Samantha czuje się świetnie.

Pochyliła się i pocałowała go lekko.

- Jesteś szczęściarzem, Connorze, a jeśli jeszcze kiedyś zrobisz jej krzywdę, to będziesz miał ze mną do czynienia.

Connor obdarzył ją czułym uśmiechem.

- O to nie musisz się martwić. I dziękuję. Nigdy ci się nie odwdzięczymy za to, co dla nas zrobiłaś.

- Już to zrobiliście... będąc moimi przyjaciółmi - odparła miękko. - A teraz idź, zobacz swojego syna - odwróciła się, by nie zobaczył łzy w jej oku.

Zaczynam się robić sentymentalna, pomyślała. Trzeba jeszcze zająć się pastorem. Zachichotała. Co za dzień.

- Chłopiec, pastorek - zameldowała Annabelle. - Piękna, głośna kopia majora O'Neilla - uśmiechnęła się. - To miło, że poczekał pan na

wiadomość. Czy wzniesie pan z nami toast na cześć dziecka?

Wielebny Smith, który wypił już ze zdenerwowania kilka kieliszków, nie odmówił. Wychyliwszy toast, zwrócił się ku Annabelle i odchrząknął:

- Panno Annabelle, czy mogę o coś zapytać?

Skinęła głową oczekując jakiegoś pouczenia. Pastor przełknął ślinę, po czym zapytał zakłopotany:

- Czy ten dom ma tylne wyjście?

Annabelle roześmiała się.

- Tak - odparła - proszę za mną.

Przeszli przez kuchnię do tylnego wyjścia używanego głównie przez Connora. Gdy pastor otwierał drzwi, wsunęła mu do ręki woreczek pełen monet. Kiedy zaprotestował, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- To dla biednych... w imieniu dziecka.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Wyśliznąwszy się na zewnątrz ruszył nieco chwiejnym krokiem do domu. Doszedł do wniosku, że nie powie nic pani Smith. Miałby czego słuchać do końca życia.

Connor podszedł do Samantha, której uwaga skupiona była na dziecku. Często myślał, że jest piękna, ale teraz była po prostu wspaniała. Jej usta wyginały się w pełnym czułości uśmiechu, a oczy błyszczały niezwykłą radością.

- Chodź zobaczyć swego syna - powiedziała cicho, a on ukląkł obok niej i z zachwytem przyglądał się drobnej figurce dziecka. Było większe

niż sobie wyobrażał, a jego włosy wyglądały, jakby utkał je promyk słońca. W tym momencie przeciągnęło się i spojrzało na ojca ciemnoniebieskimi oczami; Connor gotów był przysiąc, że dostrzegł w nich znajomy figlarny błysk.

- Jak go nazwiemy? - zapytała Samantha.

- Na pewno nie Sam - zażartował Connor.

- Jeden Sam zupełnie nam wystarczy.

- A może Brendan?

- Mój brat byłby z tego bardzo dumny - odparł Connor ze wzruszeniem - Ja zresztą też.

W tym momencie Samantha Chatham-0'Neill przekonała się, że wszystkie duchy przeszłości zostały ostatecznie pogrzebane.



*Od autorki*

Bitwa pod Eutaw Springs była ostatnim poważnym epizodem wojny w Karolinach.

Na północy, w miesiąc później, Jerzy Waszyngton pokonał pod Yorktown Cornwallisa, co praktycznie stanowiło koniec wojny, choć nadal tu i ówdzie zdarzały się drobne potyczki. Charleston poddał się jako jeden z ostatnich garnizonów brytyjskich dopiero na początku 1782 roku.

Francis Marion, kawaler, powrócił na swą spaloną plantację i ożenił się z daleką kuzynką, Esther Videau.

Relacje na temat jego osoby są niepełne i zawierają wiele sprzeczności. Wszystkie jednak zgadzają się co do tego, że był zarówno nieśmiały jak i zaradny, twardy a zarazem sentymentalny, inteligentny i pobożny.

W jego oddziale byli nawet czternastoletni chłopcy, a on słynął z niezwykłej dla nich dobroci. Jedna z relacji podaje, że z wielką ceremonią podarował konia chłopcu, który zabił jadącego na nim Brytyjczyka.

Choć był mistrzem sztuki wojennej, nienawidził przemocy i odprawiał każdego, kto dopuszczał się okrucieństwa.

Wiele wydarzeń opisanych w książce miało



miejsce naprawdę. Należą do nich: uwięzienie generała O'Mary, spalenie domu Motte'ów, atak na Georgetown i inne. Podobnie Peter Horry i Billy James stanowią postacie historyczne.

Starałam się pozostać wierna duchowi epoki i postaci generała Marion.